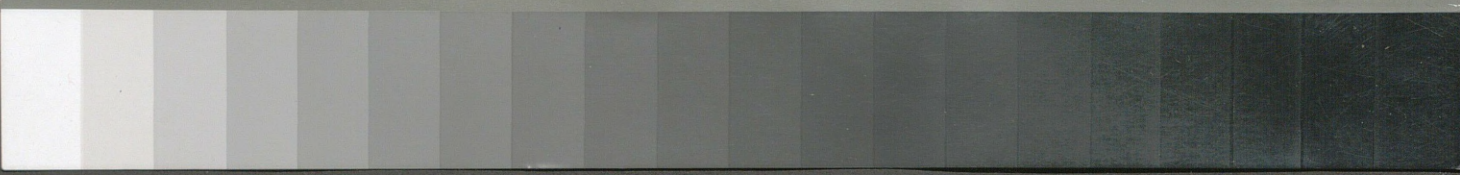


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



ZE WSPOMNIENIŃ ŻOŁNIERZA.

NAPISAŁ

WŁADYSŁAW K. ZIELIŃSKI.

WARSZAWA.

Nakład Filipa Sulimierskiego.

Skład główny w redakcyi Wędrowca, Nowy-Świat Nr. 59.

1880.

Colour Chart #13

Blue	1	2
Cyan	3	4
Green	5	6
Yellow	7	8
Red	9	10
Magenta	11	12
White	13	14
3/Color	15	16
Black	17	18

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

DANES-PICTA.COM

ZE WSPOMNIENIŃ ŻOŁNIERZA.

NAPISAŁ

WŁADYSŁAW K. ZIELIŃSKI.

WARSZAWA.

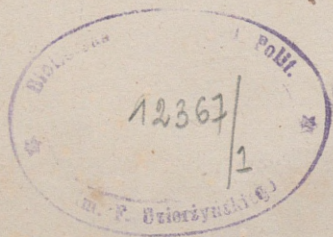
Nakład Filipa Sulimierskiego.

Skład główny w redakcyi Wędrowca, Nowy-Świat Nr. 59.

—
1880.

884-3:8(355)

Дозволено Цензурою
Варшава дня 2 Апрелья 1880 года.



Druk „WIEKU,” ulica Nowy Świat Nr. 59.

WŁODZIMIERZOWI KORAB'
OSTROWSKIEMU,

serdecznemu przyjacielowi

poświęcam.

WILHELM VON HUMBOLDT

OSTROVSKEMU

WILHELM VON HUMBOLDT

1802

ZE WSPOMNIENI ŻOŁNIERZA.

I.

Wenecya! ta cudowna córka Adryatyku, owa kraina czaru, poezji i miłości, ileż rzewnych, ileż serdecznych wspomnień budzić musi w każdym, kto tam dłużej lub krócej przebywał? w każdym, kto choćby tylko iskierkę poczucia piękna w duszy posiada. Samo wspomnienie Wenecyi, w której kilkakrotnie w różnych porach roku przebywałem, wywołuje we mnie słodkie marzenia, które dla mnie są najmiłsze! Zwiędziłem wiele krajów i ziem Europy środkowej i południowej, zwiędziłem całe Węgry, dolną i górną Austryą, Styryą, Karyntyą, Tyrol, Istrią, Czechy, Bawaryą, Saksonię, prowincye Nadreńskie, Włochy północne i t. d. lecz nigdzie nie doznałem tak silnych wrażeń jak w Wenecyi i to nietylko za pierwszym poby-

tem moim tamże w roku 1853, lecz za każdym razem, ilokrotnie w Wenecyi przebywałem.

Roku 1853, licząc zaledwie lat 17, ze ś. p. ojcem moim opuściwszy zagrodę rodzinną i zwiędziwszy Kraków z pamiątkami jego, Wiedeń i Tryest: po raz pierwszy zawitałem do Wenecyi.

Tryest opuściliśmy wieczorem około 10-ój godziny, dążąc do Wenecyi na statku parowym, należącym do Towarzystwa „Lloyd“. Pierwszy raz wtedy znajdowałem się na morzu! Łatwo pojąć, że byłem z tego dumny i uszczęśliwiony; noc téż całą nie zmrużywszy oka, spędziłem na pokładzie, zachwycając się morzem, po gładkiej powierzchni którego, oblanej blaskiem księżycy, nasz statek szybko przeslizgiwał się, pozostawiając za sobą brudę miliardami iskier swietlanych jaśniejącą.

Na pokładzie gwarno i ludno, podróżnych było wielu, niemców, włochów, krańców, a między nimi była także i rodzina węgierska, z którą zapoznawszy się, dalszą podróż już razem odbywalśmy.

Pierwsze brzaski poranne, różowo barwiąc szczyty masztów i komina okrętowego, zastały mnie na pokładzie. Właśnie mijaliśmy pierwszą latarnię morską, wznoszącą się na końcu murazzow (wał kamienny), ochraniających port wenecki, i wtedy ujrzałem przepiękną Wenecyą, kochankę Adryatyku, kąpiącą się w całym blasku wschodzącego słońca, które promieniami swemi oblało ją jak roztopioném złotem.

W głębi, wysoko, na błękitcie niebios, rysowała

się smukła Campanille di San Marco, kopuły bazyliki, front pałacu Dożów, dalej na lewo la Dogana, i wysoko po nad nią dominujący śnieżnej białości, marmurowy kościół „*Maria di Salute*“; na prawo zaś „*Giardini pubblici*“ i uroczej piękności wyspa San Lazaro.

Gwar dolatujący od miasta z każdą chwilą się wzmagał; już statek zwolnił swego biegu, kotwica z łoskotem spadła w toń lagun, i setki różnorodnych łodzi, gondol, bark, okrążyło nasz statek nieruchomie stojący.

Stałem w pobliżu steru, zapatrzony, nieruchomy i w niemym zachwycie, aż wywołany z téj zadumy głosem ojca, ruszyłem z miejsca, dążąc do gondoli, która nas wkrótce zawiozła pod portyk hotelu Luna. Przebrawszy się cokolwiek i orzeźwiwszy morską kąpielą, ruszyliśmy po pod arkady pałacu królewskiego, na plac Świętego Marka. Ztąd bez zatrzymania się, przeszedłszy po pod arkadami prokuratoryi, stanęliśmy na wybrzeżu kanału wielkiego, między dwoma wspianiałemi słupami, które się wznoszą na Piazzecie.

Pierwszego wrażenia, jakiego doznałem patrząc na to otoczenie, na Giorgio Maggiore, Maria di Salute Riva Schiavoni, pałac Dożów, bazylikę św. Marka: niepodobna mi opisać.

Potém śród dnia zwiedziliśmy jeszcze bazylikę św. Marka i pałac Dożów, pod wieczór zaś znaleźliśmy się znowu między owemi dwiema kolumnami na Piazzecie. Pałac Dożów błyszczał w złotopłomiennym blasku zachodzącego słońca. Kopuła Maryi di Salute, na płomiennéj barwie firmamentu, odznaczała

się niebieskawo. Liczne gondole, pływając bez szmeru po lagunach, jakby po roztopionej lawie, przypomniały nam fantastyczną grą cieni, jakąś wschodnią legendę. Aż do wyżyn zenitu niebo zamieniło się w ocean płomieni i zdawało się że można przez nie zajrzeć w tajemnicze przestworza, wgłąb świetlanego raję Dantego.

Z wieży św. Marka ozwał się dźwięk dzwonu, wzywający na wieczorną modlitwę, i „Ave Maria“ szeptało ust tysiące. Słońce powolnie zapadło na horyzoncie, noc się zbliżyła, Piazza (Plac św. Marka) otoczył się niebieskawą tajemniczą pomroką,

W chwili téj skrzydlate chmury na wsze strony przelatywały ponad głowami naszemi. To „święte gołębie Wenecyi“, wracające do gniazd swoich. Chwile jeszcze słychać było szum i trzepotanie skrzydeł, pomiędzy kopułami bazyliki, a potém — potém, grobowe milczenie zaległo to miejsce.

Na dole tylko pod arkadami Prokuratorji wre i kipi życie w całym rozwoju; tam słychać było śmiechy, westchnienia, jęki rozpacz i nienawiści, lub téż szepty miłości, aż do chwili, w której północ nie wybiła i do snu nie ukołysała znużonych.

Gołębie św. Marka są dumą każdego Wenecyana. Byli wielbicie, co tym błogosławionym ptakom przekazali znaczne summy na ich utrzymanie; lud prosty czci i wielbi je, wierząc, iż szczęście i możliwe klęski, jakie miasto dotykają, zależą od dobrobytu świętych gołębi. Jedna z weneckich przepowiedni twierdzi: „Kiedy gołębie plac św. Marka opuszczą,

wtedy morze pochłonie Wenecyą“, Kto gołębiom krzywdę wyrządzi, ten bywa niezwłocznie aresztowany; jeżeli winny przestępstwa tego dopuścił się po raz pierwszy, to ulega karze pieniężnej do wysokości pięciudziesięciu lirów; jeżeli zaś po raz wtóry, to podlega więzieniu. Za dożów, stara Wenecya posiadała oddzielne prawo gołębie; za „zabójstwo“ gołębia karano śmiercią a nadto krewni takiego „zbrodniarza“ musieli wnieść znaczną sumę do skarbu państwowego.

Każdodziennie o drugiej godzinie po południu odbywa się karmienie gołębi. W oznaczonej porze odbywa się dzwonek zwany „gołębim“, a rozsądne stworzątko nigdy się nie opóźnia. Jeżeli dzwonnik cośkolwiek zmarudzi, to gołębie w zbitych zastępach okrążają wieżę, jakby chciały przypomnieć opóźniającemu się jego obowiązek. Kilkakrotnie nie dzwoniło zupełnie, lecz gołębie upominały się o swe prawa i podniosły taki świérgot, taką wrzawę, że przechadzający się po placu, z obawą spoglądać poczęli na kopuły św. Marka i na powierzchnię morza, bo przecie św. Marek mógł się obrazić i ująć za swoje gołębie.

Karmienia gołębi dopełnia codzienie umyślnie do téj czynności delegowany urzędnik zarządu miejskiego, który o oznaczonej godzinie zjawia się w je-dnym z okien Prokuratoryi i ztamtąd sypie na plac pożywienie tłumnie zlatującym się ptakom. Niezależnie od tego urzędowego ceremoniału, na placu zjawiała się dawniej piękna i młoda dziewica, która zgrabną rączką podnosiła fartuszek napełniony jadem i witała

z uśmiechem nadlatujące ptastwo, które na ramionach i głowie jej siadało, trzepocząc skrzydłami.

Od lat paru nadobna Antoaneta, prawdziwa córka Południa, pełna życia i ognia, o oku czarném tryskającym tysiącami iskier, płci smagłej i wyniosłej a imponującej postaci, przestała karmić ukochane ptaki. Znikła bez wieści. Mówiono wprawdzie, że jakiś lord angielski zakochał się w niej i uwiozł ją z Wenecyi; być to może, lecz czy przyjaciółka ptaków, symbolizujących czystość i niewinność, mogłaby się im sprzeniewierzyć? czyżby mogła je opuścić dla zimnego syna Albionu? Nie! Antoaneta dziś jeszcze, zamieniona w białą gołąbkę, znajduje się między skrzydlatą rzeszą i kąpie swe śnieżne pióra w lazurach nieba, w złotym blasku słonecznych promieni, które jakby lawą ognistą zalewają całą Wenecyą!

Pewien stary siwobrody gondolier z Ponte Rialto, mówił mi raz, że jeżeli Wenecyą ma nawiedzić gwałtowny przypływ morza, czyli tak zwana „burzliwa fala“, wtedy gołębie siadają na szczycie krzyża dzwonnicy. Nad wejściem znowu do kościoła św. Marka, poniżej słynnych brązowych koni, stoi lew, symbol weneckiej potęgi i władzy. Jeżeli kiedykolwiek mają miasto dotknąć jakie klęski lub nadzwyczajne wypadki polityczne, wtedy gołębie zgromadzają się na naradę naokoło lwa. Tak było r. 1848 i 1866, gdy Cesarz Franciszek Józef I postanowił ziemię wenecką odstąpić Napoleonowi III i wtedy setki

augurów wróżyło o przyszłych losach Wenecyi, bo „*Wróżba Lwa*“ jest nieomylną.

Wedle pięknej tradycyi, przechowującej się w ustach ludu weneckiego, święte gołębie pochodzą z Palestyny. Pewien trubadur z Prowancyi podążył z krzyżowcami francuzkimi do ziemi Świętej, i w wolnych chwilach od zajęć rycerskich zabawiał się śpiewem, przygrywając sobie na lutni. Tędy które z pod palców jego wypływały, były nadzwyczaj harmonijne, pełne wdzięku i melodyi, tak dalece, że para gołębi, wrażliwych na tak piękną muzykę, jakby oczarowana, wszędzie za śpiewakiem leciała, i gdy tenże, wracając do kraju, w Joppie wsiadł na pokład statku francuskiego, wtedy i gołębie w zachwycie słuchając śpiewu pieśniarza, siadły na jego hełmie, i wraz z nim do Wenecyi przybyły.

Tu nasz pieśniarz poznał urocze dziewczę, dla którego wyrzekł się swój ojczyzny i ożeniwszy się osiadł w Wenecyi. Gołębie poszły także w ślady swego pana i uwiły sobie gniazdko na kopule św. Marka. Lud, tak pieśniarza jako też i gołębie jego szanował, a z czasem i ubóstwiał, jako istoty zesłane przez Boga; potomkowie ich do dziś doznają czci niepośledniej. Inna opowieść twierdzi, że w roku 1371 jednemu z dożów Papież przysłał w podarunku parę gołębi i od tej pary pochodzą dziś żyjące stada tego ptastwa na kopułach św. Marka. Obie te jednak wersye są wymysłem, a właściwe pochodzenie gołębi weneckich opisuje dokładnie jeden z kronikarzy tej stolicy Adryatyku.

Pewnej niedzieli palmowej XV wieku postanowiono urządzić dla ludu niespodziankę czyli tak zwane „Bene“. W tym celu kupiono w Padwie sto par gołębi, obciążono ich skrzydła małymi woreczkami z piaskiem i następnie ze szczytu kościoła św. Marka puszczono je na Piazzettę.

Zgromadzone tłumy miały udzielone pozwolenie gołębie łapać i obracać na swój pożytek. Wskutek tego nastąpił okropny tłok, wśród którego kilkoro ludzi postradało życie. Rzucano na przelatujące gołębie kamieniami, kijami, nożami, słowem wszystkim co kto miał w rękę, bez względu na to, iż nie tylko gołębie, lecz i zgromadzeni pociskami temi rażeni być mogli. Poranieni oburzyli się na tego rodzaju polowanie i rozpoczęła się bitwa, pełna krwawych epizodów. Gołębie wśród ogólnej zamieszki umknęły i skryły się na szczytach Bazyliki. Wprawdzie dostrzeżono gdzie biedne ptaki się skryły, lecz świętość miejsca ochroniła je przed dalszym prześladowaniem i od tej chwili stały się przedmiotem troskliwej opieki wszystkich mieszkańców Wenecyi. Poszanowanie tych świętych ptaków tak daleko jest posunięte, że prawdziwy Wenecyanin nie odważyłby się nigdy jeść gołębia. Nędzarz, upadający z głodu, prędzej umrze nimby gołębia miał spożyć.

Od roku 1848 gołębie weneckie stały się o wiele droższe, o wiele cenniejsze dla obywateli tego miasta, bo przypominają im chwile dzielnej obrony oblężonego grodu.

Działa austriackie siały śmierć i zniszczenie;

lada chwila dumna kochanka Adryatyku ukorzyć się miała; głód doskwierał obleżonym a jednak gołębi nikt nie tknął. Daniel Manin, dyktator, zwany ostatnim dożą Wenecyi, uszanował je i jak zawsze tak w czasie obleżenia dzwonek wzywał święte ptaki na żer. Nie uskąpiono im ani jednego ziarnka ze zwykłej porcy. Po długiej, zaciętej i upornej walce, Wenecya upadła; lecz z gołębi nie zginął ani jeden dla zaspokojenia ludzkiego głodu. Teraz, gdy Wenecya została wcieloną do ogólnej ojczyzny włoskiej i gdy Manin snem wiecznym ujęty, spoczął w przedsionku kościoła św. Marka, lud twierdzi, że gołębie, wiedząc komu zawdzięczają swe istnienie, w rocznicę zgonu Manina tłumnie pomnik jego obsiadają, oplakując swego przyjaciela i dobrodzieja, najlepszego syna Wenecyi. W dniu tym, tak smutnym, a zarazem i uroczystym dla Wenecyan, ponad wodami lagun wzlatuje obcy gołąb, lśniącej białości, otoczony światłością jak obłokiem eterycznym.

Nikt nie wie z kąd ten gołąb przybywa, nikt nie zna celu jego lotu. Chwilę tylko ptak ten, jakby błogosławiąc, unosi się ponad wodami królowej morza; ulatuje coraz wyżej i wyżej, i niknie w błękitnym przestworzu, aby za rok na nowo nad Wenecyą pobujać.

A Wenecyanin powtarza: „*to duch Manina!*”

Zdale słyhać pieśń uroczystą, pełną harmonii i namaszczenia. Szerokie jej tony płyną po falach morskich i giną w oddaleniu. To gondolierzy śpiewają hymn: „*O dolce patria!*” a gołębie wzlatują po

nad kopułą św. Marka i skąpawszy się w ostatnich odblaskach zachodzącego słońca, jak śnieżna lawina spadają na bazylikę.

I znowu cicho i głucho w około, szmer tylko fali morskiej słyhać zdala, pod arkadami Prokuratory rozlega się szept miłosny, tajemniczy i słyhać westchnienia gorące. Na Canalazzo plusk wiosła mięsza się z rzewnymi tonami barkaroli: „*La mia mama*“, lub rzewnej — „*Santa Lucia*“!

I znowu cicho wszędzie.

Wenecya usypia, ażeby wnet otrząsnąć się ze snu i pełna życia kipiącego olśnić swoim przepychem, upoić rozkoszami życia, miłości i pragnień wędrowca z dalekiej północy.

Po czternastodniowym pobycie w tém mieście, opuściliśmy z ojcem Wenecyą, i na Tryest, Wiedeń, i Kraków wrócili do rodzinnej zagrody.

W parę miesięcy później opuściłem dom rodzicielski i wstąpiłem w szeregi armii austryackiej.

Następnego roku, już jako podporucznik, po paromiesięcznym pobycie we Lwowie, przeniesiony zostałem do pułku znajdującego się podówczas w Krakowie.

II.

W roku 1857, po dwuletnim blisko pobycie w Krakowie, przeniesiony zostałem do 4-go batalionu znajdującego się pod tę porę na Spizę w Lewoczy.

W przewodnią niedzielę po Wielkiej nocy, góralskim wózkiem, rankiem wyruszyłem z Krakowa przez Podgórze ku Mogilanom, z kądem poraz ostatni spojrziałem na Kraków, w sinęj oddali malujący się wspaniale na horyzoncie. Myślą pożegnałem ten gród starożytny, pełen pamiątkowego dla mnie uroku, ową smukłą wieżycę Panny Maryi, na szczycie której w porannym blasku jaśniała korona, żegnałem dumnie na skale wznoszący się Wawel stary, owe trzy kopce pamiątkowe, dalej uroczę Bielany!...

Oddalałem się coraz bardziej od Krakowa; widok jego zacierał się na horyzoncie, powoli nikły wieżycę, rozplływały się w powietrzu, i sinawy tylko pasek oznaczał miejsce, gdzie ten gród się wznosił. Z zachodem słońca zdążyłem na nocleg do Lubienia, gdzie w przydrożnej karczynie, wcale porządnej, z czysto urządzonemi pokoikami, przepędziłem pierwszą noc u podnóża pierwszych stoków Karpat.

Nazajutrz, równo ze wschodem słońca, puściłem się w dalszą drogę i pod wieczór stanąłem na wyżynie, tuż obok tak zwaną „Czerwonej karczmy“, z kądem przed oczyma memi rozwinęła się piękna dolina nowotarska, od południa wysoką ścianą gór tatrzańskich zamknięta.

Ogrom gór, szczyty których, pokryte śniegiem, błyszczały w różowawym odblasku, sprawił na mnie niezmierne wrażenie. Dziś jeszcze po latach tyłu, widzę przed sobą tę uroczą panoramę. U stóp moich, w dolinie, jakby na zielonym kobiercu, rozsiadł się Nowy Targ, w głębi szczyty Tatr ze swemi stokami; na lewo środkiem doliny wijący się Dunajec, nad brzegami którego w szarawej wieczornej pomroce widniała wioska Maniów, a dalej Czorsztyń i Niedzica! Ponad tem wszystkiem groźnie na błękitnem niebie rysowały się w kierunku Krościenka poszarpane szczyty skał, na których, jak twierdzi podanie, wznosił się niegdyś zamek, zamieszkiwany przez królową Kingę.

Noc się zbliżała; podążyłem więc ku Nowemu Targowi, z kądem niezwłocznie pośpieszyłem do Maniowa, gdzie u znajomego mi właściciela tej majątności przepędziłem noc, udając się nazajutrz w dalszą podróż, i chcąc tegoż dnia jeszcze stanąć w Lewoczu.

Miasteczko to, położone na wysokiej górze, nadzwyczaj czyste, pełne świeżej woni górskiego powietrza, zwraca na się uwagę prześliznym farnym kościołem, wzniesionym w stylu gotyckim i posiadającym cenne rzeźby Wita Stwosza.

Przybywszy do Lewoczy (*Löcse varos*, czytaj Leczsze warosz) niezwłocznie przedstawiłem się komendantowi batalionu, majorowi Knopp von Kirchwald, pod rozkazami którego już r. 1854 służyłem we Lwowie. Pan major przyjął mnie dosyć szorstko, jak to było w jego zwyczaju. Nazajutrz, zaliczony do 20-jej kompanii, rozpocząłem swoją służbę, przeświadczony, że będzie najeżoną kolcami.

Niezrażony tём jednak, z kolegami się poznałem i postanowiłem zrobić parę wycieczek w okolicę. Zamierzyłem tём zwiędzić *Koszyce*, *Preszów*, *Podoliniec*, *Szombothely* (czytaj Somboteli), *Berzewicsy* (czytaj Berzewiczsi) nad Turczą, ruiny zamku *Spiskiego* i inne miejscowości ciekawsze.

Koledzy moi ówczesni, jak K. Lerch, Tomaszek, Grünwald i kilku innych podzieliło ze mną powzięty zamiar, i już w następnym tygodniu mieliśmy się cichaczem wymknąć na jedną z wycieczek; obawa tylko zachodziła, a żeby nie dowiedział się o tём pan major, który nie lubił gdy oficerowie garnizon opuszczali, chociażby tylko na parę godzin. O uzyskaniu pozwolenia na tę wycieczkę nie można było i marzyć; major Knopp bezwarunkowo byłby nam nie udzielił urlopu, postanowiliśmy więc przedsięwziętą wycieczkę odbyć bez jego wiedzy.

Niestety, pierwotny termin nie przyszedł do skutku bo w przededniu zamierzonej wycieczki pan major wydał rozkaz, iż nazajutrz odbędzie przegląd batalionu.

Dzięki przypadkowi poznałem się w pewnym to-

warzystwie z hr. Erdödy, mającym w pobliżu Lewoczy swój majątek; z nim też pewnego dnia, nic nikomu nie mówiąc, wymknąłem się z miasta celem zwiedzenia ruin zamkowych w Berzewicy. Równie prawie ze świtem opuściłem Lewoczę i dosyć górzystą drogą podążyłem na miejsce, a zwiędziwszy piękne ruiny zamkowe, położone na wysokości skalistej górze, u podnóża której Turcza bystro płynie, dzień cały spędziłem w nader miłym towarzystwie.

Późno już wieczorem wróciłem do Lewoczy. Byłem przekonany, że o mojej wycieczce nikt nie wie, lecz gdzie tam, pan major, który jak Argus każdy krok podwładnych śledził, już był o wszystkiém powiadomiony i stało się coś... co wszystkie moje dalsze plany pokrzyżowało; bo oto pan dowódzca, za wydalenie się z miasta bez pozwolenia, w wysokości swój łaskawości raczył mnie za karę... internować w mieście! Odtąd nieszczęśliwy więzień, musiałem się wyrzec dalszych wycieczek.

Berzewicy, jak już nadmienilem, leży nad rzeczką Turczą, w bardzo malowniczej okolicy, tak jak i wszystkie prawie miejscowości na Śpiżu. Ruiny zamczyska, zajmujące dosyć rozległą przestrzeń, w o-nym czasie znajdowały się jeszcze w dosyć dobrym stanie, a nawet część ich pewna była zamieszkiwaną. Kaplica, parę komnat i obszerne podziemia dawały prawie dokładne pojęcie o zamożności byłych właścicieli tego zamczyska.

Turcza, inaczej Torysa, wpływająca w ziemi Spiskiej z pod szczytów góry Rzepisko, dąży ku poł-

dniowi, gdzie w pobliżu wioski Mistye wpada do Hernadu, rzeki stanowiącej przyływ Cisy.

Mała ta rzeczka z szumem i hukiem toczy swe wody krystalicznej przejrzystości w kamienném łożysku, otoczoném wysokimi, a miejscami bardzo stromymi skałami.

Z Lewoczy wyjechałem małym górskim wózkiem drogą prowadzącą ku Szepesvar (Sepeszwar) i razem z hr. Emerykiem Erdödy, który po mnie przyjechał podążyliśmy ku północy, po pod górę Visoka Hola. Przesmyk pod tą górą przebyliśmy po większej części piechotą, wśród wysokich i dosyć stromych ścian skalistych. Po parugodzinnéj podróży przybyliśmy na prawy brzeg Turczy i przejechawszy w tém miejscu most, stanęliśmy w Berzewicy, małej osadzie, nad którą ruiny starego zameczyska panują.

Odpocząwszy chwil parę, ruszyliśmy niezwłocznie na górę zamkową, po krętéj i stroméj ścieżynie, wijącój się nad urwiskami skalistemi, u podnóża których przepływa Turcza.

Z bramy zamkowej, rozsypującej się w gruzy, widok bardzo malowniczy: w stronie północnej zwłaszcza, wśród wązkiego przesmyku gór, dostrzedz można zamek i wieś Palocse (Paloczszé), położone nad Popradem, który, przerznawszy się przez Karpaty, pod Muszyną wpada do Galicyi. Palocsa, położona na stoku Karpat, wśród ciemnej zieleni lasów świerkowych, piętrzących się w głębi, oblana jaskrawými promieniami słońca po nad górą wzbijającego się, z punktu tego przesłicznie wygląda. Głuche milczenie zalegające

zameczysko, przerywane tylko świeżym ptastwem bujającego wśród licznych krzaków jałowcu i niskopiennej karłowatej sośniny, podnosiło urok czarującej okolicy. Na południe wznosząca się Visoka Hola, zasłaniająca widok z tej strony, i obłana światłem, wydawała się nagą i niedostępną skałą, a jednakże dolatywały nas ztamtąd liczne głosy dzwonek pasącego się bydła i daleko po rosie płynące tony fujarki, na której jeden z pasterzy smętną, słowacką wygrywał piosenkę.

Po zameczysku oprowadzający nas *bacsa* (baczsza, owczarz), niemłody już człowiek, z siwym długim włosiem, Słowak rodem, zachęcony przez hrabiego w chwili w której zasiedliśmy do spożycia podróżnych zapasów, zaczął opowiadać podanie, przywiązane do tego zameczyska a odnoszące się do ostatniego z rodu starszej linii Berzeviczych.

„Przed wielu, bardzo wielu laty, mówił stary bacsa, zapalając u ogniska swą krótką fajeczkę, w zamku tym przemieszkiwał najsłynniejszy strzelec na całej hrabstwie spiskie, szaryskie i ziemneńskie, możny pan i dziedzic tego zamku Imre Berzeviczy, ostatni z rodu swego, bo ci co dziś są dziedzicami tej włości i tych ruin, pochodzą z drugiej linii i nazywają się Ujvaralya — Berzeviczy. Młody ten człowiek, od świtu do późnej nocy przebiegał góry i lasy z bronią w ręku, goniąc za zwierzyną, która nigdy przed celnym jego strzałem nie uszła.

„Z sąsiadami swymi Imre mało się znosił, a nawet unikał ich towarzystwa, przekładając samotność

w głębokich ostępach leśnych i na szczytach gór nad gwarne biesiady w gronie nadobnych dziewic i rycerskiej młodzieży. Wszyscy téż uważali go za odludka; mało kiedy kto zawitał go zamku Berzeviczy, który ze wszech stron był wtedy otoczony wysokopiennymi lasami. Jedynymi towarzyszami Imra, byli tu stary sługa i niemniej stara gospodyni, która go od dziecka wychowała.

„Stara Hanka (Joanna), skazana na samotność, nudziła się wielce, a pocieszały ją jedynie wspomnienia z młodości, gdy jeszcze za życia ojca Imre, na zamku wrzało życie, a wrota zamkowe na ścieżaj otwarte, zapraszały gościnnie przechodnia do wstąpienia w progi zamczyska, gdzie gościa i każdego jako zesłańca Bożego witano. Hanka niejednokrotnie usiłowała wychowawca swego naprowadzić na inne tory życia, przedstawiając mu, że dłużej tak trwać nie może, że winien zaniechać bezustannych polowań, i raz przecie postarać się, aby zamek ten miał swą panią, piękną i młodą kasztelanową!

Lecz Imre śmiał się z tego, twierdząc, że jeszcze długo będzie musiała czekać, nim spełni jej życzenia, bo dotąd nie spotkał jeszcze księżniczki zaczarowanej, która po lasach i górach się błąkała, a zresztą i wtedy jeszcze długoby się namyślał czy wziąć ją za żonę.

„Hanka, słysząc to brała gniewnie klucze i wypowiadając słowa prawdy, wydalala się z komnaty do swego gospodarczego zajęcia; Imre zaś, śmiejąc się z całego serca, porywał za broń i z wesołą piosenką na ustach, nie troszcząc się ani o gniew Hanki, ani

tęż o dzwony wzywające na nabożeństwo, pośpieszał w góry.

„Dnia pewnego, gdy Hanka gwałtowniej niż zwykle z swymi uwagami wystąpiła, Imre, zniecierpliwiony zaklął się, że nigdy nie ulegnie szałowi miłości i nigdy kochać nie będzie, chociażby to była jaka księżniczka zaklęta lub też boginka leśna.

„Powiedziawszy to Imre, jak zwykle, wyruszył na polowanie. Niebawem wierny pies jego wytropił prześliczną białą sarenkę, która uchodziła przed pogonią swobodnie, jakby rada temu, że strzelec idzie jej śladem.

„Imre nigdy jeszcze nie widział tak pięknego stworzenia; z niewysłowionym też zapałem gonił uchodzącą sarenkę, aż do miejsca otoczonego skałami, pełnego dzikiej grozy.

„Z pośród skał wypływał strumyk kryształowy; nad brzegiem rosły precudnej piękności błękitne kwiatki i białe lilie a za strumykiem rósł rokoszny krzak róży.

„Imre, przybywszy nad brzeg strumyka, przez który biała sarenka z niewysłowioną lekkością przeskoczyła, zatrzymał się w pogoni i owładnięty niemym podziwem, mimowolnie ugiął kolana, przysłaniając sobie oczy.

„Na przeciwnym brzegu, w lekkie przejrzyste obsłonki otulona, stała dziewczica nadziemskiej urody, a do boku jej tuliła się biała sarenka.

„ — Imre! ozwała się dziewczica, co chcesz od téj biednej sarenki? Za co przesładujesz ją swoją pogonią!

Przysięgłeś, że nigdy nie ulegniesz czarowi miłości; otóż wiódz o tém, że chcąc posiadać tę sarenkę, wpiérw musisz mnie pokochać! I będziesz mnie kochał i tęsknił za mną, lecz za karę nierozważnej przysięgi, ani sarny ani mnie nie posiędziesz!“

„Imre, usłyszawszy te słowa, jednym skokiem chciał przeskoczyć strumyk dzielący go od zjawiska i nieznaną dziewczicę porwać w swoje objęcia, lecz siły go opuściły. W mgnieniu oka, leśne duchy go otoczyły, z szyderskim śmiechem wyrrywając mu z rąk broń i zwojami dzikiego powoju krępując mu ręce i nogi. Skąły zamieniły się w odrażające postacie duchów podziemnych, które wykrzywiając się i mrugając zielonemi oczyma, szyderyczym śmiechem napelniały powietrze.

„W bezwładnej rozpacz, z wzrokiem skierowanym na uśmiechającą się postać cudownej dziewczicy, Imre rzucił się na skalisty brzeg strumyka.

„ — Nadziemska istoto! wołał Imre, cofnij swój wyrok, bo kocham cię całą potęgą mojej duszy, kocham cię miłością nadziemską, nie bądź tak sroga, wybacz mi błąd mój, popełniony w nadmierném zarozumieniu.“

„Boginka uśmiechnęła się tylko i skinąwszy ręką na pożegnanie, znikła pośród zieleni otaczającej polankę, na której przed chwilą się ukazała.

„Mileczący i w głęboką zadumę pogrążony, bez jakiegokolwiek zdobyczy łowieckiej, Imre wrócił do zamku. Nazajutrz i dni następnych, bez broni i psa wiernego, wracał nad strumyk, w mniemaniu, że zno-

wu ukaże mu się tam czarodziejka; lecz próżne były jego nadzieje!

„Miotany niewysłowioną rozpaczą, trawiony szaloną miłością, straciwszy już wszelką nadzieję, aby kiedykolwiek mógł ujrzeć tę którą tak pokochał, opuścił zamek rodzinny i wstąpił do zakonu nitrzańskiego. Lecz i tam nie znalazł spokoju, i tam widmo boginki nie znikło, aż nareszcie ciągłą walką ucząc stargane siły opuściły go, i Imre legł na śmiertelnej pościeli, a w chwili, w której zimna dłoń śmierci zamykała mu oczy, u łóża jego stanęła boginka z pośród skał i przyciskając go do śnieżnego łona swego, złożyła na zimnych już ustach gorący pocałunek pełen miłosnego żaru.

„Imre spojrział raz jeszcze na czarowne zjawisko: lekki uśmiech przewiął się po ustach jego i szepcząc „zapóźno!“ wyzionął ducha.

„Czasami wędrowiec spóźniony lub też węglarze dążący do swoich szałasów, widują pomiędzy skałami nad brzegiem strumyka, postać mnicha siedzącego na skalistym odłamie. Jak mówią, ma to być duch nieszczęśliwego Imre Berzewicza!“

Wysłuchawszy téj fantastycznej opowieści i nasyciwszy się wspaniałym widokiem, już dobrze pod wieczór ruszyliśmy z powrotem do Lewoczy, dokąd późno w nocy przybyliśmy.

Zmuszony do pobytu w mieście i nie mogąc ani na krok wyruszyć po za jego obręb, czas wolny od służby poświęciłem na zwiedzenie wspaniałej świątyni-

ni, która jest najwspanialszą i najcelniejszą ozdobą Lewoczy.

Szczegółowo tego wspaniałego kościoła, wznoszącego się w pośrodku bardzo obszernego placu, opisywać nie będę; nadmienię tylko, że świątynia ta, wzniesiona w stylu gotyckim, przypominająca kształtami swymi kościół Maryacki w Krakowie, ozdobiona jest przepyszniemi rzeźbami, między którymi największe zajęcie budzi wspaniały ołtarz, rzeźbiony przez Wita Stwosza, z układu i treści podobny do wielkiego ołtarza u Panny Maryi.

W trzy czy w cztery tygodnie później, batalion nasz otrzymał rozkaz udania się do Komorna nad Dunajem, gdzie odtąd, jako rezerwowy, w okręgu swoim (Werbbezirk) miał pozostawać.

Przez Kapostafalva, Hnilec Pohorellę i Polomkę, położone tuż pod Kralową Holą, dalej Briesen, wzdłuż Granu, przez Nową Sól (Besztercebanya, czytaj Besterczebanija), Radvany, Starą Sól (Zalyóm czytaj Zoliom) Szczawy węgierskie (Schemnitz, Selmecebanya czytaj Szelmeczbanya,) sławne miejsce kąpielowe Slihacz, Leva i Nagy-Sarlo (Nadij Szarlo) zdążyliśmy nareszcie po dziesięciodniowym marszu śród prześlicznej pogody do naddunajskiej twierdzy Komorna.

W ciągu téj całej dziesięciodniowej podróży, od Lewoczy począwszy, przechodząc hrabstwa spiskie, gömörskie, solskie, hontskie i barskie, a mianowicie dopókiśmy szli wzdłuż wybrzeży Granu, przechodziliśmy zachwycająco piękne okolice, głównie w gór-

něj części Granu. Na całej drodze ludność miejscowa, tak inteligencya jako, też i włościanie, przyjmowała nas bardzo gościnnie.

W Szczawach, gdzie nam wypadła dniówka, studenci miejscowej akademii górniczej przyjęli nas więcej niż gościnnie, a szczególnie serdecznie podejmowali nas Węgrzy i Polacy w tej akademii będący.

Kwaterując po wsiach w czasie naszego przemarszu doznałem i od włościan węgierskich wiele gościnności, która, jak się potem przekonałem, jest ich kardynalną zaletą. Prześliczny też zwyczaj panuje tu między ludem. W świetlicy, wzorowo czystej i przystrojonej, przed ławami okalającymi świetlicę, stoi duży stół, zawsze świeżym białym obrusem pokryty, a na nim leży duży bochenek białego chleba, sól w czarce, kawał wysmienicie urządzonej słoniny i ostry nóż; a nadto stoi tu duży dzbanek i szklanka, napełniony winem z winnicy gospodarza, który przybywszy do spożycia zastawionych darów Bożych uprzejmie zaprasza, mówiąc:

— *Kérem alázatosan, csak tessék hozzanyúlni* (*).

Jak wielką jest gościnność u ludu wiejskiego, tak też niemniejsza panuje i między inteligencją, która jednak w obec wojskowych, mianowicie Niemców, jak w onym czasie, była więcej ceremonialną. My jednak Polacy na tę wymuszoną, oficjalną ceremonialność narzekać nie mogliśmy; przeciwnie obchodz-

(*) Uprzejmie proszę chciej pan sobie służyć.

no się z nami jak z członkami rodziny, jak z najlepszymi przyjaciółmi. W obec też tego, koledzy nasi Niemcy a mianowicie wyższych stopni wojskowych, niechętnie na to się patrzyli, i jakby umyślnie chcąc udowodnić uciemienionym podonczas Węgrom, że oni są ich panami, za doznawaną gościnność odpłacali nieraz brutalnością, wcale niezgadającą się z cywilizacją i wychowaniem, jakie ludzie na takich stanowiskach miećby powinni. Węgrzy też umieli płacić pięknem za nadobne, i szanownych niemieckich cywilizatorów traktowali bardzo obojętnie, niemal z lekceważeniem.

Po osiedleniu się w Komornie, korzystając z pięknego lata, niejednokrotnie robiłem wycieczki w głąb kraju, do Totis, Granu, Pesztu, Pancsovy i Belgradu. Wskutek tego poznałem się ze znaczną liczbą obywatelstwa wiejskiego i miałem możność dokładnego obznajmienia się ze zwyczajami i obyczajami miejscowymi, a przyuczywszy się cokolwiek po węgiersku, skrzętnie śledziłem, zwłaszcza podania ludowe.

Piękna to kraina, pełna uroku, światła słonecznego i poezyi. Lud szczery, gościnny, kierujący się uczuciami podyktowanymi przez naturę, nie zna obłudy, podstępów, zdrady. Węgier co ma w myśli i sercu, ma także i w uśmiechu.

Śród dosyć częstych wycieczek po kraju zabłąkałem się nad brzegi Wagu, aż w komitacie trenczyńskim.

Besztercze, mała miescinka, położona na lewym brzegu Wagu, otoczona ze wszech stron górami, zwró-

ciła moją baczniejszą uwagę, ze względu na podanie, jakie do tej miejscowości jest przywiązane.

W północnej stronie tej miejsciny wznosi się dosyć stroma skała, a na niej malownicze ruiny starożytnego zamczyska, należącego niegdyś do znanej Węgierskiej rodziny Berzevicsi - Besztercze.

Otóż podanie miejscowe głosi, że za czasów, gdy jeszcze półksiężyc nad dumną stolicą Węgier panował, jeden z przodków wygasłego już dziś rodu, Imre Berzevicsi, w jednej walce z Turkami nad Wagiem, wziął w niewolę cały tabor turecki. Między niewolnikami znajdowała się także pozecudnej piękności dziewczica, która, jak wnosić należało z ubrania i szacunku jakim liczni słudzy ją otaczali, należeć musiała do znakomitego muzułmańskiego rodu. Berzevicsi, przyprowadziwszy niewolników do zamku swego, wszystkich mężczyzn w pień wyciąć kazał; kobietom zaś i dzieciom, z wyjątkiem nadobnej tureczynki, darował wolność. Branke, która się zwała Fatyma, osadził w jednej z baszt zamkowych, otoczył ją wszelkimi wygodami, a nawet i więcej, bo wschodnim przeplechem, i kazał ją uczyć po węgiersku i słowacku.

Fatyma, pomimo swobody jaką miała, pomimo troskliwości, jaką Imre ją otaczał, była zawsze smętną i w głębokiej zadumie pogrążoną. Dnie całe spędzała w oknie swjej komnaty, patrząc łzawym wzrokiem na wschód, jakby ztamtąd wyglądała pomocy i wyswobodzenia z niewoli. Posłuszna woli pana swego gorliwie uczyła się po węgiersku, i niebawem mogła już z Imrem i służbą dosyć płynnie rozmawiać.

Imre, przebywając ciągle w towarzystwie swjej pięknej branki, z którą teraz mógł się porozumieć bez pośrednictwa tłumacza, odkrywając w niej coraz piękniejsze przymioty duszy, zakochał się szalenie i powziął zamiar zaślubienia jej. Na uczynioną jednak propozycją, ażeby Fatyma przyjęła chrześciance i stała się jego żoną, nieszczęśliwe dziewczę załało się potokiem łez i oświadczyło, że kochać nie może, bo serce swe już oddała innemu i że wierze przodków swoich do śmierci wierną pozostanie; pomimo to zgadza się być mu sługą i niewolnicą, wszystkiem, lecz kochanką i żoną nigdy!

Imre myślał, że przyjdzie czas, w którym Fatyma poweźmie inne przekonanie i odda mu swą rękę. Lecz pomimo wszelkich starań, namów, mimo jawnych dowodów miłości jaką Imre ku Fatymie płonął, piękna branka została wierną swemu postanowieniu. Tak minął rok przeszło, gdy dnia pewnego u wrót zamkowych stanął podróżny, okryty kurzem i odziany w kosztowne niegdyś, lecz teraz zniszczone szaty, znamionujące wschodnie pochodzenie. Był to dorodny młodzieniec, wzrostu słusznego, barczysty, o szlachetnych rysach twarzy, czarnem oku i czarnym zaroście.

Nieznajomy zapragnął widzieć się z panem zamku, do którego wnet przez giermka zaprowadzony został.

— Co chcesz i kim jesteś? zapytał Imre, spoglądając na przybysza.

— Bądź pozdrowiony, panie, imieniem Allaha

i jego proroka Mahometa! ozwał się przybysz. Jestem Mustafa Girej — Aga, przybywam aż z wybrzeża Azji, dowiedziawszy się od moich rodaków i od tych kobiet, które z niewoli puściłeś, że zatrzymałeś u siebie dziewczinę piękną jak róża z ogrodu Mahometa, smukłą i zwinną jak gazella, a tak dobrą i słodką jak miód tych pszczoł, co piją słodycz z kielichów wonnych kwiatów całego wschodu. Otóż dziewczica ta, Fatyma, córka jedyna Hamida-Bega, była mi zaręczoną i ja ją kocham, wzajem przez nią kochany. Przyszedłem więc, panie, złożyć za nią okup, jakiego żądasz, abys tylko ją uwolnił i mnie ją oddał. Ojciec jej zginął w walce z tobą, matka wróciła do opustoszałej chaty i zaléwa się łzami za swą ukochaną gazellą. O panie, wszystkie skarby jakie posiadam a są one niemałe, złożę u stóp twoich, tylko oddaj mi Fatymę!

— Skarbów twoich, odparł Imre, nie pragnę! mam ich dosyć, a nawet i te co mam, oddam ci z chęcią, tylko idź ztąd i nieżądaj, bym ci Fatymę oddawał; bo wiédz, że i ja ją kocham całą duszą, całą potęgą miłości.

— O Allah il Allah, Muhamed il Allah! zawołał Mustafa, padając na kolana przed Berzevisim; ulituj się méj niedoli, patrz, leżę u nóg twoich i kierzę się przed tobą, życie moje należec będzie do ciebie; niewolnikiem chcę być twoim, pył z przed stóp twoich zdmuchiwać będę, tylko wysłuchaj méj próśby!

— Nie, nie! idź zkađ przyszedłeś, odparł Imre próżne twe błagania! Fatyma dla ciebie już nie istnieje!

— Panie! jęczał nieszczęśliwy Mustafa; na cienie przodków twoich, na błogosławieństwo tego Boga, co w naszych sercach najskrytsze myśli czyta, zaklinam cię, nie odpychaj mnie od siebie i bądź litościwym, daj mi moją Fatymę, a wszystko uczynię co każesz! Jam twój niewolnik!

— Więc dobrze, rzekł Imre wzruszony błaganiami przybysza, skarbów twoich nie pragnę i ciebie niewolnikiem mieć nie chcę! lecz oto słuchaj: zamek ten, mimo że silnie i obronnie jest wzniesiony, nie mógłby się długo opierać nieprzyjacielowi, bo na tej skale nie ma wody; otóż weź oskard i rydel i jeżeli sam bez niczyjjej pomocy wykujesz mi studnię na tej skale, któraby dostarczała zdrowej i czystej wody mieszkańcom zamku, oddam ci Fatymę!

Mustafa, usłyszawszy ten wyrok, niezwłocznie we wskazaném miejscu zabrał się do roboty. Skala była twardą, robota szła bardzo powolnie, Mustafa pracował gorliwie dniem i nocą; lecz mimo że już parę miesięcy minęło od rozpoczęcia roboty, nie bardzo głęboko zapuścił się w skałę a wody jak nie było, tak nie było.

Już siły opuszczać go zaczęły, upadał od znużenia i pracy, oblicze jego pokryło się zmarszczkami, i tracił nadzieję, aby kiedykolwiek mógł dokopać się do wody.

Dnia jednego, w chwili krótkiego odpoczynku, Mustafa usłyszał wysoko ponad sobą w okienku bazyliki dźwięczny śpiew znajomój sobie piosenki; radość

niewysłowiona napełniła jego serce. To śpiewała Fatyma. Pokrzepiony myślą, że dla niej pracuje i że kosztem tej pracy zdobędzie ją dla siebie, westchnąwszy do Boga z całą wiarą i ufnością, rzucił się do pracy podwójnie gorliwie.

Już rok minął od czasu jak Mustafa kopać zaczął studnię; zapuścił się też głęboko we wnętrze skały, lecz wody dotąd jeszcze nie było. Imre, zdumiony wytrwałością, siłą i niczem niezachwianą miłością Mustafy, postanowił zwolnić go z obowiązku jaki nań włożył i oddać mu ukochaną jego Fatymę; gdy oto, dnia pewnego Mustafa, blady, wynędzniały, ledwie utrzymać się mogący na nogach, okryty błotem, wpadł do komnaty Imre i rzucił się do nóg jego.

Chwil kilka minęło, nim Mustafa, miotany różnemi uczuciami, mógł przemówić. Podniesiony przez Imre i posadzony na wygodném krześle, Mustafa zalał się łzami, a całując ręce Berzevicsego drżącym od wzruszenia głosem wyszeptał:

— Jest woda! Teraz, Fatyma moja!

Imre, przekonawszy się, że w istocie studnia napełniła się czystą i dobrą wodą, niezwłocznie zaprowadził Mustafę do Fatymy.

Spotkanie tych dwojga kochanków przekonało Imre, że tylko na wschodzie taka miłość zrodzić się może i że miłość jego, w obec miłości Mustafy, była tylko słabym objawem przemijającej fantazyi magnata!

Mustafa i Fatyma, obdarzeni wolnością i znacznymi skarbami, pod strażą służby i lenników Berse-

vicsego, puścili się w podróż do swój rodzinnej ziemi, z kąd Berzevicsemu przysłali szablę—damascenkę, sadzoną drogiemi kamieniami i konia białego jak mléko; potomstwo tego rumaka, jak podanie twierdzi, do dziś jeszcze w królewskiej stadninie w Kis-Bér się znajduje.

Imre Berzevicsi, tęskniąc za Fatymą, którą prawdziwie kochał, w lat parę później poległ w walce z muzułmanami, a spadkobiercy jego opuscili zamek Besztercze, przeniósłszy się do Orawy.

Opuszczone zamczysko rozsypało się w gruzy, lecz studnia, zwana „studnią Fatymy“, dotąd istnieje, i mieszkańcom mieściny doskonałej dostarcza wody.

III.

Życie, jakieśmy pędzili w twierdzy Komorna, było nadzwyczaj monotonne, urozmaicone tylko poza służbowymi zajęciami przez wycieczki w okolice, bądź do Tótiś posiadłości hrabiego Esterhazego, bądź koleją żelazną do Acs lub też do Kis-Bér, gdzie znajdowała się stadnina cesarska krwi arabskiej, zarządem której zajmował się słynny kawalerzysta pułkownik Brudermann.

Lato jak lato, spędzało się jeszcze dosyć znośnie bo oprócz manewrów codziennych i oprócz wycieczek, podpułkownik inżynierów Stelczyk, bardzo wykształcony i gościnny, lubiąc gromadzić naokoło siebie młodych oficerów, urządził w rowach fortecznych na Sandbergu strzelnicę ze wszelkimi figlami, gdzie tłumnie zgromadzaliśmy się, celem wspólnej a tak pożytecznej dla wojskowego zabawy. W zimie za to nudy były straszliwe. Codzienne lekcye z żołnierzami w koszarach, monotonna nauka czytania i pisania, oraz teoretyczne wykłady obowiązków służbowych, a wieczorami przesiadywanie w kawiarni lub restauracyi: to była jedyna rozrywka nasza.

Z nadejściem pory zimowej, komendant twierdzy

feldmarszałek-porucznik baron von der Lilia otworzył swoje salony, na których, nie mając nic lepszego do roboty, zgromadzaliśmy się co czwartek; tam my młodzi, zasiadłszy w około dużego stołu, z córkami komendanta i innych wojskowych, bawiliśmy się w gry towarzyskie, jak loteryjka, sekretarz, halb zwölf i t. d. Po spędzeniu wieczoru w tak miły i urozmaicony sposób, i wypiwszy szklaneczkę herbaty, wynosiliśmy się czém prędzej, klnąc na czém świat stoi, a na drugi czwartek znowu bawiliśmy się tak samo, wedle technicznego określenia: jak „psy łapiące muchy.“

W karnawale ta przygnębiająca jednostajność przerwana została dwu czy trzema balami, wydanemi przez komendanta, paru balami w sali komitatuwej i kilku wieczorkami w kasynie oficerskiem; w wielkim zaś poście, jedyną zabawę stanowiły wieczory muzyczne, urządzone przez kapelmistrzów orkiestr pułkowych, ze współudziałem kilku oficerów, między innymi porucznika Dobsza, prześlicznie grającego na fortepianie, porucznika Schuberta znakomitego skrzypka, porucznika Rittnera flecisty, oraz kilku innych uprawiających sztukę śpiewu.

Zawiązało się też między nami kółko muzyczne, które uprawiało muzykę klasyczną i śpiew chóralny.

Przed kampanią włoską w roku 1859 pobyt w Komornie stał się cośkolwiek znośniejszym, dzięki objęciu brygady przez generał-majora Dobrzańskiego z Dobrzenic, komandora niemieckiego zakonu krzyżowców. Był to jeden z tych przełożonych, który umiał sobie postępowaniem swoim zyskać ogólną

sympatya, a nawet miłość. Generał Dobrzański żył też ze wszystkimi, bez różnicy stopnia, jak z kolegami; razem z nami stołował się w restauracji, razem z nami brał udział we wszystkich wycieczkach, a nieraz nawet dopomagał nam do różnych szaleństw i wybryków młodzieńczych.

W tym czasie również był komendantem naszego 4-go batalionu, wysokiej zacności i prawości człowiek major Frankowic, który jako kawaler z nami oficerami podwładnymi żył w dobrych stosunkach i z nami też do wszystkiego należał.

Generał Dobrzański, który mieszkał wewnątrz twierdzy, w tak zwanym oficerskim pawilonie, zwykle codziennie rano, w zimie około 9-ój, a latem około 11-ój, powróciwszy z mustry, obchodził wszystkich oficerów mieszkających w tym gmachu, zapraszając ich do siebie na śniadanko, składające się z dobrej starki, słoniny węgierskiej i półgęsków, przyrządzonych na sposób pomorski.

Nieraz w czasie tych odwiedzin u oficerów, odbywały się arcy-komiczne sceny. I tak: pamiętam że raz generał przyszedł do mego mieszkania, a było to w zimie; wróciwszy nad ranem z balu, jaki jeden ze znajomych mi Węgrów wydawał, spałem jak zabity. Generał, zobaczywszy że śpię, odszedł, lecz niebawem z majorem Frankowicem i kilkunastu oficerami, poprzedzony przez służbę niosącą przekąski i nieodzowną starkę, wszedł do mego mieszkania, a rozdawszy wszystkim do rąk kiéliszki napelnione starką i cichu-

teńko wysunąwszy łóżko moje na środek pokoju, za-intonował gromkim basem: De profundis!

Obudziłem się i z niemalém podziwieniem ujrzałem u siebie tak liczne towarzystwo. Na razie chciałem wyskoczyć z łóżka, lecz generał zatrzymał mnie, a po skończonej pieśni i wypiciu wódki oświadczył, że ponieważ ja już umarłem, więc trzeba, aby mnie pochowano. Koledzy, niewiele myśląc, porwali moje łóżko na ramiona i w kilka chwil wynieśli mnie na obszerny plac, rozciągający się przed pawilonem. Śnieg pokrywał plac cały, a ciągle padając obficie, wnet i całe moje łóżko i mnie leżącego pod leciuchną kołderką białym pokrył całunem. Major Frankovic szedł na czele tego dziwnego pochodu, za nim postępowali parami inni oficerowie, a mnie w końcu jak na marach na łóżku niesiono; za mną jeszcze postępował generał w towarzystwie reszty oficerów. Przybywszy na środek placu, postawiono łóżko wraz ze mną na ziemi, poczem na komendę generała wszyscy na wycigi uciekać poczęli do mieszkania, pozostawiając mnie na śniegu i zimnie. Naturalnie, że i ja nie myślałem pozostawać w tém miejscu; otuliwszy się kołdrą, wyskoczyłem z łóżka i boso po śniegu, co mi sił starczyło, popędziłem do mieszkania, gdzie zgromadzeni powitali mnie homerycznym śmiechem.

Wszystko co tylko było w pokoju zastałem porzucane do góry nogami; ani jednej fotografii, ani jednego obrazka nie zostawiono na ścianie; pozdejmowano firanki u okien, portiery, dywany, słowem wszystko zdjęto i złożono na kupie w kącie.

Nadto szafę z memi książkami otworzono i taki porządek między nimi zrobiono, że potem parę godzin zmarnowałem na uporządkowaniu biblioteki.

Ubrawszy się cośkolwiek i zarzuciwszy płaszcz, przyłączyłem się do wesołego towarzystwa, które, porwane szalem wesołości, wraz z generałem udało się do jego mieszkania, gdzie nas wszystkich oczekiwało śniadanie gorące.

W pierwszym roku pobytu mego w Komornie, jak to już wspomniałem, komendantem naszego batalionu był jeszcze major Knopp von Kirchwald, człowiek wcale niesympatyczny i przez oficerów nie lubiany. Człowiek ten był żonaty i miał liczną rodzinę; nikogo nie przyjmował i prowadził dom zamknięty; nadto w stosunkach służbowych był bardzo szorstki, nieprzystępny; dlatego też nosił w naszym gronie miano: Komiss-Knopf, to jest guzik skarbowy.

Na rachunek tego majora krążyły w batalionie różne rysunczki, przedstawiające tak jego samego, jako i całą jego rodzinę w różnych okolicznościach. A przedstawiony był zawsze jako ogromnej wielkości guzik, na uszku którego mieścił się napis: „*K. K. patentirter Komiss-Knopf*“ (C. K. patentowany guzik skarbowy). Dzięki usłużności nienawidzonego przez nas adjutanta batalionu, porucznika Ragette, rysunki te dostały się do rąk majora i omal że nie wynikła ztąd straszliwa chryja, która, dzięki pośrednictwu podpułkownika Stelczyka, skończyła się na tém, że ja dostałem się do kozy na dni siódem, a porucznik Grünwald za dorobione wiérsze na dni pięć.

Oprócz wyżej opisanych osobistości, znajdował się jeszcze w Komornie ober-sztabs-lekarsz Dr. Flegel, wysoki, chudy, zawiędły jak szczapa, który był tam za moich czasów postacią typową i żył w odosobnieniu, oddany swemu zawodowi; za to nadlekarz pułkowy (pułku króla hanowerskiego) Michaelis, żył z nami w jak najlepszej komitywie i do wszystkiego należał; przez niego też poznałem się ze szlachtą okoliczną, panami Nyary, Fügvény, Tiszka, Holossy i innymi, u których wraz z doktorem Michaelisem bywać zacząłem.

Raz, korzystając z trzydniowych świąt po sobie następujących, uzyskawszy od majora Frankovica urlop, wraz z D-rem Michaelisem pojechałem do Guta, miejscowości położonej na wielkiej wyspie Szütt, na przeciw ujścia Wagu do lewego ramienia Dunaju. W pobliżu miasteczka tego, w malowniczo położonej miejscowości, mieszkał właściciel obszernych posiadłości pan Tiszka Pál (Paweł), wielki przyjaciel do ktora.

Przybywszy do pana Tiszki, a było to w maju czy też na początku czerwca, zostaliśmy przez uprzejmego gospodarza serdecznie przyjęci, a że właśnie sianobranie było ukończone, przeto, korzystając z okoliczności, pan Tiszka postanowił wyprawić rodzaj majówki w obszernych swoich winnicach. Rozesłał też niezwłocznie do sąsiadów liczne zaproszenia i nazajutrz już odrana panowie szlachta z żonami, córkami i siostrami, zaczęli się zjeżdżać.

Dom pana Tiszki, wzniesiony z drzewa, bardzo

wygodnie urządzone, stał na prawym brzegu Wag-Duny; za domem rozciągał się obszerny ogród, ozdobiony pięknymi drzewami owocowymi, buldenezem, bzami i różami; w głębi ogrodu wznosił się budynek drewniany, w którym były prasy winne, a pod spodem obszerne piwnice, napełnione dobrymi winami z winnic naszego gospodarza. Przy jednym z boków domu mieściła się obszerna werenda, na którą prowadziły drzwi z salonu. Ranek zszedł nam wesoło na pogadance, potem przed południem udaliśmy się tłumnie na nabożeństwo do Guty, zkąd z proboszczem mówiącym tylko po węgiersku i po łacinie, wróciliśmy do dworu, gdzie na nas ze śniadaniem czekano.

Po śniadaniu składającem się z pysznego gulaszu (rodzaj bigosu z mięsa surowego bez kapusty, lecz zato z mnogą ilością słoniny i pieprzu tureckiego), potrawy z kurcząt w sosie paprykowym i wysmienicie w słoninie uduszonych i bryndzą zaprawionych tak zwanych: magyar-turos-halusky, czyli węgierskich sérowych kluseczek, zaczęliśmy pić. Pojąć łatwo że wszystkie ostre potrawy naszym smakoszom bynajmniej nie przypadłyby do gustu; tymczasem dr. Michaelis i ja dawaliśmy koncert jedzenia. Wkrótce atoli poczuliśmy straszliwe pragnienie, które, dzięki wysmienitemu winu, ugasiliśmy niebawem.

Po śniadaniu nagle w ogrodzie na werendzie ozwały się skrzypce, bassetla i cymbały, wzywając młodzież do rozpoczęcia tanów. W chwil téż kilka kilkanaście par rozpoczęło ten bal zaimprovizowany dziarskim czardaszem. Około 6-ój wieczorem, zgro-

madziliśmy się znowu wszyscy około biesiadniczego stołu, przy którym, żwawą i wesołą rozmową bawiąc się, spędziliśmy parę godzin. Po obiedzie, który prawdziwie, wedle Reja z Nagłowic, był *objadem*, bo składał się z nieskończonej ilości dań, zakrapianych obficie wyśmienitým miejscowým winem, rozochocona młodzież, pokrzepiona na siłach, ruszyła nanowo do tańca na werendzie, teraz bogato różnokolorowemi lampami oświetlonéj.

W liczném gronie nadobnych węgrynek zauważyłem jedną, górującą pięknoscią ponad rówieśniczkami. Była to panna Ilka Fügveny, najwyżej lat siedemnaście mieć mogąca. Zachwycony jéj pięknoscią, przez ciąg całego wieczoru prawie oka z niéj nie spuszczałem. Parę razy zbliżyłem się do niéj, chcąc z nią przetańczyć czardasza; lecz, niestety, zawsze uprzedził mnie młody i dorodny pan Kapy Istvan, z którym, o ile uważałem, najwięcej tańczyła, a który prawie nieodstępny był jéj towarzyszem.

Około północy muzyka zaintonowała marsza Rakoczego, a uprzejmi gospodarze wezwali gości do wieczerzy, zastawionéj w ogrodzie, pod cieniem olbrzymiego kasztanu. Jak obiad, tak i wieczerza, wedle zwyczaju węgierskiego, rozpoczęła się od zupy, poczem nastąpiły różnorodne dania, a między innymi znakomita narodowa „*rablo-pécsenye*“ (zbojcka pieczeń), sporządzona z wołowego mięsa, plastrów słoniny i plastrów cebuli, na przemian układanych, związanych silnie i na różnie nad żarem upieczonych.

Do tego dania śmiało zastosować można słowa

Mikołaja Reja; „Pieczenia z cebulą, a do tego dzban wina aż się uszy stulą.“ Bo autentycznie, po spożyciu téj pieczeni, Węgry całe dzbany wina połykać zaczęły. Jeden tylko między nimi p. Kapy pił bardzo mało. Po wieczerzy, gdy tańce nanowo się rozpoczęły, zbliżył się do mnie mój towarzysz i wezwał mnie, bym szedł za nim. Nie wiedząc o co rzecz idzie, zrazu opierałem się temu, lecz dr. Michaelis oświadczył mi, że tu idzie o ważną przysługę przyjacielowi jego wyrządzić się mającą. Rozumié się, że na takie dictum, poszedłem za moim towarzyszem, z którym, przeszedłszy ogród, niebawem znaleźliśmy się przed plebanią w Guta. D-r. M. ujął mnie za rękę i objawił mi, że p. Kapy zaszczycił nas swoim zaufaniem i prosił, abyśmy byli świadkami jego ślubu z panną Ilką Fügveny, który za chwil parę się odbędzie.

Do kościoła weszliśmy przez zakrystyą. W kościele czekał już proboszcz z organistą, a w chwil kilka przybył i p. Kapy ze swą narzeczoną.

Zapalono światła na ołtarzu, organista rozpuścił miechy i zagrał Veni Creator, a po chwili akt ślubu w całej formalności został dopełniony. Państwo młodzi i my świadkowie podpisaliśmy akt ślubny i cichaczem z powrotem podążyliśmy do dworu, gdzie nikt nie zwracał uwagi na naszą nieobecność. Nadszedł i proboszcz i zbliżył się do ojca Ilki, który, mimo usilnych starań Kapyego, ręki swéj córki oddać mu niechciał, żywiąc doń jakąś urazę, do której dał powód zmarły ojciec Istvana.

Korzystając z chwili, w której tańce przerwano,

zaczny proboszcz opowiadać zaczął, jak przed wielu laty znał pewnego szlachcica, który pokłóciwszy się z sąsiadem, po śmierci jego całą swą nienawiść prze niósł i na syna jego, który szalenie się kochał w jego córce.

Skutkiem tego było, że nie pozwolił młodym kochankom połączyć się; wynikiem zaś tego było, że w krótkim przeciągu czasu umarła mu córka, następnie żona, a syn jego sąsiada, który po ojcu odziedziczył jego nienawiść, z rozpaczki pod oknami zawziętego szlachcica życie sobie odebrał. Fügveny, nie domyślając się do czego proboszcz zdązał, odparł, że owego młodego człowieka uważa za waryata, który nigdy prawdziwie wybranki serca swego nie kochał, bo gdyby tak było, to byłby wziął z nią ślub tajemny i potem, przy danej sposobności, byłby ojcu swój żony o tém powiedział, a on musiałby się zgodzić na to co się stało i odstać więcéj nie mogło.

Proboszcz, słysząc to, uśmiechnął się i zawołał;

— Panowie! biorę was za świadków tego co przed chwilą pan Fügveny powiedział, i sądzę, że jako szlachcic, zdania swego nie zmienię?

— Jakem Fügveny! tego, com powiedział, nie cofam, zawołał stary.

W chwili téj na dany znak, młoda para rzuciła się do nóg zdziwionego ojca, a proboszcz rzekł:

— No! a teraz pobłogosław dzieci twoje, bo ja już dopełniłem tego co do mnie jako proboszcza téj parafii należało! Dałem ślub w obec świadków i oto

masz przed sobą małżonków, w imieniu których proszę cię, stary przyjacielu, pobłogosław!

Fügvény, usłyszawszy to, zerwał się i chciał odtrącić od siebie klęczącą przed nim córkę z Istvanem; lecz wszyscy ilu nas było, tak natarliśmy na starego, że córkę i zięcia przycisnął do łona i błogosławieństwa swego im udzielił.

Gospodarz domu pan Tiszka przynieść kazał parę omszałych gąsiorków z winem, pamiętającem czaszy bardzo odległe i wypiliśmy zdrowie państwa młodych; poczem nanowo rozpoczęto tany, trwające do dnia białego.

Nazajutrz całe towarzystwo udało się do Ó-Gyala, wioski pana Fügvény, gdzie odbyło się starowęgierskim zwyczajem huczne wesele. Z całej téj uroczystości pamiętam tylko tyle, że z panią młodą tańczył szalonego czardasza, że piłem za czterech i że nie wiem jakim sposobem trzeciego dnia znalazłem się w swoim mieszkaniu na łóżku. Mówił mi tylko późniój mój służący, że jacyś panowie węgierscy, mnie i doktora przywiozłszy, obudwu w łóżkach ułożyli i sami niezwłocznie się oddalili.

Wyspawszy się wyśmienicie i odpocząwszy po po tylu bezsennie spędzonych nocach, w tydzień późniój otrzymałem zaproszenie na przenosiny do państwa Kapy. Naturalnie, że zaproszeniu temu uczyniłem zadosyć, lecz tym razem wróciłem do Komorna sam, bez pomocy braci szlachty.

IV.

Służba garnizonowa i koszarowa, zapelniająca zwykle poranne godziny, pozwalała że w godzinach popołudniowych można było śmiało robić różne wycieczki w okolice Komorna. Pan major Knopp cośkolwiek złagodniał i nie był tak bardzo wymagającym; rzadziej zaglądał do koszar i mniej zajmował się musztrowaniem, a raczej mordowaniem żołnierzy i oficerów. Na tę korzystną zmianę wpłynęło zapewne to, że nie był on tu samowładnym panem, bo w Komornie, oprócz feldmarszałka-porucznika barona von der Lilia komendanta twierdzy, znajdował się feldmarszałek-porucznik komendant dywizyi i komendant brygady, a także, kilku pułkowników, podpułkowników i majorów.

Zrazu, przybywszy do Komorna, zajmowałem kwaterę w samym centrum twierdzy, w tak zwanym oficerskim pawilonie. Koledzy często mnie odwiedzali, i wtedy chwile wolne od służby spędzaliśmy wesoło, bawiąc się muzyką na fortepianie, śpiewem lub też wesołą pogawędką. Codziennie zaś po obiedzie zgromadzaliśmy się w głównej kawiarni, położonej przy ulicy Komitatowej, gdzie pisma, szachy i bilard dostatecznej dostarczały nam rozrywki.

Lecz i to nareszcie znudziło się nam; poczęliśmy więc rozmyślać nad nowymi źródłami, mogącymi dostarczyć godziwej rozrywki. Dzięki znajomościom zawartym z obywatelstwem, tak miejskiem jak i wiejskiem, puszczaaliśmy się w odwiedziny do braci szlachty. Z początku wycieczki te ograniczały się na najbliższem sąsiedztwie, lecz w następstwie gdy major Knopp przeniesiony został do pułku, a miejsce jego zajął major Obauer, człowiek towarzyski i nieprześiąknięty ideami separatystycznymi, wycieczki nasze zaczęły przybierać coraz szersze rozmiary.

Ja byłem najpohopniejszy do takich wycieczek, a miałem pod tym względem dwu towarzyszy, poruczników: Grünwalda i Lercha. Pierwszy z nich, nadzwyczaj wesóły i dowcipny, posiadając przytém niezgorszy talent do poezyi, był ulubieńcem całego grona oficerskiego; drugi zaś, mniej wykształcony, lecz za to przesłicznie umiejący tańczyć, a przytém przystöjny i zgrabny, mile był widziany przez piękne pannie, u których miał szalone szczęście. Był to Don Juan garnizonu! Otóż z nimi to najczęściej przedsiębrałem dalsze wycieczki.

Raz, a było to już we wrześniu, w czasie winobrania, uzyskawszy kilkudniowy urlop, z młodym i wesółym p. Almasy, właścicielem pięknej majątności, położonej na lewym brzegu Wagu, w dwumilowej odległości od Komorna, wyruszyliśmy w hrabstwo nitrzańskie i trenczyńskie, celem odwiedzenia brata i stryja p. Almasy, mających tam swoje posiadłości.

Młodszy brat p. Almasy mieszkał w *Pösteny*

(czytaj Poesztenij), wiosce położonej w hrabstwie ni-trzańskim, tuż nad prawym brzegiem Wagu. Przybywszy do Pösteny nie zastaliśmy gospodarza w domu, który dzień przedtém pojechał na imieniny stryja w Trenczyńskie do Starohradu; nazajutrz więc, dwu wózkami ruszyliśmy także do pana Istvana Almasy, stryja naszego towarzysza podróży.

Minąwszy *Trenczyn*, *Besztercze* (*Besterce*) i *Nagy-Bierse* (czytaj *Nagij Bicsze*) późno już wieczorem przybyliśmy do Starohradu. Obszerny dworzec, zbudowany starym obyczajem z drzewa, roił się od gości; muzyka cygańska sprowadzona z Trenczy-na hucznie grała czardasza.

Towarzystwo całe, wszystko krewniacy lub téż znajomi Miszki Almasy, który z nami przyjechał, przywitało nas z radością huczniemi „eljén“ i pełnemi kiélichami złotolniącego wina. Zrzuciwszy z siebie podróżne ubranie i przywdziawszy paradne mundury, weszliśmy na salę, gdzie właśnie z niesłychaną werwą tańczono szalone *fris* (*fris*, trzecia część czardasza). Porucznik Lerch, jako dość dobrze mówiący po węgiersku, wnet zapoznał się z całym gronem naderbnych dam, których serca podbił sobie szturmem, puściwszy zię z jedną z nich w szalony wir tańca. A trzeba tu dodać, że czardasza tańczył tak dobrze jak rodowity Węgier.

Ze wschodem słońca prawie tańce przerwano, i gospodarz p. Istvan Almasy zaproponował nam zakończenie zabawy pod gołym niebem, wśród ruin zam-

czyska Starohradu. Naturalnie, że uczynioną propozycją wszyscy chętnie przyjęli. Ruszyła też naprzód muzyka, wygrywając marsza Rakoczego, a za muzyką wysypało się z sali balowej całe towarzystwo, dążąc przez ogród na wysoką skałę, gdzie sterczały ruiny zamczyska.

Śród zwalisk, gdzie były zastawione stoły ze śniadaniem, zmęczeni całonocnymi tańcami, rzucili się do spożywania darów Bożych. Grünwald w nadzwyczaj wesółm usposobieniu, napół po słowacku, napół po węgiersku zaczął opowiadać jakiś humorystyczny wypadek ze swego życia, który, czy był prawdziwy czy też zmyślony zaręczyć nie mogę; wiem tylko, że całe towarzystwo aż pokładało się od śmiechu, słuchając tego opowiadania. Lerch tymczasem, który, swoim zwyczajem zaczął emablować jakąś młodą i ładną damę, robił do niej tak słodkie oczy, że owa panna musiałaby być z kamienia, gdyby pod jego sentymentalno-romansowém spojrzeniem i w powodzi słów miodowych nie uczuła silniejszego uderzenia serduszka.

Ja zaś, nie umiając jeszcze podówczas po węgiersku i zmuszony do prowadzenia rozmowy po słowacku, lub też po niemiecku, poprzestawać musiałem na towarzystwie mężkiem.

Poranek wrześnieiwy był precudny; widok ze skały, na której się znajdowaliśmy, zachwycający, a same ruiny ogromne zajęcie budziły. Czułem, że pobyt mój w tém miejscu nie będzie bezowocny, i że opuszczając Starohrad, uwiozę z sobą jakieś cenne poda-

nie ludowe. przywiązane do téj miejscowości. Jakoż tak się stało.

Obchodząc sterczące resztki zamczyska wraz z p. Bela Bencse, sąsiadem Almasyego, człowiekiem młodym lecz wysoce wykształconym, który większą połowę Europy zwiędził i znakomicie władał kilku językami, zbliżyliśmy się nad krawędź skały, wystającej ponad Wagą, przepływającą obok, w znacznej pod nami głębokości. Ztąd przedstawił mi się najdziwszy a zarazem i najromantyczniejszy widok, jaki kiedykolwiek, zwiędzając Karpaty i Alpy, widziałem.

W kierunku północnym ponad ostremi i stromo wznoszącymi się szczytami skał, porośniętych lasem, majestatycznie wznosił się szczyt Jaworzyny; wąwóz, który z szumem i hukiem przepływał górski strumyk zwany tu Tepliczka a wpadający do Wagu naprzeciw wsi *Zsolna* (czytaj *Zolna*), cały gęsto krzakami jałowcu, kosodrzewiną i różnorodnymi trawami zarosnięty, wydawał się jak ciemna czeluść, prowadząca w niezbadane głębiny ziemi. Na wschód w maluchnej kotlinie widniały węgierskie Cieplice i pobliska wioska *Varin*; na lewym brzegu Wagu, ku południowi, na stoku góry *Velkaluka* (Wielka łąka), rozsiadła się wioska *Zsolna* z pięknym kościołem, wzniesionym tuż nad brzegiem rzeki; na zachód zaś, pośród ciemnego i dziko poszarpanego wąwozu, płynął Waag, ginąc w zaroślach i skałach najeżonych, brzegiem których prowadziła wążiuchna drożyna. W niewielkiej odległości od zamczyska, w kierunku zachodnim, z pośród pieniających się nurtów Waagu wychylają się liczne

skaliste odłamy, pomiędzy któremi Waag z hukiem i wielką gwałtownością przepływa.

Tuż w pobliżu tej naturalnej zapory, bliżej zamczyska, wysuwa się aż prawie do połowy z rzeki skała o płaskiej powierzchni, prostopadle ucięta, u stóp której w głębi wód, znajduje się bezmierna przepaść, do której, wody Waagu wpadają z wielką szybkością i gwałtownością, tworząc wir straszliwy, pieniający się i powietrze gwałtownym bukiem napelniający. Skałę, u stóp której Waag tworzy ten wir, lud okoliczny zwie „*wściekłą skałą*“ („*Besna skała*“, Dühös szikla, czytają: Diuhösz sikla).

Fale rzeki uderzają tu z niesłychaną gwałtownością o skałę mchem porośniętą, i przepływającym tu tratwom grozi wielkie niebezpieczeństwo.

Miejsce to między skałą a ową skalistą zaporą, o której wspomnieliśmy, nosi nazwę „*Margila*“ i łącząc się z wielce romantycznym podaniem, przepływających tędy flisaków, napelnia zawsze straszliwą obawą grożącego im niebezpieczeństwa, i, jak twierdzi podanie miejscowe, utrzymujące się między flisakami, w miejscu tym rok rocznie fale Waagu pochłaniają przynajmniej jedną ofiarę; dlatego też flisacy, nim na tratwie to miejsce przepłyną, świadomi grożącego sobie niebezpieczeństwa, na kolanach odmawiają krótką modlitwę, polecając się opiece Najświętszej Maryi Panny.

Gwałtownym prądem porwana tratwa, rzucona na ścianę „*wściekłej skały*“, rozbija się nieraz w drzazgi. Cośkolwiek dalej od tego miejsca, tratwie

która szczęśliwie grożące niebezpieczeństwo ominęła, grozi nowa zagłada, bo oto swobodny przepływ zazagradzają wspomniane skaliste odłamy, sterczące ponad wodą w poprzek rzeki. Woda przepływa tędy kilku wązkiemi otworami, z pomiędzy których są tylko dwa tak szerokie, że tratwa ledwo przepłynąć może biada więc jeżeli kierujący zmyli kierunek, bo wtedy; tratwa rozbija się, a płynący na niej w rwących nurtach rzeki giną. Nie dość na tém, bo gdy jeszcze tylko koniec tratwy znajduje się pomiędzy skalistemi odłami, to przód jój, porwany szalonym prądem wiru, może zagłębić się w bezdenną przepaść.

Niemalój więc trzeba zręczności i przytomności umysłu, ażeby tu ująć niechybnój śmierci.

Podanie objaśnia przyczynę, dla której groźną tę przestrzeń, która była tysiąckrotnie świadkiem straszliwój śmierci, nazwano „*Margita*“ (Margareta).

Dawno, bardzo dawno już, w pobliskiej wiosce Sztrecsno (Streczno) żyła młoda wdowa, która, kochając szalenie młodego parobczaka Jozsi Selye, zapragnęła mieć go za męża. Lecz mimo że wdówka była zamożna, miała grunt, chatę i jak sąsiedzi twierdzili pełen mieszek białych talarów a Jozsi był biędny, to jednak wszelkie jój zabiegi i starania były bezowocne, bo Jozsi kochał śliczną jak polna różyczka Margitę, pasierbicę wdowy. Długo wdowa dojść nie mogła przyczyny, dla której Jozsi odrzucał czynioną sobie propozycją pojęcia jój za żonę, lecz wypadek otworzył jój oczy, i wtedy wdowa zapłonęła straszliwym gniewem, postanawiając pozbyć się niebezpiecznej rywalki.

W Thurocz (Turawa) mieszkali krewniacy Margity; otóż dnia pewnego macocha z jakimś zleceniem wysłała do nich pasierbicę, i gdy Margita z wesołą piosenką na ustach dążyła do Turawy wązką ścieżyną po nad skalistą zaporą rzeki, idąca za nią macocha straciła nieszczęśliwą w bezdenną przepaść. Uwolniwszy się od spółzawodniczki, wdowa sądziła, że tém łatwiej zdobędzie sobie serce Jozsiego; lecz ten stanowczo oparł się pokusie, bo kochał tylko Margitę. Ciało nieszczęśliwej ofiary, wyrzucone z głębin, uwięzło na skalistej zaporze i przepływający tamtędy flisacy donieśli o tém do Sztrecsna.

Niebawem téż zaczęto posądzać niegodziwą macochę o popełnione zabójstwo, i sąd nakazał śledztwo celem wykrycia mordercy. Hajducy sądowi, wysłani po wdowę przez fõispana (fõiszpan, sędzia okręgowy), zbliżali się już do jęj chaty, ale ujrzawszy sługi sądowe, zbrodniarka zaczęła biédz w kierunku wiorow Waagu i bez zmysłów prawie wołała bezustannie: „Margit — Margit“. Nareszcie rzuciła się w nurty rzeki, gdzie i śmierć zasłużoną znalazła. Od téj chwili miejsce to lud nazwał „Margit“.

Wedle innego, mniej rozpowszechnionego podania, w miejscu tém przed bardzo wielu laty wznosić się miał wspaniały zamek, należący do możnego pana nazwiskiem Tur. Otóż raz porwał on jakąś księżniczkę Margitę, i obawiając się, aby mu nie uciekła, osadził ją w lochach, znajdujących się pod powierzchnią Waagu, który nie mając tu przepływu, wody swe po całych komitatach Turawy i Liptawy rozlewał.

Nieszczęśliwy los księżniczki Margit skłonił jednego z rycerzy, że napadł raz na zamek Tura, zdobył go, gnębiela księżniczki zabił, zamek cały z podwodnemi lochami zburzył i księżniczkę Margit z więzienia uwolnił.

Od téj pory Waag utorował sobie drogę pomiędzy ruinami zamczyska, którego szczątki utworzyły zaporę.

Wedle tegoż podania turawski komitat nazwany został od Tura, a zapora od imienia księżniczki Margit.

Wysłuchawszy obu tych podań, zwiędziwszy pobliskie szczyty gór we dni kilka, po imieninach Istvana Almasy, jak najzupełniej zadowoleni z wycieczki, wróciliśmy do Komorna.

V.

Twierdza Komorno (Komarom) leży na wschodnim cyplu wyspy Csalloköz (Schütt), którą Dunaj z tak nazwanym Waag, Dunajem (Vagh-Duna) tworzą. Waag-Dunaj jest to ramię boczne Dunaju, które pod Presburgiem od głównego strumienia się odłącza i pod Guta połączywszy się z Waagiem, płynącym od północy wraz z Nitrawą, tuż pod Komornem wpada do głównego ramienia rzeki Dunaju.

Twierdza dzieli się na dwie części, na starą i nową twierdzę. Najstarsze mury głównej twierdzy, położonej u zbiegu Dunaju i Wagh-Duny, pochodzą z roku 1277. W dwieście lat później król Maciej Korwin wzmocnił je znacznie, lecz dopiero za Ferdynanda I i Leopolda I stała się właściwie twierdza obronna. Turcy zalévający kraj cały kilkakrotnie kusili się o jej zdobycie, lecz za każdą razą odparci ze znacznymi stratami, zamiaru zdobycia téj twierdzy zaniechali.

Roku 1763 Komorno ucierpiało straszliwie od wielkiego trzęsienia ziemi, w czasie którego runęły dwie wspaniałe wieże kościoła św. Andrzeja. W latach późniejszych bo r. 1805 twierdzę w gruzach pra-

wie będącą odrestaurowano tak, że r. 1809 mogła oblegającym Francuzom stawić czoło.

Po ukończeniu wojny budowano i wzmacniano twierdzą dalej. Roku 1849 w czasie kampanii węgierskiej, generał węgierski Klapka, wytrzymawszy oblężenie wojsk austriackich, po złożeniu broni przez Györgeya, naczelnego wodza, kapitulował i twierdzą oddał w ręce wojsk austriackich.

Miasto Komorno, bardzo rozległe, liczące 10 — 15,000 ludności, z prawym brzegiem Dunaju łączy się dwu mostami: pierwszy prowadzący z miasta przez łacę Dunaju na wyspę *Szöny* jest stały, zbudowany z drzewa; drugi zaś, łyżwowy, prowadzi z tej wyspy na prawy brzeg rzeki, gdzie się znajduje stacya kolei żelaznej, prowadzącej z Wiednia przez Raab do Budy. Stacya kolejowa położona jest tuż pod wioską Uj-Szöny, należąca wraz z wsią O-Szöny do hr. Esterhazego.

Całe miasto ze starą twierdzą otacza obronna linia fortyfikacyj, zwana linią Palatyna; na prawym zaś brzegu Dunaju w stronie zachodniej od Uj-Szöny, wznosi się olbrzymia nowa twierdza, tak zwany „*Sandberg*“. Starą twierdzą od strony miasta otacza rozległy ogród publiczny, założony na stokach twierdzy; poza tym ogrodem, tuż nad Dunajem, wznosi się dziś nowy gmach, przeznaczony na mieszkania dla oficerów, na pomieszczenie biur zarządu fortecznego, inżynierji i t. d.

Główna ulica prowadząca od stariej twierdzy rozdziela się na dwa ramiona czyli dwie bardzo znacz-

nój długości ulice: Komitatową i Vaé-utca (czytaj Vacz utcza, ulica Waiceńska); nadto najgłówniejszą i najpiękniejszą ulicą Komorna jest ta, która się ciągnie wzdłuż wybrzeża Dunaju ku linii Palatynalnej.

Oprócz tych trzech ulic są jeszcze inne, z których jedna ulica św. Teresy (Terezia utcza) prowadzi na plac tejże nazwy, gdzie pośród drzew wznosi się piękny kościół św. Teresy. Drugi kościół św. Andrzeja przy ulicy Vaé, w czasie méj bytności był właśnie po bombardowaniu z r. 1849 restaurowany. W jednej z kaplic tego kościoła znajdowała się za czasów méj bytności statua Chrystusa Pana, powszechnie znana pod nazwą: *Magyarul-Krisztus* (Węgierski Chrystus), tém odznaczająca się, że Chrystus Pan był ubrany w węgierskie buty z ostrogami, także obcisłe spodnie i suto szamerowaną atylę (kubrak); przyczém wąsy uczciwie były wywoskowane i wedle zwyczaju narodowego w górę podkrecone!

Na jednym z bastyonów staréj twierdzy, od strony miasta pomieszczoną jest kamienna figura kobiety, zupełnie nagiéj, mającéj prawą rękę podniesioną i złożoną w figę, lewą zaś trzymającą w sposób słynnej Wenus Medycejskiej. Pod tą postacią wyrte są słowa; „*Komm Morgen*“ (Przyjdź jutro). Ztąd jak twierdzi tradycya powstała nazwa twierdzy. Czy jednak tak jest? Ręczyć nie mogę!

Oprócz kawiarni przy zbiegu ulic Komitatowéj i Vaé, o którój już wyżej wspominałem, było jeszcze w twierdzy kilka innych takich zakładów, oraz trzy czy cztery restauracye, przez oficerów licznie odwie-

dzane, parę winiarni, i tak zwane oficerskie kasyno (resursa), gdzie jednak mało oficerów bywało, a to ze względu na nudy jakie tam panowały.

Jak już wspomniałem wyżej, korzystało się z wolnych chwil od zajęć; zwiędzałem kraj, zbierałem skrętnie różne podania, pełne poezyi. Otóż i przebywając w samém Komornie a raczej włóczęc się po wielkiej wyspie Schütt (Czalloköz), zdobyłem jedno z piękniejszych węgierskich podań, które w całości tu daję.

Tuż pod Presburgiem (Posony) olbrzymi Dunaj rozdziela się na dwa ramiona, okrążające jedenaście mil długą wyspę Czalloköz i cokolwiek dalej leżącą małą wysepkę Ilka Sziget. Wyspa Czalloköz, zwana także Wielki Schütt, bardzo licznie jest zaludnioną. Tu rozsiadła się wspaniała twierdza Komarom (Komorno), trzynaście miasteczek, sto czterdzieści szість wsi i siedemdziesiąt pięć folwarków, pośród przepysznych ogrodów, łąk i nadzwyczaj uroczych pól. Otóż z powodu téj urodzajności, w czasach starożytnych wyspę Czalloköz nazywano: *złotodajnym ogrodem*, i zaprawdę nie mylono się, dając taką nazwę okolicy, która dodziśdnia jak najwspanialszy ogród nam się przedstawia.

W dawnych, bardzo dawnych czasach, gdy jeszcze nimfy, bogowie i boginie po ziemi chodzili, małą wyspę Ilka Sziget zamieszkiwała Ilka, królowa nimf, z towarzyszkami swemi, i tam nad brzegiem Dunaju wznosiły się ich nadpowietrzne pałace, zkąd brodem Macskarev (Kocibród) przedostawały się na łąkę

Mogyorós (Laskowa łąka), znajdującą się na wyspie Csalloköz, gdzie swe dary rozsypywały.

U stołu tych nimf każdy znajdował gościnne przyjęcie, każdy obficie był nakarmiony. Panował też tu ogólny dobrobyt, i na wyspie Csalloköz nie było biednych ani nędzarzy.

Pewnego razu, jeden z mieszkańców tej wyspy, obficie obsypywany darami nimf, niewdzięcznością odpłacił się im za ich dobrodziejstwa. Ilka, boleśnie tym dotknięta, wraz ze swemi towarzyszkami postanowiła dotąd zamieszkiwaną wyspę na zawsze opuścić. Jakoż przeprawiwszy się przez Kocibród, nimfy oddaliły się w inne strony świata. Przewoźnik, który zawsze nimfy przez bród przewoził, po oddaleniu się ich, w czólnie swoim znalazł złotą podkowę, która stanowić miała nagrodę za dotychczasowe jego usługi. Odtąd wyspa, nazywająca się „*Aranykert*“ (złotodajny ogród), nazwana została *Csalloköz* (zwo-dnicza wyspa), bo z powrotem każdej wiosny stoi zalana wodami modrego Dunaju.

Ilka z nimfami, mimo że opuściła dotychczasową swą siedzibę, jednak zdążyła pamiętać rozkoszne chwile, które spędziła w tych miejscach; pamiętała owe księżycowe noce, które spędziła na wybrzeżu *Aranykert*, w objęciach kochanka swego *Amadé Lajosa*.

Amade Lajos (Ludwik) był młodzianem urodziwym, dzielnej postawy, o czarném oku, kruczój barwy włosach i mężném sercu. *Lajos* był wyrozumiały na ułomności swoich braci.

Lajos mieszkał tuż u przewozu *Kociegobrodu*

i kilkakrotnie każdego dnia widywał królowę Ilkę, wracającą z wyspy Ilka-Sziget na Aranykert. Cudownej piękności i wiecznie młoda Ilka, wpadła Lajosowi w oko, rozmiłował się też w niej całą potęgą duszy i od tej chwili zapomniał o obowiązkach swoich i wszystkim, i oddał się Ilce duszą i ciałem.

Ilka, widząc tę gorącą miłość, njęta również jego urodą, podała mu swą rękę i wyznała, że kochać go będzie, lecz tylko dopóty, dopóki on wiernym jęj pozostanie; a gdyby ją zdradził, wtedy zemści się na nim i na całej wyspie. Śród rozkosznych objawów miłości, niczém nie zakłóconej, płynęły dnie i noce; bogactwo i dobrobyt mieszkańców wyspy z dniem każdym wzrastały. Ilka była szczęśliwą!

W wiosce Illyeshaza, otoczonej przepysznym ogrodem i pól obszarem, w chacie wznoszącej się tuż nad brzegiem Dunaju, mieszkało śliczne dziewczę, Marica. Czarne jęj oczy pałały ogniem, pełnym czaru, włosy miała długie, sięgające aż do ziemi, czarne jak pióra krucze, a twarz jęj tryskała krwią i mlękciem. Raz przechadzającą się po nad brzegiem Dunaju ujrzał ją Lajos. Uderzony pięknoscią Maricy, zapomniał o miłości zaprzysiężonej Iice i pokochał piękne dziewczę, które również oddało mu serce.

Królowa Ilka, dowiedziawszy się o tém, zapłała rzewnie, a w miejscu gdzie lzy jęj spadały na ziemię, wyrosły drobniutkie przedziwnej piękności kwiatki; były to kwiaty pamięci, błękitne „*niezapominajki*“.

Przekonawszy się o niewierności Lajosa, posta-

nowiła Ilka opuścić swą dotychczasową siedzibę, co też i uczyniła; lecz oto z chwilą oddalenia się Ilki z nimfami, modry Dunaj począł gwałtownie wzbiierać; wzburzone fale, miotając się wściekle, biły o brzegi wyspy, i wśród srogięj burzy, wśród huków piorunów i ognistych błyskawic domek Maricy zapadł się w nurty Dunaju wraz z Maricą i Lajosem, którzy w gorącym uścisku ślubowali sobie wieczną miłość wzajemną. Od tej pory Dunaj rozlewa tu swe wody i z ogrodu złotodajnego pozostała wyspa „zwodnicza“. Ogrody zniszczały, raj ziemski zmienił się w pustkowie.

Według podania dziejowego Hunnowie, przybywszy nad Dunaj, zaraz w posiadanie objęli wyspę Csalloköz. Dowodzi tego niejako ludność tu zamieszkująca, czysto węgierskiego pochodzenia, tudzież ogromna ilość szlachty rodowej, zajmującej wyższe stanowisko w społeczeństwie i zaludniającej całe wsie i osady. Tu jest kolébka najcelniejszych magnackich rodów węgierskich. Ztąd pochodzą Esterhazy, Palfy, Ihyeshazy, Amadé i t. d., których rodziny bądź na wyspie Csalloköz, bądź też w jej pobliżu, jak w O-Szóny, Tótisz, Gönyéó, Almas, dotąd przemieszkują.

Na wyspie tej wznosi się wiele pagórków, do dziś jeszcze zwanych; *Tatarüles* (Tatarskie pagórki), które niektórzy za tak zwane pierścienie (grobowiska) Awarów uważają.

Pomimo podania, jakie wyżej przytoczyłem, wyspa Csalloköz jest istnym ogrodem, mieszkańcy jej opływają w dostatki, dzięki naturalnemu nawadnia-

niu przez Dunaj, który od czasu oddalenia się z tych miejsc królowny Ilki, rok rocznie na wiosnę całą wyspę zaléwa. Wtedy wsie i osady zbudowane na pagórkach sterczą jak małe ostrowy na niezmiernéj przestrzeni sinych i wzburzonych wód rozszalałego Dunaju.

W drugim roku (1858) pobytu mego w Komornie, korzystając z większej swobody pod względem służbowym, dosyć często, dzięki majorowi Obauerowi, ówczesnemu komendantowi batalionu, zwiédziałem z panem Almasy różne okolice. Najczęściej celem tych wycieczek było hrabstwo trenczyńskie, gdzie mieliśmy główną kwaterę w Staro-hradzie.

Ztąd to zwiédziłem słynne ruiny zamczyska w Beczko, rozsiadłe na skale, 700 — 800 stóp ponad zwierciadłem szparko przepływającego Waagu.

Zamek ten za czasów króla Zsigmonda (Zygmunt) zbudował niejaki Ścibór. Był to pan straszliwie srogi dla swoich poddanych, którzy go téż z całej duszy nienawidzili. Ścibór z zapamiętałością oddawał się polowaniu i dlatego liczną utrzymywał psiarnię, pośród której znajdował się pies olbrzymiej wielkości, ułożony do polowania na grubego zwierza. Był to ulubieniec Ścibora.

Dnia pewnego Ścibór, gniewniejszy niż zwykle przechadzał się z swoim ulubieńcem ponad przepaścią. Od wsi do zamku prowadziła tedy ścieżynka, po której ku bramie zamkowej dążył Hodasz Pal (czytaj: Hodas Pal, Hodas Paweł), włościanin zamieszkały we wsi Beczko. A widać że pilno mu było stanąć

u wrót zamkowych, bo biegł zadyszany i cały oblany potem. Był to człowiek młody, silnie zbudowany, który niedawno ożeniwszy się, osiadł w Beczko, a teraz śpieszył do zamku po pomoc zamkowego lekarza, bo młoda żona jego, porodziwszy dziecko, ciężko zaniemogła i była już prawie konającą.

Hodasz, wbiegłszy wązką ścieżynką na skałę, ujrzał przed sobą ulubionego psa Ścibora, który groźnie szczerząc zęby zastąpił mu drogę.

Hodasz stał tuż nad przepaścią, a pies z drogi ustępować nie myślał; każda chwila stawała się dla Hodasza wiekiem, straszliwe uczucie niepokoju, połączonego z obawą o żonę, miotало sercem biednego chłopca, który, widząc że pies ustąpić mu nie chce z wązkiej ścieżki i że ominąć go było niepodobieństwem nagłym ruchem trzymanej w rękę csepugi (czytaj czepugi, laska z siekiérką) usunął brytana na bok. Lecz oto pies, taką śmiałością rozdrażniony, rzucił się na Hodasza i silnie go skaléczył. Hodasz niewiele myśląc rozjuszzonego psa uderzył csepugą, tak że pies skowycząc uciekł i przypadł do nóg pana swego.

Ścibór stojący o parę kroków, widział całe zajście, i srodze oburzony śmiałością wieśniaka, który poważył się jego ulubieńca uderzyć, przyskoczył do nieszczęśliwego włóścianina i zapytał co to znaczy? Hodasz śmiało patrząc w oczy Ściborowi, odparł, że bronił się przeciw dzikiemu zwierzęciu, które nie wolno puszczone lecz na uwiezi byćby powinno! Usłyszawszy to Ścibór zbladł z gniéwu i kazał psu rzucić się na Hodasza. Pies spełnił rozkaz pana i szarpiać Ho-

dasza, który przed nim się cofał, przyparł go aż nad sam brzeg przepaści. Tu Hodasz rzutem csapugi chciał psa odpędzić od siebie, lecz w chwili tej pośliznął się i ze straszliwem przekleństwem runął w przepaść.

Ścibór, widząc spadającego chłopca, zaśmiał się straszliwie i aby zobaczyć, czy Hodasz nie żyje, nachylił się nad przepaścią, wspierając rękę na skale obrosniętej trawami i mchem; lecz oto w chwili tej z pośród szczelin wypełznął wąż jadowity i Ścibora ukąsił w rękę, tak boleśnie, że wielki pan krzyknął i gwałtownie rękę odrywając od skały, którą się podpierał, stracił równowagę i w ślad za Hodaszem runął w przepaść.

Tak skończył życie ten, co psa więcej cenił niż człowieka.

W chwil parę później sygnaturka z wieżycy kościelnej zwiastowała mieszkańcom o śmierci młodej żony Hodasza.

I pozostała tylko nieszczęśliwa sierota, która w jednej chwili postradała ojca i matkę. Dziecko wychowali sąsiedzi.

Ze śmiercią Ścibora zamek opustoszał i niebawem począł się w gruzy rozsypywać, a dziś stanowi najpiękniejszą ruinę tej miejscowości.

Wracając raz z Starohradu zboczyliśmy do Presburga (Posony), zkąd zrobiliśmy wycieczkę do Deven (Theben), miejscowości położonej tuż przy ujściu Morawy (March) do Dunaju, który przepływa tu mię-

dzy górami Litawy a małemi Karpatami, przesmykiem zwanym „*Porta hungarica*“ a dalej jako potężna i wspinała rzeka wkracza na ziemię Arpada.

Na skałach nadbrzeżnych, tuż nad lewym brzegiem i przy ujściu Morawy, wznoszą się bardzo malownicze ruiny zamku Déven. Sądząc z murów zewnętrznych a wznoszących się w połowie wysokości góry, stare zamczysko ze swemi bastionami zajmować musiało znaczną przestrzeń.

Nad samym brzegiem wznosi się, dotąd jeszcze, mała, lecz dobrze zachowana strażnica, zbudowana na szczycie stromo wznoszącej się skały; obok tej strażnicy widnieją szczątki tak zwaney „*wieży zakonniczy*“.

Przy głównej bramie górnego zamku przemyślny jakiś spekulant wznosił sobie dom mieszkalny, w którym mieści się winiarnia wraz z jadłodajnią. O całej rozległości tych ruin dokładne można powziąć pojęcie od strony miasteczka, położonego nad przystanią, w której zwykle statki parowe się zatrzymują.

Déven od czasów najdawniejszych było jedną ze znaczniejszych twierdz; tu też r. 893 Ludwik Niemiecki obległ potężnego Swantopulka, zmuszając go do poddania się. Dziedzicami tej włości i zamku były kolejno najmożniejsze węgierskie rody, jak Zapolya, Bathori, Palfy i t. d.

R. 1232 Déven, po słowacku zwane „*Dewina*“, oblegał Fryderyk Waleczny, roku 1272 Ottokar, a roku 1621 z trzydziestu muszkietierami podstępem za-

mek ten zdobył Bonquoy. Turcy zaś mimo wszelkich wysiłków 1683 r. zamku zdobyć nie mogli; pomimo to w r. 1809 Francuzi ciągnący do Węgier zastali już ten zamek w ruinach i do reszty zniszczyli go, wysadzając część murów w powietrze.

Wedle miejscowego podania zamek ten miał być wzniesiony przez córkę jakiegoś słowiańskiego króla, i ztąd też pochodzi jego słowiańska nazwa „*Dewina*“ (Devica, po węgiersku Déven, po niemiecku Theben).

Za króla Macieja Korwina właściciel zamku tego, jeden z hrabiów Szent Gyeorgy es Bazin, ulubiony dworzanin tego króla, będąc w Peszcie i przechodząc raz u jednego obok któregoś z licznych kościołów klasztornych, wstąpił doń dla zmówienia krótkiej modlitwy. W chwili, w której wszedł do kościoła, odprawiało się nabożeństwo i za kratą chóru zakonnego usłyszał przecudny śpiew kobiety. Zaciekawiony i zachęcony tym śpiewem Szt. Gyeorgy zbliżył się do kraty i za niedosłoniętą firanką ujrzał młodą i piękną zakonnice, która właśnie śpiewała.

Od tej pory dworzanin codziennie bywać zaczął w tym kościele i za pomocą starej babki kościelnej, którą sownie złotem opłacał, porozumiewał się z młodą zakonnice. Ulegając woli rodziców, wbrew swemu przekonaniu sukienkę zakonną przywdziała; dnia pewnego więc z pomocą kilku przyjaciół, hrabia wykradł nieszczęśliwą z poza murów klasztornych i uwiózł do swego zamku Déven, gdzie miejscowy kapelan połączył ich węzłem małżeńskim.

Niebawem atoli po całym mieście rozbiegła się

wieść, że jeden z dworzan królewskich popełnił świętokradztwo, gwałcąc święte schronienie dziewic, poświęconych Bogu i uwożąc jedną z zakonnice.

Król Maciej, dowiedziawszy się o tém i zawiadomiony że czynu tego dopuścił się Szent Gyeorgy, rozkazał, ażeby pod groźbą niełaski zakonnice natychmiast odwiózł do klasztoru, sam zaś ażeby się stawił przed majestatem królewskim. Lecz Szent-Gyeorgy na wezwanie to odpowiedział szyderstwem, oświadczając, że żony, którą w obec Boga i ludzi poślubił, nikomu nie odda dobrowolnie, chyba że mu ją gwałtem wydrą, choć i wtedy żywój nie dostaną.

Król oburzony tak zuchwałą odpowiedzią, poparty przez biskupów i prymasa, który na Dévén i Szt-Gyeorgya rzucił klątwę, wysłał poczet rycerstwa pod wodzą jednego ze swoich pułkowników, polecając ażeby Dévén zdobyli i zakonnice wraz z Szent-Gyeorgym żywych lub umarłych do Budy dostawili.

Szent-Gyeorgy nadsięgające wojsko królewskie przyjął z bronią w rękę; walka się rozpoczęła. Dzielny był opór załogi Dévénu, lecz gdy wielu z obrońców poległo i siły wyczerpywać się zaczęły, wtedy Szent-Gyeorgy wraz z ukochaną swą zamknął się w wieży nad Dunajem, obok strażnicy zamkowej. Tu długo jeszcze się bronił. Nic nie pomogło ogłoszenie klątwy nań rzuconej przez prymasa, nic nie pomogło zapewnienie królewskie przebaczenia mu winy, byle tylko porwaną zakonnice wydał. Szent-Gyeorgy był stały w postanowieniu swoim, i dopiero gdy ostatnią kruszynę chleba spożyli, gdy już wszyscy towarzysze

jego polegli lub ciężko ranni walczyć nie mogli, dopiero wtedy Szent-Gyeorgy na szczycie wieży wywiesił białą chorągiew, i w chwili w której oblegający w obręb wieży wchodzili, wraz z kochanką swą ze szczytu wieży rzucił się w spienione nurty Dunaju. Przeniósł śmierć nad rozłączenie się z tą, którą więcej kochał niż życie!

Z Dévén statkiem parowym dążącym z Wiednia do Warny, ruszyliśmy w drogę, śpiesząc z powrotem do Komorna, dokąd mnie obowiązki służbowe powoływały.

Minąwszy Presburg, miasto pięknie zbudowane tuż nad prawym brzegiem Dunaju, z zamkiem królewskim na wyniosłej górze, z kądem przedstawia się rozległy widok, i ze słynnym pagórkiem koronacyjnym, podążyliśmy wzdłuż prawego brzegu wyspy Csalloköz ku Komornu. Minęliśmy Vajka, wioskę w której miał mieszkać św. Stefan, gdy na cześć 12 apostołów na wyspie budować kazał 12 kościołów, dalej Oroszvar (czytaj Oroszar), dawne rzymskie *Castra Gerulata*, z pięknym parkiem i zamkiem hrabiów Zichy (czytaj Ziczij) i zbliżyliśmy się do Győr (Raab), położonego w pobliżu ujścia rzeki Raab do Dunaju. Tylko szczyty wieżyc kościelnych widać ze statku szybującego po falach Dunaju.

Győr, niewątpliwie rzymska *Arrabona*, w roku 1009 za sprawą króla Stefana stało się siedzibą biskupa; roku 1544 zdobyte było przez Turków. Po oswoobodzeniu Wiednia od pierwszego oblężenia tureckiego hrabia Adolf Schwarzenberg powziął posta-

nowienie za jakąbądź cenę odebrać miasto Turkom, co też mu się udało, i od téj pory w herbie Szwarzenbergów „*Kruk*“ (Rabe) został pomieszczony. Z tym historycznym faktem łączy się tradycja, której tu nie podobna pominąć.

Schwarzenberg, zbliżywszy się pod mury Györu, zawezwał baszę zamkniętego w mieście, ażeby się poddał; lecz ten, wskazując na miedzianego koguta, zdobywającego szczyt wieżyczki nad bramą „*wodną*“, kazał parlamentarzowi hrabiego napis będący na ścianie odczytać. Napis ten brzmiał jak następuje:

*Gdy kogut miedziany piąć będzie,
To Raab, chrześcianin posiędzie?*

Wysłaniec hrabiego wrócił do obozu i odpowiedź baszy zakomunikował wodzowi.

Nazajutrz z pierwszemi brzaskami zbliżającego się dnia, kogut miedziany podniósł swe ciężkie skrzydła i strzepnąwszy nimi zapiał tak donośnym głosem, że pianie to słychać było aż w obozie chrześcijańskim.

Strach paniczny ogarnął Turków, którzy koguta zrzucili niezwłocznie do wody: to jednak nic nie pomogło, bo wojsko cesarskie zdobyło miasto, podkładając silną petardę pod żelazne wrota miejskie. Wybuchająca petarda wyrwała wrota i rzuciła je aż na plac targowy.

Drzwi te dotąd w jednej z kaplic kościoła katedralnego są pokazywane. Schwarzenberg niezwłocznie kazał nad bramą „*wodną*“ powiesić koguta rzeźbionego z kamienia, pod którym umieszczono napis:

„*Gdy kamienny kogut piac będzie,
Wtedy Turek Raab posiedzie*“.

W roku 1809 dnia 4 czerwca pod murami Gyóru wojska węgierskie w bitwie z Francuzami zostały pobite, a roku 1849 po krwawych zapasach z armią węgierską udało się po raz pierwszy wojskom austriackim odnieść tu świetne zwycięstwo, przyczem miasto po zaciętym oporze zostało zajęte przez Austriaków. W bitwie téj dowodził wojskami austriackimi hrabia Schlick, później komendant armii galicyjskiej.

Przy zdobyciu miasta tego dzisiaj panujący cesarz i król Franciszek Józef, na czele szturmujących wojsk, po palącym się moście wpadł do miasta jako zwycięzca, i tym czynem zdobył sobie krzyż zasługi wojskowej.

Opuściwszy Raab, dokąd ze statku dopływa się małym statkiem komunikacyjnym, popłynęliśmy dalej okolicą bezbarwną i mało bardzo interesu budzącą. Na przestrzeni téj najwięcej budzić może zajęcia, oczywiście w miłośnikach polowania, ogromna ilość ptactwa wodnego, które w nadbrzeżnych szuwarach się gnieździ i powietrze krzykiem swoim napełnia.

Z Gönyö przy odpowiedniem oświetleniu widać w głębi słynne benedyktyńskie opactwo Szent-Marton (Sacer Mons Pannoniae). Św. Stefan jest założycielem tego miejsca i dokument z jego podpisem, odnoszący się do téj fundacyi, znajduje się dotąd w skarbcu tego opactwa.

Minąwszy Acs, gdzie r. 1849 była stoczona krwawa bitwa, dalej Babilnę, gdzie znajduje się słynna w Europie stadnina cesarska koni arabskich najczystszej krwi, nareszcie minąwszy na prawym brzegu wznoszącą się twierdzę *Sandberg*, zbliżyliśmy się do Komorna, gdzie w przystani naprzeciw hotelu „*Pod beczułką*“ oczekiwało nas grono znajomych i kolegów.

VI.

Kto raz był w Węgrzech i zżył się z tym narodem, ten pobytu swego w tym kraju nigdy nie zapomni, a chwile tam spędzone uważać będzie za bardzo przyjemne w swoim życiu. Znałem i słyszałem wielu, którzy pociągami kolejowymi przebiegłszy przez Węgry, apodyktycznie wygłaszali swe zdanie o tym kraju i narodzie. Czyż na takim zdaniu można polegać? Czyż można sądzić o rzeczy, którą zaledwie przelotnie się widziało? Sądzę że nie!

Wielu którzy zaledwie dni parę przebyli w Peszcie, dawało się słyszeć, że Węgrzy to naród, z którym my ludzie cywilizowani żyć nie możemy, że w Węgrzech to dzicz straszliwa, pojęcia zupełnie odrębne, a całe ich postępowanie dziwne, rażące szorstkością, оголоcone ze wszelkiej dystynkcyi, wszelkiej etykiety i t. d.

Ludzie, co tak znakomicie zbadali charakter narodu, którego malutką cząsteczkę poznali w hotelach

i restauracjach, zapomnieli, wydając swe zdanie, że aby poznać naród jakiś, trzeba czegoś więcej niż przejechania przez kraj spacerem i studyowania jego życia a charakteru narodowego po domach zajezdnych. Jak dotąd, jednostki tylko z pośród nas poznały bliżej Węgry i Węgrów, a te jednostki zupełnie inaczej się o nich odzywają.

Podróż do Węgier celem zwiędzenia i poznania tego kraju, pełnego powabu, dziś jeszcze uchodzi u nas za coś bliskiego podróży przedsiębranęj do Chin! Tymczasem Węgrzy to naród pełen młodzieńczej siły żywotnej, z którego cywilizacya germańska nie starła uroku dziewiczości myśli i serca. Przeciętny Węgier nie zna obłudy, co w myśli u niego to i w sercu, a co w sercu to i na ustach! Czy magnat węgierski, czy najbiedniejszy wiesniak wszyscy za zaszczyt sobie mają, że są Węgrami; nie wstydzą się tego, przeciwnie, wszędzie i zawsze, chlubią się tém. Niższe warstwy społeczeństwa węgierskiego z wiarą i ufnością patrzą na tych, którzy stoją u szczytu drabiny społecznej, wierzą i ufają im; ale bo téż i ci wybrańcy losu nigdy zaufania w sobie pokładanego nie zdradzili, zawsze i wszędzie trzymali z narodem i liczyli się z czynami swymi, w obec tych, którzy obdarzyli ich swoim zaufaniem! Taki Esterhazy, Erdödy, Palfy, Zichy i t. d. byli pierwój Węgrami niż magnatami, pierwój obywatelami kraju niż dygnitarzami; nie dziw więc, że między swoimi byli i są Węgrami par excellence!

Węgrzy w ogóle są narodem pełnym prawości i zacności, narodem kochającym swój kraj więcej niż

jakikolwiek inny naród europejski, są narodem który stare zwyczaje i obyczaje szanuje i ściśle zachowuje, który mimo że obłuda i egoizm zachodni gwałtem wcisnąć się doń usiłuje, jest co do charakteru takim jakim był przed wiekami. Serdeczna gościnność, szczérość i otwartość: oto cechy główne tego narodu, który właśnie może dla tego wydaje się rubasznym i którego postępowanie nie podoba się przelotnym ptakom.

Kto chce ten naród bliżej poznać i osądzić go sprawiedliwie, ten bezwarunkowo musi żyć wśród niego czas dłuższy i musi poznać różne warstwy społeczeństwa, a wtedy przekona się, że naród ten, pod względem charakteru, czystości obyczajów i miłości kraju, zajmuje między ludami Europy stanowisko zaszczytne.

Peryod 17-letniego oporu biernego, jaki Węgrzy stawiali rządowi austriackiemu, najlepiej udowodnił, że to naród politycznie dojrzały, że umie wytrwać w raz powziętym postanowieniu i że jest pełen sił żywotnych, których nie spożyć i zniszczyć nie mogło.

Zwyciężyli nie w krwawej walce z bronią w ręku lecz w walce moralnej, o wiele skuteczniejszej niż tamta. Przywiązanie do praw swoich i miłość ojczyściej ziemi sprawiły to, że germanizatorowie musieli 1866 r. broń złożyć i uznać się za pobitych. Tu nie siła brutalna lecz rozum zwyciężył. Poznawszy Węgrów tak jak ja ich poznałem, trzeba czoła przed nimi uchylić.

W górnych Węgrzech, wzdłuż całego pasma Karpat, hrabstwa nitrzańskie, trenczyńskie, orawskie, turockie, liptawskie, spiskie, szaryskie, barskie,

solskie i część hrabstw gömörskiego, tornaskiego i abajwarskiego są przez Słowaków zamieszkałe, między którymi żyją rozproszeni Węgrzy, przeważnie właściciele większych posiadłości ziemskich.

W ziemi spiskiej między posiadaczami ziemskimi spotykałem bardzo często wielu potomków rodzin polskich, które tu się osiedliły za czasów gdy ta ziemia należała jeszcze do Rzeczypospolitej. Spotkałem tam rodziny Radwańskich, Radolińskich, Lechockich, Potockich, Kucharskich, Borowskich i inne. Członkowie tych rodzin zmienili już pisownię nazwisk swoich, przyjmując pisownię węgierską, — i stali się Węgrami w całym słowa znaczeniu; chociaż pochodzenia swego nie zapierają się, i tradycje rodowe w wielkim mają poszanowaniu. Pan Michał Radwański (Miska Radvansky), posiadacz pięknej włości Radvany w pobliżu Polomki w hrabstwie gömörskiem, pokazywał mi nawet dokumenta rodzinne, z których dowiedziałem się, że praszczur jego Michał herbu Radwan za czasów króla Ludwika, gdy Munkacz w swoim władaniu dzierżył Teodor Książę Koryatowicz, przybył do ziemi spiskiej i tu ożeniwszy się osiadł. Pan Miska Radvansky opowiadał mi, że przed laty czterdziestu, gdy był jeszcze małym chłopięciem, ojciec jego jeździł do Polski celem odszukania i zawiązania stosunków z rodziną tamże zamieszkałą; czy atoli kogo odnalazł i czy stosunki jakie utrzymywał z Polską, tego nie pamięta; wie tylko, że w lat parę później przybył do nich jakiś niemłody już pan polski, który, jadąc do Trenczyna, u ojca jego w Radwanach dni parę bawił. Tego pana

ojciec jego nazywał „bracie“ i był dla niego z wielkim szacunkiem.

Co do Lechockich znałem także jednego z téj rodziny, który mieszkał w Rudnie, w turockim komitacie, i pisał się z Lechoty, pieczętując się herbem Leliwa. Otóż daleki jakiś krewny Jana Lechockiego (Janos Lechotzky) mieszkał około r. 1850 we Lwowie. Tenże Jan Lechocki utrzymywał, że wedle tradycji rodziny, przodek jego, za czasów króla Jana III wracając z wyprawy wiedeńskiej, na Śpiżu osiadł i był właścicielem jednéj z rozleglejszych włości, lecz potomkowie jego sprzedali ją i przesiedlili się do komitatu turockiego. W czasie mego pobytu w Lewoczy poznałem tam niejakiego Antoniego Lechockiego, który był urzędnikiem zarządu miejskiego; lecz ten mało co o swoich przodkach wiedział, utrzymując tylko, że ród jego pochodzi z Polski.

Oprócz hrabstw wyż wzmiankowanych, gdzie natopkać można liczne rodziny pochodzące z Polski, w całych Węgrzech mieszkają rozrzućeni Polacy, dziś już pod względem obyczajów, mowy jako téż i przekonań politycznych Węgrzy. I tak w Tótis spotkałem p. Lewickiego (Levitzky), który był tam administratorem dóbr hr. Esterhazy; w Nagy-Varadin poznałem pana Ustrzyckiego (Usztricky). W O-Arad za moich czasów żył właściciel Aradu Artur hrabia Żeleński, b. pułkownik wojsk węgierskich, brat rodzony Wita hr. Żeleńskiego ze Słotwiny pod Krakowem.

Artur Żeleński, ożeniwszy się r. 1850 z panną Bohusz, właścicielką Aradu, już tam stale osiadł; potem

przyjął obywatelstwo węgierskie w lat kilkanaście później, około roku 1862 czy też 1863.

Oprócz wyżej wymienionych rodzin w całych Węgrzech bardzo wiele żyje takich, które, sądząc z nazwiska, niewątpliwie swe pochodzenie z Polski wywodzą; ciekawą też byłoby rzeczą dla heraldyków naszych, gdyby o rodzinach polskich osiadłych w Węgrzech zebrali szczegółowe wiadomości i takowe publicznie ogłosili.

Wracając do mojej włóczęgi po kraju Arpada, wspomnieć tu muszę o miejscowości mało znanéj i mało przez kogo zwiedzanej, mianowicie o wsi „Csorba“, położonej w hrabstwie liptawskim, w pobliżu stacyi pocztowej *Lucsivna* (Lucziwna). Wieś ta kościelna, znajdująca się w przesliczném położeniu, otoczona jest prawie ze wszech stron jodłowymi lasami, napęlniającymi powietrze przepyszną balsamiczną wonią.

Kościół tu będący istniał już przed rokiem 1300 i wieś z przyległościami, zwana wonczas *Chorba Vasych*, r. 1287 przez Króla Władysława nadana została prawem lenném, wraz z dobrami Bobracz, niejakiemu Bogomernsowi, tytułowanemu „comes“. Dziśniejszymi posiadaczami i dziedzicami téj lennej włóści, są trzy rodziny Szentivanyi, Szmrecsanyi i Baan, do których należą także wsie: Okolicsanyi, Majlath i Pongracz. Przywiléj króla Władysława z r. 1286 znajduje się zapisany w dziele wydaném niedawno przez węgierską Akademię nauk p. t. „*Liptai Regestrum*“.

Wedle wskazówek, zasiągniętych na miejscu, nazywa dzisiejsza włóści „Csorba“ pochodzi od „csorda“

i tak dawniej tę miejscowość nazywano. Wyraz „*csorda*“ w języku węglerskim oznacza trzodę bydła i ztąd wnosić należy, że mieszkańcy byli tu pasterzami i trudnili się hodowlą owiec i bydła rogatego. Do dziś jeszcze przeważna liczba mieszkańców tych okolic, posiada znaczne trzody bydła, co stanowi niejako charakterystykę miejscową.

Na starożytniej pieczęci gminy wypisana jest nazwa: „*Csorda*“ a na najstarszej księdze metrycznej „*Strba*“. W jednym z dokumentów wydanych przez króla Zygmunta (1391) miejsce te nazwane jest „*Chorba*“. Na gruntach należących do wsi Csorba znajduje się obszerne jezioro, znane pod nazwą *Csorbskiego* lub też *Szczyrbskiego jeziora*, położone bardzo malowniczo pośród rozległych lasów, noszących różne nazwy, jak: obecny, farski (dawniej Szmrecsanyi), bogusowy, zláby, kinberg i t. d.

Gmina Csorba liczyła za moich czasów do 2000 dusz. Z plebanii położonej tuż obok starego kościoła, zbudowanego z nieforemnych głazów i granitowych brył, przedstawia się widok wspaniały: jak olbrzym straszliwy, tuż prawie za ogrodem plebańskim, wznosi się pod niebiosa szczyt Krywanu, a cośkolwiek dalej w głębi Łomnica. Dwa te szczyty, wznoszące się ponad cały szereg mniejszych gór, ozłoczone promieniami zachodzącego słońca, na ciemniejszym błękicie niebios, zdają się płonąć jak pochodnie, i gdy w Csorbie już dawno zupełny mrok wieczorny panuje, tam na górach bliżej szczytów tatrzańskich, wzrok się kąpie w złotym odbłasku promieni słonecznych.

Głęboka cisza, zalegająca naturę, od czasu do czasu przerywana bywa tylko głosem dzwonekówd bywała po żlebach i turniach rozpierzchniętego, lub też tysiąc-krotnym echem powtarzany rozlega się dzwon kościelny, wzywając wiernych na modlitwę za dusze poległych w walkach z niewiernymi. Siedząc przed domem plebańskim i oddychając świeżem powietrzem górskiem, wsłuchiwałem się w opowiadania miejscowego plebana, które przenosiły mnie myślą w odległe wieki. Dziwną jest rzeczą, że w stronach tych pamięć o królu Janie III, powszechnie tu Sobkiem zwanym, nie zaginęła, tembardziej że Jan III nie rozpościerał władzy nad tą częścią ziemi słowiańskiej. Lud miejscowy pamięć o królu Janie III zachował w pieśniach i opowiadaniach. Mieszkańcy Csorby są wyłącznie słowacy podgórcy; trudnią się pasterstwem, bardzo nabożni i do swęj ziemi przywiązani.

Zwiedziwszy tę miejscowość, ruszyłem przez St. Miklos i Liptawę do Kubyny, przedzierając się pod Szelnicę (Selnicza) przez grzbiety gór jednéj z odnóg tatrzańskich. Naturalnie, że wycieczkę tę odbyć musiałem piechotą w towarzystwie nadleśnego lasów, należących do Csorby, idwóch przewodników. Wdarłszy się z niemałym trudem na szczyt góry „Chociacz“, ujrzałem nadzwyczaj malowniczy widok ku południu i północy. Góra „Chociacz“, jak ją lud miejscowy nazywa, wznosi się na saméj granicy dwu hrabstw liptawskiego i orawskiego (Arva).

Na przestrzeni hrabstwa liptawskiego, o ile górzysta okolica dojrzyć dozwalała, widziałem na ciem-

ném tle lasów i zieleniących turni, wieś Teple, Harom, Szlecs, Liptawę i kilka innych wiosek, rozsiadłych na stokach gór i skał; po przeciwnéj zaś stronie w komitacie orawskim wzrok mój sięgał aż do Trsztenny i Jabłonki, położonéj w pobliżu Babiéj góry, która groźnie się wznosi na samém pograniczu galicyjskiém.

Północnym żlebem spuściwszy się z „Chociacza“, późno już wieczorem dotarłem do Kubyny. Tu przemocowałem w zamku u wielce gościnnego pana Kubyny es Also-Kubyny, syna ówczesnego prezesa Akademii umiejętności w Peszcie. Nazajutrz ruszyłem dalej do zamku Arva-Varallya, położonego nad Orawą (Arva), wpadającą do rzeki Gran. Zamek órawski leży na wysokości skały piramidalnej, podnóże której z trzech stron oblewa Orawa, rzeczka wcale niegłęboka, lecz bardzo rwąca i płynąca z dzikim szumem.

Piękna ta niegdyś siedziba hrabiów na Orawie i Liptawie (z których Komorowscy pochodzą, mając sobie te hrabstwa przez króla Macieja nadane) dziś sterczy tylko jako nadzwyczaj malownicza, ku upadkowi chyląca się ruina, do której przystęp jest bardzo trudny. Na szczycie skały, na której niegdyś obronny zamek się wznosił, znajduje się jeszcze, tuż nad przepaścią zwieszony, gmach dwupiętrowy, który stanowi część głównego korpusu zamkowego, i wysoka baszta; reszta zaś, jak dwa skrzydła, trzy baszty narożne i brama wjazdowa w gruzy są rozsypane. Wyżej wzmiankowane dwie części, jakoto korpus i jedna baszta, są pokryte dachem, i zamieszkiwał je za mojej

bytności w Orawie pan Szigethazy, właściciel Orawy.

W baszcie narożnej znajduje się kaplica zamkowa, dosyć dobrze jeszcze zachowana, zdobna kilku pamiątkami dawnych właścicieli Orawy, którzy pod płytami kamiennymi kaplicy, w jej podziemiach, wiecznym snem ujęci spoczęli.

W zamieszkałej części zamku szczególną na siebie zwraca uwagę duża sala, z olbrzymim kominkiem, zdobnym w herby, i kilkunastu portretami, osadzonymi w czarnych dębowych ramach. Portrety wszystkie przez wilgoć i niedozór tak są zniszczone, że trudno rozpoznać rysy na nich przedstawione. Na jednym z nich dojrzałem u góry herb, mający wielkie podobieństwo do herbu „Suche komnaty“. Między temi portretami znajduje się nadto jeden zupełnie dobrze zachowany i przedstawiający młodą kobietę w białej powłóczystej sukni, z rozpuszczonymi włosami, przykrytymi białą przejrzystą zasłoną. Kobięta przedstawiona na portrecie jest precudownej urody. Jak tradycya miejscowa niesie, ma to być portret ostatniej z rodu dziedziczki tego zamku.

Pan Szigethazy, który z tradycyjną u Węgrów gościnnością mię przyjął, zakomunikował mi podanie, przywiązane do tego portretu i zamku.

Przed wiekami, jak ono mówi, młody rycerz Beła Nadasdy, przybyły zdaleka, zabłąkawszy się w lasach, późno już wieczorem zdążył pod skałę zamkową, i tu nagle ujrzał wszystkie okna orawskiego zamku rześście oświetlone. Uradowany, że znalazł siedzibę zamieszkałą przez ludzi i że nie będzie zmuszony prze-

pędzić nocy pod gołym niebem, spał swego rumaka i po stromej skalistej drodze wjechał na szczyt góry zamkowej. Brama była otwarta, głucho milczenie zalegało cały podwórzec; niezrażony tém jednak, zsiadł z konia, przywiązał go u kółka w kamiennym słupie, i ruszył ku zamkowi.

Wszedłszy do przedsionka zamkowego, oświetlonego kilku pochodniami, wstąpił na wschody prowadzące na wyższe piętro. Milczenie grobowe panowało i w całym gmachu. Echo jego kroków, odbijające się o wyniosłe sklepienie, dźwięczało ponuro. Młody Bela wszedł nareszcie do sali zdobnej w liczne portrety i olbrzymi komin, na którym żywy płonął ogień.

W sali tej, w pobliżu jednego z okien, sparta na obok stojącym stole siedziała nieruchomie młoda i nadobna dziewczica. Rycerz, ujrawszy ją, skłonił się a wymieniwszy kim jest i oświadczywszy, że zbłąkany wszedł do tego zamku, prosił o gościnność. Nadmienił przytém, że rad by się czém posilić, bo głód straszliwie mu doskwierał.

Młoda dziewczica, nie rzekłszy i słowa, spełniła życzenia Beli, podała mu chleb, wino i owoce, zapraszając skinieniem ręki, by siadł i głód zaspokoił.

Jedząc i popijając dobre wino, Bela zaczął rozmowę. Pytał się pięknej nieznajomej czy jest córką właściciela zamku? Dziewica skinieniem głowy na zadane sobie pytania odpowiadała, a na pytanie gdzie są jej rodzice wskazała dwa portrety wiszące na ścianie, dodając ledwo dosłyszalnym głosem:

— *Jestem ostatnią z rodu.*

Bela, ożywiony paru szklankami wina, zbliżył się do dziedziczki zamku i zapytał jęj, czy nie weźmie mu za złe, że on, biędny rycerz, poważy się prosić ją o jęj rękę. Dziewica, usłyszawszy te słowa, usmiechnęła się łagodnie, wyjęła z obok stojącej szkatułki dwa pierścienie i nadwiednięty wianek rozmarynowy, włożyła go sobie na głowę i skinieniem ręki wezwała Bełę, ażeby szedł za nią.

U drzwi stojący dwaj starcy ruszyli naprzód i rozwarli drzwi prowadzące do kaplicy. Tu przybywszy, kasztelanka trzykrotnie uderzyła w płytę grobową, na której wyrzeźbioną była postać jakiegoś biskupa. Kamienna ta postać nagle ożywiła się, ciężko podniosła i weszła na stopnie ołtarza, spoglądając błyszczącemi oczyma na Bełę. W tej chwili i na ołtarzu zapłonęły światła i organy się ozwały.

Kasztelanka zimną jak marmur ręką ujęła za rękę młodego rycerza i zbliżyła się do ołtarza; wtedy kamienna postać przemówiła grobowym głosem:

— Cny oblubięncze, czy zgadzasz się zaślubić na małżonkę tu obecną, szlachetnie urodzoną dziewicę Erzsébetę (Elżbięta) Varalya es Banfy?

Na te słowa grobowe, zimny dreszcz przeniknął Bełę, który tęż, opanowany szalonym strachem, wybiegł z kaplicy.

Rozdzięrający krzyk wstrząsnął sklepieniem kaplicy i doleciał jego uszu; zdało mu się, że nagle z grobów wszyscy umarli powstali i gonić za nim poczęli.

Zbiegł ze schodów i dopadł konia, który stał

spokojnie u wrót zamkowych. Jednocześnie kur zapiał, światła w zamku pogasły i głucho milczenie za-
legło dokoła.

Wysoko na niebie świeciło już słońce, gdy Bela ze snu się obudził. Koń wierny stał obok niego; on zaś leżał na trawniku zamkowym. Wstawszy i rozejrzawszy się po otoczeniu, przyszedł do przekonania, że lepiej byłby zrobił, nie wstępując do zamku, gdzie omal że nie zaślubił dawno już zmarłej Erzsébety Varalya es Banfy.

Podanie miejscowe dodaje jeszcze, że rok rocznie pewnej nocy lipcowej, w zamkowej kaplicy zjawia się duch Erzsébety, przyodzianej w szaty godowe, i oczekuje dotąd jeszcze na przybycie narzeczonego, który przed samym ślubem u stopni ołtarza ją opuścił.

VII.

W pierwszych dniach maja 1858 r. uzyskawszy kilkotygodniowe uwolnienie od służby, ruszyłem z Komorna do Pesztu; po parodniowym pobycie zamierzałem podążyć z Pesztu do Baja, gdzie mnie oczekiwał pan Jozsi Szmidten, z którym u jednego z moich znajomych w Komornie poznałem się.

Minęliśmy statkiem parowym wyspę Csepel, słynną w dziejach węgierskich z tego względu, że tu jest pierwotna siedziba Magyarów i że tu znajdować się ma grób Arpada. Nazwa tej wyspy pochodzić ma od imienia jednego z ulubieńców Arpada. Na wyspie tej widzimy tuż nad samym brzegiem Dunaju słynny cypel, gdzie się znajdują rozległe piwnice win, z których największa i najlepsze wina posiadająca należała do pana A. Lénkeya.

Poza tym cyplem i Teteny, wsią zdobną w przeszliczny park i zamek, zbliżamy się do osady Hamsabég. zwaną także Erd. Tu są jeszcze ślady pobytu Tur-

ków na Węgrzech: ruiny wyniosłego minaretu malowniczo sterczą ponad winnicami. Właścicielem tej miejscowości za czasów tureckich był słynny Hamsabeg, rządcą Szekes-Fejervar'u (Stuhlweissenburg).

Rok 1541, płomiennymi literami wypisany na kartach dziejów węgierskich, rozpoczął prawie półtorawiekową niewolę synów Arpada, którzy w jarzmie tureckim jęczeć musieli.

Pod koniec panowania bisurmanów, gdy Węgrzy z pod ich władzy wydobyć się zapragnęli, w krwawej bitwie, którą Piotr Szapary z Hamsa-begiem stoczył, nieszczęśliwy Szapary dostał się do niewoli tureckiej. Przyrowadzonego Piotra Szaparego, Hamsa-beg czynnie zniewazył, nderzając go w policzek! Odtąd biedny niewolnik w pokorze i milczeniu znosił wszelkie zniewagi, jakie srogi zwycięzca mu wyrządzał.

Hamsa-Beg wrzał nienawiścią ku zacnemu i dzielnemu Piotrowi, który, mimo gróźb i katuszy, mimo ofiarowanej sobie wolności, wiary zmienić nie chciał.

— Szapary! mówił Hamsa-Beg, będziesz wolnym! zostań muzułmaninem, uproszę padyszacha, zrobi cię b aszą;

— Nie, odparł Szapary, ja swojej wiary nie zmienię! wolnym będę, i przyjdzie chwila, w której Bóg pomści się za krzywdy, jakie wy nam wyrządzacie. Dziś ja twoim niewolnikiem, lecz nadejdzie czas, gdy ty będziesz moim! Bóg jest miłosierny i wysłucha mojej prośby!

— A więc bądź niewolnikiem, g iaurze prze-

klęty, zakrzyknął Hamsa-Beg; odtąd nie ludzie lecz bydłota będą twymi towarzyszami i z nimi będziesz orał ziemię!

Hamsa Beg skinął ręką, a wierni słudzy jego porwali Szaparego i zaprzęgli z wielbłądem do pługa. I Piotr Szapary, jak bydłę, orał ojców ziemię u brzegów Dunaju, orał pola należące do Hamsa-Bega.

Ale przyszła chwila, w której Węgrzy zrzucili z siebie przygniatające jarzmo; muzułmanie pobici musieli ustąpić i ci co niedawno jeszcze pastwili się nad Węgrami, teraz stali się ich niewolnikami. Znowu na szczytach wieżyc zabłysły krzyże, znowu Bóg zwrócił ku Węgom swe oblicze, i w kraju całym zapanowała radość wielka!

Sto pięćdziesiąt lat niewoli, sto pięćdziesiąt lat upokorzenia potrzeba było, nim Węgrzy zdołali Boga przebłagać, przebaczenie i opiekę Jego uzyskać. Piotr Szapary był wolnym!

I ten co niedawno zaprzągnął go do pługa, dziś był jego niewolnikiem! Drżał Hamsa-Beg przed zemstą Piotra, którego z niewoli oswobodził Batthyany. Lecz Piotr był Węgrem i chrześcianinem; zemsta też jego była szlachetną.

— Hamsa-Begu, mówił Szapary, byłem twoim niewolnikiem, orałem twoje pola, dziś jestem wolny, bom wierzył w mego Boga, i tyś moim niewolnikiem, boś bluźnił Panu nad Pany! Mógłbym się pomścić na tobie za kraj mój i za siebie, lecz tego nie czynię! jam nie mściwy! Hamsa Begu! idź, jesteś wolny!

— Allah jest wielki a Mahomet jego proro-

kiem! zawołał Hamsa Beg. Niepojęte są wyroki Allaha i niepojętą jest dla mnie twoja wspaniałomyślność! Allah! błogosław tego co w Tobie swą ufność pokładał, a ukarż tego co śmiał targnąć się na sługę Twego!

W lat parę stanął przed obliczem Szaparego wędrowiec ubogi, okryty łachmanami, prosząc o posłuchanie. Jakże się zdziwił Szapary, poznając w wędrowcu słynnego Hamsa-Bega!

— Czego żadasz? pytał Szapary.

— Przebaczenia! odparł pytany. Bóg srodze mnie karze; tyś mnie obdarował wolnością, mimo że ja byłem dla ciebie tyranem! Dziś jestem gorszy od psa, co u nóg twoich leży! Sumienie mnie dręczy, i dotąd spokojnym nie będę aż mi nie przebaczysz! Niedgdyś żądałem byś zaparł się Boga swego! dziś ja przychodzę do ciebie i proszę wybac mi, dopomóż abym został chrześcianinem.

I Hamsa-Beg przyjął chrzest święty i przywdział na się szaty zakonne. A Szapary i Bóg przebaczył mu jego winy.

Takie jest podanie, przywiązane do miejscowości, obok której statek parowy przepływa. Miaławszy Raczkewi, zwane także „*Jezuicki ogród kapucyński*“, Duna Földvár, Tolna, przybyłem do Baja, gdzie zabauiem dni parę pod gościnnym dachem Jana Schmidten; puściłem się potem w dół Dunaju aż do Orsowy, zkąd zamierzyłem ładem wrócić do Bazias'u i kolejną żelazną na Temésvar, Szolnok, Peszt i Szekes-Fejervár powrócić do Komorna.

Oto z kolei: Zimony (Semlin), dalej Belgrad, Pancsova, Bazias, Gradistie i Mołdawa! Zbliżamy się do skały samotnie wśród Dunaju sterczącej. Skała ta zwie się Babakai.

Naprzeciw Babakai wznoszą się ruiny starożytnego zamczyska „Golubacz“, które o wiele są piękniejsze od ruin zamków Aggstein i Dürrenstein. Nad samym brzegiem Dunaju wznosi się ośmiokątna, silnie zbudowana wieża, która podwójnym murem z górnym zamkiem połączona była.

Tu miało się wznosić słynne rzymskie „*Castellum Cupus*“.

Golubacz r. 1391 był pierwszym miejscem we Węgrzech, które Turcy zdobyli. Wedle podania, terazniejsze zamczysko zbudowała Turczynka *Gerina*, która jak czeska Libussa na Wiszelradzie miała z kochankami swymi schadzki, a te zwykle krwawo się kończyły. Wskutek tego Turcy zamek ten przewali „*Gögerdzinlik*“ to jest Gołębnik.

Gdy jeszcze Turcy nad Węgrami panowali, w Golubaczu ze swoim harem zamieszkiwał turecki aga ben Oglu. W pobliżu Golubaczu, na obszernej równinie, w jednej z pobliskich włości zamieszkiwał magnat węgierski Janos Erdöd, który często po pod zamkiem agi przejeżdżać był zmuszony.

Dnia pewnego, przed samym zachodem słońca, Erdöd wracał do domu, gdy w chwili w której po pod zamek przejeżdżał, nagle z głębokiej zadumy wyrwany został, ujrzawszy przed sobą przedmiot ciężki, padający ze szczytu wieżycy. Erdöd wstrzymał biegu-

na, żwawo zeń zeskoczył i przedmiot rzucony podniósł. Był to kamień owinięty w pergamin, na którym następne słowa były nakreślone:

„*Waleczny junaku, ratuj chrześciankę, która jest w mocy agi. Wyrwij mię z tej niewoli a będę twoją! Jutro wieczorem czekam cię u dolnej baszty. Maria Etvös, zwana Oglu-Disdeida*“.

Następnego dnia wieczorem w zamku Agi wielkie było zamieszanie: aga srożył się i zżymał, Disdeida znikła!

Aga rozesał swych siepaczy, by Disdeidę odszukali. Lecz daremne były ich starania!

Po długim przeciągu czasu, jeden z janczarów odszukał miejsce schronienia Disdeidy i podstępem wcisnąwszy się do zamku Erdöda, nieszczęsną dziewicę porwał i przed agę przyprowadził. Aga z szyderczym śmiechem przyjął nieszczęśliwą i kazał ją zawiesić na skałę sterczącą pośród Dunaju.

Przybywszy na oznaczone miejsce na najwyższym szczycie skały, z kądem zamek Erdöda widać było, kazał nieszczęśliwą Disdeidę do skały przykuć, skazując ją na śmierć głodową. Oddalając się ze skały aga wskazał na zamek Erdöda i straszliwym zawołał głosem:

— Babakai (żałuj).

Erdöd w chwil parę później, dowiedziawszy się o porwaniu Disdeidy i zgromadziwszy swoich poddanych, tudzież liczny zastęp służby, ruszył niezwłocznie ku Golubaczowi.

Przybywszy nad brzeg Dunaju, ujrzał nieszczę-

śliwą przykutą do skały; niebawem uwolnił ją z więzów, pod opieką kilku sług wiernych do zamku swego odwieść kazał; a sam z resztą ludzi uderzył na zamek agi, i nim wschodzące słońce okolice oświetlać zaczęło, Golubacz był już w rękach Janosa, który agę na skałę śród Dunaju przykuć kazał, rzekłszy doń:

— Babakai!

Odtąd skała ta nosi powyższą nazwę.

Minąwszy Babakai, zbliżyliśmy się do słynnych progów na Dunaju. Góry nadbrzeżne a należące do łańcucha Karpat siódmiogrodzkich, coraz bardziej ku Dunajowi się zbliżały i nareszcie ujęły go w serdeczny uścisk, z którego z ogromną gwałtownością wyrwać się usiłuje. Położenie tu malownicze. Na brzegu serbskim rozsiadła się wioska Bernicza; naprzeciw zaś, na brzegu Pogranicza wojskowego, Lupkova, Berzazka i Drenkowa, z której to ostatniej miejscowości, statkowi towarzyszy retman. Przy bardzo niskim stanie wody podróżni od Mołdawy aż do Turn Sewerin jadą ładem, dalej znowu zabięra ich statek; przy wysokim zaś stanie wody, statek z retmanem przebywa progi bez trudności.

Prześliczne są tu okolice i cała ta przestrzeń jest najpiękniejszą na całym Dunaju.

W przesmyku Kazan, Dunaj zwięża się do 87 sążni przy 168 stopach głębokości. Tu skały wznoszą się do wysokości 2 do 3000 stóp; tu kończyła się dawniej droga prowadząca wzdłuż lewego brzegu rzeki. Od roku 1835 ciągnie się teraz znakomita droga, tak

zwana Klissura, zbudowana pod kierunkiem hr. Stefana Szechenyi i inżyniera Väsarhely.

Naprzeciw Ogrodiny w ścianie dolomitowej pomieszczoną jest sławna tablica Trajana. Tablica napisem swoim upamiętnia, że w roku 101 po narodzeniu Chrystusa, Trajan zbudował i otworzył tu drogę. Oprócz tej tablicy dalej cośkolwiek są jeszcze trzy inne, w pobliżu Poljetina na serbskim brzegu, sławiące Tyberjusza.

Przybywszy do Orsowy (Orsova, stara Orszowa) zatrzymałem się w hotelu „Pod krzyżem“ i przez dwa dni pograniczne to miasteczko zwiędzałem, przyczem nadmienić muszę, że, gdyby nie towarzystwo garnizonujących kolegów, w parę godzin po przyjeździe byłbym ztąd uciekł. Statkiem idącym od Warny dostałem się następnie pod wodę do Baziasu, zkad nie zatrzymując się już nigdzie, zdążyłem do Komorna.

Ponieważ do końca udzielonego mi urlopu brakowało jeszcze czternaście dni; przeto, zatrzymawszy się tylko parę godzin w Komornie wraz z panem Almasy podążyliśmy na Špiž, do Szmeksu.

Część północno-zachodnią Špižu obsiedli w XII i XIII wieku przybyli Niemcy, którzy, rozrodziwszy się stanowią przeważną liczbę ludności i odznaczają się staranną uprawą roli. Miasta i miasteczka špijskie prawie wszystkie składają się z jednej szerokiej i długiej ulicy, głównej części miasta; do ulicy tej zbiegają się jedna lub kilka poprzecznych. Ulica główna bywa zwykle tak szeroka, że na środku stoją wygodnie wielkie gmachy, pospolicie dwa kościoły:

katolicki i luterski, i niektóre większe domostwa, i tym sposobem z szerokiej ulicy powstają niekiedy jeszcze dwie niezbyt wąskie, ciągnące się klinem w środku miasta, jak to widzimy w Lewoczy i N. Wsi.

Domy miast śpiskich ku ulicy są zwrócone szczytami, i mają pospolicie po trzy okna; z nad bramy zaś wystaje długa drewniana rynna. Dzięki szerokości ulic podczas deszczu niema obawy zmoczenia pod temi kaskadami, spadającymi w pewnych odstępach wzdłuż całej ulicy.

Zwiędziwszy przelotnie Kesmark, słynne miasto w dziejach naszych, Rox czyli jak Słowacy zowią Rakusy i w pobliżu wznoszącą się skałę z czerwonego piaskowca Stösschen; podążyliśmy do Szmeksu, miejscowości kąpielowej, najwięcej w północnych Węgrzech odwiedzanej.

Szmeks leży o 3,064 stóp nad powierzchnią morza, i dla tego powietrze jest tu nadzwyczaj lekkie. W kąpielowym tym zakładzie niema gmachów wspinających, lecz te co są, są skromne i bardzo wygodne. Dwa długie drewniane pawilony równoległe, wzniesione na początku bieżącego wieku, w samym końcu łączą się prawie z łazienkami opartymi o bok góry.

Główny pawilon wznosi się nad samą szczawą, i tu jest mieszkanie gospodarza i sala zabaw.

Budynek ten na zewnątrz jest przyozdobiony na sposób szwajcarski. Za drugim pawilonem stoi kilka mniejszych domków i stajnie. W pobliżu łazienek stoi długi budynek o piętrze, z wygodnemi i miłemi pokoikami dla gości. Z domu tego Śpiż przed-

stawia się w całej swój świetności. Goście tu przebywający zdają się należeć do jednej wielkiej rodziny.

Najliczniej kąpiele te są odwiedzane przez ciąg lipca, sierpnia i część września.

U stóp Tatrów, o cwierć mili niżej od Szmeksu, osadziły się potężne pokłady pewnego gatunku białej glinki, z której przy kopalni Johannisstollen na Śpiżu wyrabiają fajans średniej wartości.

Prócz szczawy, wytryskują tu liczne źródła słodkiej wody; dla tego też są tu urządzone tak zwane prysznice. Leczenie się wodą, co około roku 1840 należało do mody, stało się przyczyną, że założono tu bardzo dalekie chodniki, prowadzące do doliny, „*Wielki Kohlbach*“, i uczyniły to miejsce najdogodniejszym dla zwiedzania szczytu Łomnicy.

W miejscowości tej, pełnej malowniczego położenia i widoków na cały Śpiż, niema nic wspanialszego i okropniejszego od burzy. Dészcze tu padające są zwykle rzęsiście i grubsze niż na równinach; uderzenia zaś piorunów są tak mocne, że się skały rozsypują. W czasie méj bytności w Szmeksie wybuchła taka burza i napełniła mnie grozą; było to w nocy, błyskawice bezustannie prawie, fanstatycznie oświetlały okolicę, a uderzenia piorunów tysiąc-krotne echo powtarzało.

Grunta Szmeksu i lasy aż do grzbietu gór tatrzańskich należały do hrabiów Csaki (Czaki), których przodek w X wieku przybył do Węgier z Arpadem. W r. 1848 sejm węgierski zniósł lenne prawo nieru-

chomości, i Rajner kąpiele szmekskie nabył od hrabiego Csaki.

Opuściwszy Szmeks, gdzieśmy dwa dni bawili, poszliśmy pieszo ku Łomnicy, z zamiarem dotarcia jak najwyżej; lecz ze względu na śniegi pokrywające grubą warstwą wszystkie ścieżki i drogi, w pół drogi musieliśmy się zwrócić i zwiędziwszy tylko dolinę Kolbachu oraz czterech jezior, rozpoczęliśmy odwrot przez dolinę Völkerthal, Völker-See, zkąd następnie przez Lewoczę, Pohorelę, Rima-Szömbath, Losoncz, Gyarmath i Parkany nad Dunajem powróciliśmy do Komorna.

Tu zastałem od mego pułkownika list, w którym zawiadamiał mnie, że udaje się do ojca mego na wieś na parę tygodni, i że udzielił mi także urlopu na ten sam przeciąg czasu, żądając abym natychmiast przybył do Krakowa, zkąd razem na wieś mieliśmy się udać. List ten wraz z odpowiednim certyfikatem urlopowym otrzymałem z rąk naszego komendanta batalionu i nazajutrz przez Wiedeń ruszyłem do Krakowa, wstępując po drodze, na parę godzin tylko, do mogo dobrego znajomego i przyjaciela Teodora Gajdzica, mieszkającego podówczas w Tenczynku pod Krzeszowicami.

Z rozcziwym Teodorem zwiędziwszy niedawno w Tenczynku otworzony browar i nowo wznoszący się pałac hrabiego Adama Potockiego na wyżynie dominującej nad Krzeszowicami, ruszyliśmy drogą wiodącą po pod Zwierzyniec do ruin zamku tenczyńskiego. Malownicze te ruiny, położone na szczycie wysokiej

góry, wśród pięknego lasu, korzystając z bytności w tym miejscu przeniósłem na papier. Tenczyn, niegdyś siedziba Tenczyńskich, dziś własność Potockich, przedstawia się wspaniale a z ruin tych roztwiera się przewspaniały widok na Krzeszowice z jednej, a sięgające w dali Karpaty z drugiej strony.

Nowo wznoszący się pałac leży na wysokości góry, tuż pod samymi Krzeszowicami. Wróciwszy z Tenczynka i oczekując na pociąg wieczorny, zwiędziłem i ten pałac. Jeśli się nie mylę staje on wedle planów p. Lanciego z Warszawy, jest już na wykończeniu. Wzniesiony w stylu kosmopolitycznym, zakrawającym na styl szwajcarski, z dwu basztami czy też wieżycami, które jak kominy przy narożnikach pałacu sterczały. Nie wiem jak dziś pałac ten wygląda, lecz w onczas słusznie przez estetyków krakowskich nazwany był: „*Krzeszowicką szopką*“. Nie dziwiłem się też temu, że zmarły hrabia Adam z pałacu tego był wielce nie kontent i co chwila w wewnętrznym urzędzeniu zmiany robić kazał. Pokoje małe, sala jadalna szczuplutka, też samo i sala balowa; biblioteka bardzo mała i tym mniejsza, że całe jej wnętrze zajęły z Gdańska sprowadzone bardzo piękne schody króla Jana III-go. Krótko mówiąc cały pałac, tak wewnątrz jak i zewnątrz, bardzo mi się nie podobał; za to kościół w Krzeszowicach miłe zrobił na mnie wrażenie, a mianowicie podobał mi się tam piękny obraz w wielkim ołtarzu, pędzla Kuppelweysera.

Wieczorem stanąłem w Krakowie i przenocowałem, nazajutrz w południe, wraz z pułkownikiem i kapitanem Kohut'em (Morawianinem), puściliśmy się w drogę do Jarosławia, gdzie na nas konie ojca mojego czekały.

Pobytu na wsi u ojca opisywać nie będę; nadmienię tylko, że już późną zimą powróciliśmy do Krakowa, z kąd, nie zatrzymując się, podążyłem znowu do Komorna.

VIII.

Krwawemi i płomiennemi literami rok następny 1859 zapisany był w dziejach monarchii austriackiej. Już z końcem lutego na horyzoncie politycznym zaczęły się gromadzić groźne chmury, zwiastując, że w niedalekim czasie ukończy się nasza bezczynność i że powołani będziemy na południe do działania.

Jakoż w pierwszych dniach marca, cesarskim rozkazem dziennym armia cała postawiona została na stopie wojennej. Batalion nasz dostał ogromną ilość rekrutów do nauki, którą oficerowie w zupełności w ciągu dni czternastu ukończyć mieli. Po tak długiej bezczynności, nagle ogromny ruch zapanował w twierdzy i od czwartej rano do dziesiątej, a po południu od drugiej do szóstej na placu musztry uwiązaliśmy się z rekrutami. Generał Dobrzański, pułkownicy, majorowie: wszystko to zajęte było pracą niesłychanie wyczerpnąją siły. Ustały też odwieziny, śniadania, wycieczki i t. d.

Po upływie dni czternastu przybył do Komorna na inspekcją organizujących się batalionów arcyksięża Albrecht a po odbytej inspekcji, paru manewrach, tak pojedynczych oddziałów jako też całego garnizonu, który wyruszyć miał niebawem do Włoch, ogłoszona została lista awansów w korpusie oficerskim.

Pocziwy nasz generał Dobrzański przeniesiony został na komendanta kawaleryjskiej brygady, a my t. j. czwarty batalion pułku arcyksięcia Wilhelma przyłączeni zostaliśmy do brygady generał-majora barona Reichlin-Meldegg.

W dni parę później, a było to w pierwszych dniach kwietnia, pospiesznym pociągami kolei żelaznej, wśród straszliwej burzy, ruszyliśmy na Wiedeń, Pragę czeską, do pogranicznej twierdzy czeskiej Teresienstadt, gdzie ostatecznie mieliśmy się przygotować do dalszego pochodu na południe.

Tu dopiero rozpoczęła się szalona praca; od świtu do późnej nocy spędzaliśmy dni całe na mustrze, strzelaniu do celu, manewrach, męczeni nadto przez generała Reichlina, który, pochodząc jeszcze ze starej szkoły, był niesłychanie surowym pedantem i wnet w całym naszym korpusie pozyskał miano „*patentowanego Wau-wau!*“ W skróceniu nazywaliśmy go: „*Wauwaukiem*“.

W jedną tylko niedzielę mieliśmy cośkolwiek odpoczynku i korzystając z tego robiliśmy wycieczki w okolice, a mianowicie do pobliskich Litomierzyc, położonych nad Elbą. Tam zachwycaliśmy się prześliczną budową ratusza, pochodzącego z XVI wieku,

wspaniałą katedrą, oraz innemi budynkami, jak niemięniej nadzwyczaj piękném i malowniczym położeniem. W czasie naszego pobytu w Teresienstadt, amatorowie litomierzyccy dali kilka teatralnych przedstawień na korzyść miejscowych ubogich; jakoteż w tymże czasie przybył tam i cyrk konnych jeźdźców, zdaje mi się że Blennowa; pojąć więc można, że zarówno w teatrze jak w cyrku wszędzie było nas pełno. Pomimo tego, panowały tu straszliwe nudy i prosiliśmy Boga, ażeby jak najprędzej uwolnił nas z téj niewoli egipskiej, co też z wielką naszą radością niebawem nastąpiło.

Dążąc do Teresienstadtu, po dwudniowym pobycie w Pradze, przeszliśmy jedną z piękniejszych części krainy czeskiej.

W czasie pobytu w Pradze, rozkwaterowani byliśmy po przedmieściach stolicy Czech, a ja z kompanią w której pełniłem służbę i z moim kapitanem Fritschem, który roku 1853 jako podporucznik, przy wstąpieniu mojem do wojska, był jednym z egzaminatorów (wstępujący bowiem dobrowolnie, tak jak ja, na kadeta, musieli piérw składać egzamin z języka niemieckiego, arytmetyki z działaniami ułamkowemi, geografii ogólnej i państwa austriackiego w szczególności, historii powszechnéj a w szczególności historii Austrii, z rysunków graficznych i jednego z nowożytnych języków) zakwaterowani byliśmy w Troi, wiosce położonej tuż pod Pragę a należącej do księcia Lobkowitza.

Kwaterowaliśmy w pałacu książęcym. Pałac

ten, podobny do piętarowej kamieniczki przedmiejskiej, o tyle tylko zasługiwał na miano pałacu, że nad głównym wejściem do wnętrza pomieszczone były w kamieniu wykute herby księcia Lobkowitza. Urządzenie pałacu, bardzo skromne, odznaczało się starożytnością swoją i cennym zbiorem portretów rodzinnych.

W pochodzie do Teresienstadt, na jednym z noclegów pod górą św. Marcina, we wsi której nazwa uleciała mi z pamięci, dostałem kwaterę u nauczyciela wiejskiego, człowieka już niemłodego, żonatego i niemającego dzieci. Tam to od owego pana „profesora“ dowiedziałem się, że św. Marcin, gdy jeszcze przebywał między żyjącymi i podróżował po świecie, w czasie jednej z takich podróży zawitał do Czech i przybył do téj wioski; prześladowany zaś przez pogan, umknął na białym koniu na górę tuż przy wiosce się znajdującą z której, nie mogąc ujsć pogoni, przy pomocy Boga, do którego gorąco westchnął, wraz z koniem wysoko ponad obłoki się wzniósł i tak uszedł przed poganami. Jak twierdził pan profesor, do dziś jeszcze widać na twardej skale ślady kopyt końskich, w miejscu, w którym cud się wydarzył.

Dnia następnego zatrzymaliśmy się na dwudniowy odpoczynek w Cieplicach (Teplitz). Kompanie batalionu naszego rozkwaterowane były w Schoenau, wiosce stanowiącej niejako przedmieście Cieplic.

Wioska ta przesłicznie jest położona, a moja kwatera znajdowała się u wójta. Za nadejściem wieczoru pan wójt zaprosił mnie do swego mieszkania.

gdzie z niemalym podziwem ujrzałem przesliczny fortepian z fabryki wiedeńskiej Streichera.

Niebawem do obszernej izby gościnnej, stanowiącej tu salon, przybyli: nauczyciel szkółki miejscowej, organista i nawet sam fararz (proboszcz). Za przybyciem tych panów pogadanka się ożywiła, a wnet i pan wójt zaproponował zabawić gości muzyką. Jakoż do izby weszła starsza jego córka, którą przed chwilą widziałem dojącą krowy, i rozłożywszy na fortepianie nuty, zasiadła, gotowa do rozpoczęcia popisu. Nauczyciel, organista i wójt ujęli za skrzypce i wiolonczelę i na dany znak rozpoczęli wykonywać bardzo poprawnie jeden z kwartetów Beethovena, po którym odegrali trio Mozarta, kwartet symfoniczny Haydna i Capriccio Mendelssohna. Pojąć łatwo można, jak byłem tém zdziwiony i zachwycony!

Po muzyce zbiorowej, panna wójcianka, tęga dziewczucha, licząca około lat 20, odegrała wcale poprawnie parę pieśni bez słów Mendelssohna i znaną a tak trudną sonatę „appassionata“ Beethovena. Wieczór ten zakończyła kolacya, składająca się z wyśmienitej na gorąco podanej wieprzowiny, z melnickim chrzanem, i doskonałego piwa miejscowej produkcji.

Nazajutrz zwiędziłem Cieplice, ogród publiczny, kościół bardzo pięknej konstrukcyi, a wieczór w towarzystwie kolegów spędziliśmy na strzelnicy miejskiej, położonej na tak zwanym Hirschbergu.

We trzy dni po otrzymaniu rozkazu wymarszu z Teresienstadt, ruszyliśmy koleją żelazną ku Saksonii. Do Drezna pociąg nasz przybył rano; korzysta-

jąc z tego i uzyskawszy parugodzinny urlop pogoniłem na miasto i zwiędziłem z całym pośpiechem kościół zamkowy, słynną Brühlsche Terasse; na chwil parę tylko wpadłem do galeryi obrazów, celem zobaczenia słynnej Madonny Sykstyńskiej Rafaela. Lecz szczerze przyznać muszę, mimo że narażam się może na wyszydzenie, że obraz ten najmniejszego na mnie wrażenia nie zrobił; co więcej powiem, że nawet doznałem pewnego rodzaju rozczarowania. Gorąco pragnąłem wywołać w sobie zachwyt, chciałem wmówić w siebie, że jestem oczarowany; jednak nic to nie pomogło i odszedłem niezadowolony i zły na siebie! Oczekiwałem czegoś więcej niż nawet sobie wyobrażałem a ujrzałem obraz, który wydał mi się pięknym, wspaniałym, ale nie takim, o jakim nieraz słyszałem i czytałem. Być może, że winną była ta okoliczność, iż za krótko mu się przyglądałem.

Pośpiesznym pociągiem, odchodzącym z Drezna, podążyłem za batalionem do Lipska, gdzie stanąłem w godzinę po przybyciu batalionu, który uroczystie przez władze miejscowe i mieszkańców był witany. Suta wieczera zastawiona była dla oficerów w salonach dworca, a dla żołnierzy pod namiotami na ten cel wzniesionymi.

Pobył nasz w Lipsku trwał pięć godzin (a było to w nocy); otóż, korzystając z tego, w gustownie zbudowanym kiosku, przy dźwiękach muzyki pułkowej, nasi oficerowie puścili się z saksonkami w tany, które byłyby się do dnia przeciągnęły, gdyby nie generał „Wau-Wau“, który dał rozkaz do dalszej podróży.

Śród hucznych wiwatów, zarzuceni kwiatami, obladowani cygarami, konfektami a nawet i kiełbaskami, ruszyliśmy w dalszą drogę ku Monachium, gdzie stanęliśmy rano około 7-mej godziny w uroczyscie przystrojonym dworcu. Tu adjutant króla bawarskiego powitał nas w imieniu Jego Królewskiej Mości, a burmistrz z radnymi w imieniu miasta, zapraszając zarazem na przekąskę. U wejścia do namiotu, gdzie zastawione było śniadanie dla oficerów, witały nas damy elegancko postrojone, doręczając każdemu oficerowi piękny bukietik i srebrny medalionik z Matką Boską na czarno-żółtej wstążeczce.

We dwie godziny później pędziliśmy ku bawarskiej stacyi nadgranicznej w Rosenheim, gdzie zmieniono wagony i znowu pociągiem austriackim około godziny 6-tej po południu stanęliśmy w Innspruku, stolicy Tyrolu austriackiego.

Tłumy ludności witały nas i tutaj na dworcu. Nazajutrz rano około 8-mej śród deszczu ruszyliśmy piechotą ku południowi. W przejściu naszym przez miasto, zgromadzona publiczność, żegnając nas serdecznie, życzyła szczęśliwego powrotu do kraju rodzinnego i obdarzała tak oficerów jak i szeregowców cygarami, różnemi upominkami, jak medaliki, krzyżyki i relikwiarze, a nawet i pieniędzmi. Gdym przechodził między zgromadzonymi tłumami, zbliżyła się do mnie nienłoda już Tyrolka, widocznie należąca do niższej warstwy ludności, która z całą prostotą, nacechowaną serdecznością, podała mi małe pudelko,

szczelnie obwiązane i opieczętowane, mówiąc dialektem tyrolskim:

— Weź to, proszę cię bardzo o to! wiem żeś oficer i téj ofiary nie potrzebujesz, ale ona ci przyniesie szczęście, bo to z Maria-Zell!

Naturalnie, że ofiarowanego mi przedmiotu nie odrzuciłem i przyjąłem z serdeczną podzięką. Wyszedłszy za miasto, pudełko otworzyłem i z niemałym podziwem znalazłem starannie w bawełnę opakowane trzy srebrne cwancygiery z Matką Boską. Pocziwa kobięcina, pełna religijnego uczucia, oddała mi skrzętnie przez lat wiele może przechowywaną a z ciężkiej pracy uzbieraną oszczędność, którą poświęciła w Maria-Zell, w nadziei, że przyczyni się tém do uproszenia błogosławieństwa dla wojska naszego!

Następnego dnia, wyruszywszy równo ze świtem ze stacyi, około południa zbliżyliśmy się do szczytu słynnego Brennera. Przez szczyt téj góry prowadzi szosa, przy której w bardzo malowniczym położeniu wznosiła się kaplica, otoczona niewielkim starożytnym cmentarzem, obszerna austerya i kilka domków rozrzuconych po górach. Byłato wioska Brenner, znajdująca się na najwyższym punkcie góry. Tak wioska cała, jako téż i okoliczne skały, pokryte były grubą warstwą śniegu; gdy tymczasem na dole jak najśliczniejsza wiosenna zieleń pokrywała ziemię.

Spuściwszy się z wyżyn Brenneru na dolinę śród zachwycającej okolicy, ponad prawym brzegiem Adygi, wąskiego ale rwącego w tych miejscach strumienia, podążaliśmy ku południowi, popod wysokie

ściany skał, na szczytach których tu i owdzie malowniczo rozsiadły się chaty, z kamienia i drzewa zbudowane.

Minąwszy nadzwyczaj malowniczo położoną Franzensfeste, Botzen (Bolzano), śliczne ruiny zamków Reichenstein i Silberstein, zdążyliśmy trzeciego dnia do Trydentu (Trento), słynnego z powodu koncylium jakie się tu odbyło. Ja dostałem się na kwaterę dwudniową do d-ra Platnera, słynnego później agitatora włoskiego. W domu tym nadzwyczaj uprzejmie byłem przyjęty, co może zawdzięczam téj okoliczności, że przybywszy na kwaterę, przedstawiłem się żonie doktora jako Polak. Korzystając z dwudniowego pobytu w tém mieście, zwiędziłem slymą katedrę i jeszcze jakiś kościół położony za miastem, a otoczony cmentarzem, gdzie znalazłem dwa pomniki wznoszące się nad grobami zmarłych Polaków, nazwisk których niestety zapomniałem.

Z Trydentu już pociągiem kolei żelaznej podążyliśmy do Roveretto, z kąd dnia następnego marszem śpiesznym pójść mieliśmy na prawy brzeg jeziora Garda.

Roveretto, w śliczném położeniu nad Adygą, jest dosyć ludném miasteczkiem, które nosi na sobie jak najwybitniejszą cechę miast włoskich. Śliczne wznoszą się tu budowle, jak kościół Matki Boskiej Zwycięstwa, dalej piękny pałac hrabiów Ferrari, bardzo piękny pod względem struktury kościół kapucynów wraz z klasztorem pochodzącym z połowy XVI wieku, i nadzwyczaj malowniczo, tuż nad miastem wysoko

na skale zbudowany starożytny kastel. Z chwilą przybycia naszego do Roveretto, komendant batalionu major Obauer otrzymał rozkaz w drodze telegraficznej, aby tegóż samego dnia jeszcze wyruszyć do Mori i tam oczekiwać dalszego polecenia.

W parę godzin później, spędziwszy czas wolny na obejrzeniu miasta i przy stole w refektarzu O. O. Kapucynów, którzy nas gościnnie traktowali sałatą, smażonemi rybami, owocami i sérem, jakoteż wcale dobrém winem krajowém, około 4-éj po południu ruszyliśmy w dalszy pochód do Mori, miasteczka położonego śród gór, na drodze prowadzącej w dolinę di Verde, i do Riva, miejscowości położonej nad jeziorém Garda. Dobrze już o zmroku przybyliśmy do Mori, gdzie niezwłocznie nas rozkwaterowano. Ja dostałem się na kwaterę do willi jakiegoś adwokata z Roveretto, który tu przez ciąg lata mieszkał. Zajmowałem narożny pokój na pierwszym piętrze, z którego drzwi szklane prowadziły na taras, łączący dwa skrzydła pięknie i gustownie urządzonej willi. Oprócz właściciela téj willi, służącej, młodej i ładnej Włoszki, mnie i mego służącego, nikt tu więcej nie mieszkał. Parę razy chciałem się widzieć z panem adwokatem, lecz widocznie nie chciał się ze mną spotkać, bo nigdy w domu go nie było; pozbawiony więc wszelkiego towarzystwa, spędzałem dnie całe poza domem w bliskiej „Cafeteria“ lub téż na służbie. Koledzy moi, również jak i ja, nudzili się straszliwie i jedyną rozrywką naszą były pogawędki przy wspólnym obiedzie, który się odbywał w kwaterze majora.

Po szóstodniowym blisko pobycie w tej miejscinie, otrzymaliśmy nareszcie rozkaz natychmiasowego posunięcia się naprzód do Storo i połączenia się z brygadą generał-majora Coronini, chociaż czasowo tylko.

Mori liczy nie więcej nad 600-800 mieszkańców, leży wśród wysoko piętrzących się gór, które je wiankiem okalają. Ludność miejscowa przeważnie trudni się hodowlą jedwabników, pszczół i wyrobem bardzo dobrych sérów. Nadto są tu dwie przędzalnie jedwabiu i parę blicharni wosku. Do fabryk tych a mianowicie do przędzalni uczęszcza ogromna ilość dziewcząt; jest ich tam taka mnogość, że dziwiłoby się można, z kąd się biorą. A wszystkie były ładne, o czarnych iskrzących oczach, takich samych lśniących włosach i figlarnym uśmiezku, igrającym na koralowych usteczkach. Mimo że dziewczęta te zgrabne i zręczne, w malowniczy strój odziane, posiadają znaczną dozę zalotności i mimo że umiały za nami strzelać oczkami, a nawet i figlarnie przesyłać całusy, to jednak żadna z nich nawet mówić z nami nie chciała.

Przyznać też trzeba, że w tej części włoskiego Tyrolu kwitnie moralność; tam żadna z dziewcząt płochego romansu nie rozpocznie, a jeźliby tak było, co nadzwyczaj rzadko się trafia, wtedy z gminy zostaje wydalona, bez względu na stanowisko, jakieby jej rodzice zajmowali; chyba że ten, który romans z nią prowadził, ożenić się przyrzekł i swego przyrzeczenia dotrzymał. W kościele parafialnym w Mori, po raz

pierwszy zauważyłem zwyczaj istniejący tu, który bardzo mi się podobał.

Kazalnica wznosząca się na boku głównej nawy rozdziela takową na dwie równe połowy; otóż od kazalnicy do przeciwległej ściany przeciągnięty był drut, na którym zawieszoną była rozsuwająca się kotara.

W pierwszej połowie nawy, bliżej presbiterium, zgromadzali się mężczyźni, w drugiej zaś same kobiety. W czasie kazania, służba kościelna zasuwiała kotarę i tym sposobem ruchomą ścianą rozdzielała obie płci, uniemożliwiając wszelkie nieprzyzwoite w kościele rozglądania się. Po nabożeństwie z kościoła wydalaly się najprzód kobiety, potem dopiero mężczyźni, a tak jedni jak drudzy dom Boży opuszczali parami.

Miejscowy pleban, Włoch rodem, człowiek światły, który studia kończył w Innspruku i w skutek tego mówił bardzo dobrze po niemiecku, zapewnił mnie, że od lat trzydziestu, jak jest proboszczem w Mori, nie było ani jednego wypadku nieprawych urodzin, jako też jakiegokolwiek innego występku przeciw moralności. Chlubne to świadectwo dla mieszkańców tej miejscowości.

Już to w ogóle wyznać muszę szczerze, że wszędzie gdzie tylko byłem, po wsiach i małych miasteczkach we Włoszech, moralność była bardzo surowo przestrzegana; wprawdzie pojęcie moralności jest cokolwiek odmienne od naszego, lecz niewiele odmienne, stosowane do miejscowości i obyczaju. I tak w Tyrolu północnym żadne małżeństwo nie zostaje inaczej

zawarte jak dopiero po roku próby, w czasie którego to przeciągu czasu, narzeczeni jak małżonkowie z sobą żyją, poznając wzajemnie swe skłonności i usposobienia. Jeżeli pobrać się mająca para, po takim roku próby, uzna, że ich małżeństwo pociągnąć za sobą może następstwa bardzo przykre, wtedy rozchodzą się bez najmniejszej pretensyi, i była narzeczona z całą łatwością znajduje innego kandydata do stanu małżeńskiego. Jeżeli zaś w skutek próbnego pożycia, okażą się już jakie jego skutki, to chociażby narzeczony od powziętego zamiaru chciał odstąpić, musi połączyć się węzłem małżeńskim z tą, z którą „na próbę“ żył przez rok.

Postępowanie takie, jako zwyczajowe, wcale za niemoralne uważane tam nie jest; témbardziej, że małżeństwa zawarte w Tyrolu odznaczają się przykła-dnym pozyciem.

Ten sam niemal zwyczaj panuje i między ludnością południowego Tyrolu, z tą tylko różnicą, że narzeczeni nie żyją z sobą przez rok cały w jaknajściślejszych stosunkach, tylko odbywają ten rok próby „à distance“, to jest, że wolno im widywać się z sobą w obecności starszych, rodziców, braci lub krewnych. Ten sposób wypróbowywania się wzajemnego o wiele jest moralniejszy i przekonywa, że Włosi, pomimo swęj krewkości, zupełnie inne od niemieckich Tyrolów mają pojęcie moralności.

W miastach wielkich rzecz ma się zupełnie inaczej. Tam niemoralność w najwyższych sferach posunięta jest do ostatnich granic. W niższej warstwie

społeczeństwa, która większe miasta zamieszkuje, a która idzie w ślady możnych panów, dzieje się także nie lepiej. Dodać tu tylko winienem tę uwagę, że tak w wyższych sferach, jako też i w warstwach niższych społeczeństwa, surowo się przestrzega moralności młodzieży, i panna, któraby miała kochanka, uważa się za shańbioną; z taką żaden ani ducca (księżę), ani szewc, nawet jój własny kochanek, nie ożeniłby się. Mężatce wolno mieć kochanków lecz pannie nigdy!

Włochy, jako siedziba nauk i sztuki, a głównie też ostatniej, trzeba kochać i tęsknić za nimi; ale mieszkańców jój, należących do wyższej warstwy społeczeństwa, których miałem, sposobność poznać dokładnie, owych plugawych mieszkańców ojczyzny Petrarki, Danta i Silvio Pelica, muszę nienawidzić i brzydzić się nimi.

Pomimo to, niegodniebym postąpił, gdybym nie przyznał Włochom pewnych zalet. A są między nimi i bardzo cenne! bo miłość i przywiązanie do kraju, tudzież do wysokiego stopnia posunięta „względna“ gościnność. Proste odezwanie się; „*Jo sono Polacco*“ było dostateczne, aby drzwi wszystkich salonów były otwarte przedemną, i wtedy nie zwracano już uwagi na mundur jaki się nosiło. „*Un Polacco*“ było niejako pasportem, za pośrednictwem którego miało się wszędzie przystęp wolny i wszędzie mile było się widzianym.

Nie tak jednak było z tymi, którzy tym paszportem poszczycić się nie mogli. Co do mnie, miałem

kilkakrotnie namacalne dowody, ile ów paszport zrobić może. Gdy po skończonej kampanii, w skutek życia nieregularnego i nadzwyczajnych a często powtarzających się przygód, oraz w skutek różnorodnych innych cierpień, zaniemogłem ciężko i ległem tyfoidalną chorobą złożony w szpitalu w Roveretto, równocześnie z jednym z moich kolegów; wówczas przekonałem się o tém co znaczy ów paszport. Znajomi i nieznajomi Włosi, panowie i włościanie, odwiedzali mnie, a nie dosyć na tém, każdy starał się czémś moje cierpienia umniejszyć; ten przynosił cały kosz pomarańcz, ów różne soki i kompoty, tamten świeże owoce, a poczciwi proboszcze z Tiarno di Sotto i Besenello przywieźli kosz znakomitego wina i kosz najwyborniejszych fig! Tymczasem kolegę mego, „*un Tedesco*“, przez cały ciąg choroby jego literalnie nikt nie odwiedził! A dlaczego? Oto z téj prostéj przyczyny, że to był; „*un maledetto Tedesco!*“

Zaliczyć tu muszę również do zalet, jakimi się Włosi odznaczają, tę, że umieją być szczerými przyjaciółmi dla tego, kto zdołał sobie ich przyjaźń pozyskać.

Przybywszy do Tiarno di Sotto, pomieszczony zostałem w willi hrabiego Ferrari, który należał do stronnictwa patryotycznego, był wrogiem Austrii a więc i całej armii. Czułem się w obowiązku gospodarzowi domu niezwłocznie złożyć wizytę. Jakoż w pół godziny po zajęciu kwatery, w pełnej galowéj formie, tylko bez oznak służbowych, to jest szarfy,

złożyłem wizytę hrabiemu i jego niemłodej już małżonce, oraz młodszemu bratu hrabiego. Czynem tym pozyskałem sobie nadzwyczajne względy hrabiostwa, tak dalece, że stawszy się ich codziennym gościem, przez ciąg mego pobytu w Tiarno di Sotto uważany byłem przez wszystkich nie jako obcy.... ale jako jeden z domowników, jako przyjaciel domu. Nadto po opuszczeniu tej miejscowości, gdy hrabia Ferrari starszy dowiedział się, że leżę chory w Roveretto, nie mogąc być osobiście ze względu na podagrę, która go straszliwie męczyła, przysłał swego młodszego brata, aby mnie odwiedził i w razie potrzeby wszelką pomoc mi udzielił. Będąc już rekonwalescentem, otrzymałem urlop kilkumiesięczny do domu, przyczém zaordynował lekarz, który mnie leczył, dr. Spitz, ażebym, jadąc do kraju, w Wenecyi przynajmniej siédem morskich użył kąpieli. Lecz obliczywszy fundusze przekonałem się, że takowe nie wystarczą mi nietylko na 7 do 8-dniowy pobyt w Wenecyi ale nawet na odbycie tak odległej podróży. Napisałem więc do ojca mego z prośbą, aby mi przysłał potrzebny fundusz. Tymczasem nadjechał do Roveretto hr. Ferrari młodszy i dowiedziawszy się dlaczego z wyjazdem ociągam, z całą serdecznością i przyjaźnią zaproponował mi udzielenie pożyczki w sumie około 300 lirów, które miałem mu za przybyciem do domu odesłać.

Naturalnie, że propozycyi tej nie odmówiłem, a dawszy hrabiemu przekaz na odbiór pieniędzy, które mi ojciec miał nadesłać, ruszyłem niezwłocznie do do-

mu, dokąd wraz z moim byłym pułkownikiem Water-
vlietem przybywszy, udzieloną pożyczkę zacnemu hra-
biemu natychmiast odesłałem.

IX.

We dwie czy w trzy godziny po otrzymaniu rozkazu do wymarszu z Mori, już pod noc miasteczko to opuściliśmy, dążąc ponad Lago verde, przez Rivę, dolinę di Ledro, do Storo i forteczki przydrożnej w dolinie Ampola.

Marsz nocny z Mori do Torbole i Riva, miasteczka położonego na północnym brzegu jeziora Garda, był zaiste jednym z najpiękniejszych i najbardziej uroczych. Piękna, jasna noc majowa, opromieniona pełnym blaskiem księżyca, pozwalała nam zapomnieć na chwilę, że w niedalekim czasie spotkać się możemy z nieprzyjacielem i że niejeden z nas nie ujrzy więcej swój rodzinnej ziemi!

Ja z oddziałem przedniej straży szedłem na czelu kolumny, przesuwającej się popod wyniosłe skały, drogą ciągnącą się ponad ciemno-zieloną tonię jeziora di Verde. Droga prowadziła coraz wyżej i wyżej; na prawo i lewo piętrzyły się dziwnie poszarpane skały,

szliśmy w ich cieniu, a ponad nami zwiészało się pogodne, gwiazdami zasiane, ciemno-szafirowe niebios sklepienie. Naraz, u stóp ruin zamku Nago, wysoko na skale, jak gniazdo jaskólcze uczepionych, droga skręcała się w lewo ponad przepaścią, w głębi której rozciągała się słynna dolina Arco. Po za tą doliną w głębi wznosiły się olbrzymie skały i pasmo góryste zwane Ponale, u stóp którego rozsiadło się miasteczko Riva. Stanąwszy na zakręcie tej drogi i ujrawszy przed sobą w głębi, srebrnym blaskiem księżyca oświetlone Ponale, u stóp naszych rozciągającą się dolinę ze srebrzysto połyskującą rzeczułką Sarche, która wężykiem wijąc się, dążyła ku jezioru Garda, ujrawszy na lewo ku południu gładką zwierciadlaną powierzchnię błękitnego jeziora Garda, mimowolnie wstrzymaliśmy nasz pochód i w niemym pogrążyliśmy się zachwycie, który się odbił na twarzach wszystkich żołnierzy.

Około południa nazajutrz obsadziliśmy półkompanią forteczkę przydrożną w val d'Ampola, spuściliśmy się w dolinę Idro i zajęliśmy stanowisko wyznaczone między Storo a Rocca d'Anfo.

W miejscu tém dolina Idro, dosyć szeroka, ograniczona na południe i zachód niebotycznymi skałami, przetrzięta strumykiem, dążącym do jeziora Idro, zasiana jest winnicami.

Po odpoczynku kilkunastogodzinnym, następnego dnia, wiedząc, że lada chwila spotkać się możemy z jakim oddziałem Garibaldiego, który niekłamaną miał chęć wtargnięcia wgłąb Tyrolu, ruszyliśmy w szyku

bojowym ku Rocca d'Anfo, forteczce górskiej, położonej na pograniczu Lombardyi a zajętej nielicznym oddziałem wojsk austriackich. Batalion nasz, pozostający pod komendą majora Obanera, ruszył naprzód, poprzedzony łańcuchem tyralierów, których oba skrzydła opierały się o ściany skał ograniczających dolinę. Ja z moją półkompanią byłem na lewém skrzydle. Żołnierze, rozsypawszy się w tyralierkę, wolno i ostrożnie postępowali naprzód, przedzierając się pomiędzy krzewami winogrodu, tu i owdzie rosnącemi figami, pomarańczami i migdałami. Postępując za łańcuchem żołnierzy, niebawem wśród gąszczu straciłem ich z oczu, i szedłem już tylko w kierunku naprzód oznaczonym; w chwil kilka, a było to już około południa, na prawém skrzydle rozległy się pojedyncze wystrzały, wzmagające się z każdą chwilą.

Sygnal dany przez majora: „lewe skrzydło na prawo, marsz“, niezwłocznie był wykonany, a ja, chcąc się przekonać, czy żołnierze w tyralierce będący dosyć szybko się posuwają, żywo skoczyłem naprzód pomiędzy krzaki, dając zarazem świstawką sygnal do pośpiechu. Wspomniałem wyżej, że wśród gąszczu zarosli i winnych krzewów, tyralierów straciłem był z oczu.

Przedzierając się tak przez krzaki, naraz stanąłem na miejscu więcej otwartém; lecz z niemalém przerażeniem ujrzałem przed sobą, na jakie szesć kroków, bersagliera z oddziału Garibaldego, który, zobaczywszy mnie wychodzącego z pomiędzy krzaków, z najzimniejszą krwią wziął na cel. Na razie nie wiedzia-

łem co czynić: rzucić się na wroga, czy też cofnąć się? Różne myśli krzyżowały się we mnie, przed oczyma śmierć niechybna, — pragnąłem, ażeby ta męczarnia już raz się skończyła! Stałem jak wryty, nieruchomie, — bo i cóż miałem zrobić? Byłem prawie bezbronny, bo pałasz, który trzymałem w ręku, był zabawką wobec groźnie ku mnie skierowanej lufy karabina. Chwil tych kilka było dla mnie wiekiem.

Nagle bersaglier rozmyślił się widocznie, a nie chcąc zdradzać swój obecności wystrzałem, opuścił karabin i w jednej chwili wykonał pchnięcie bagnetem. Pałaszem trzymanym w ręce odbiłem pchnięcie, lecz równocześnie bersaglier skoczył i złożył się do strzału. W chwili téj tuż obok mego lewego ucha rozległ się wystrzał, i przeciwnik mój, ugodzony kulą w sam środek czoła, nie zdążywszy poczęstować mnie ołowianym karmelkiem, padł nieżywy.

Zbawcą moim był jeden z tyralierów, który idąc za głosem mojej świstawki na czas przybył, ażeby uratować mnie od niechybnej śmierci. Jak się później okazało, w pośpiechu przeszedłem linią tyralierów i szedłem przed łańcuchem, który, zasłonięty krzewami, za mną postępował.

Na całej linii padały strzały, które na raz umilkły. Nowa komenda: „gromadzić się“, powołała nas do batalionu posuwającego się drogą ku Rocca d'Anfo. Łańcuch bersagliarów szybko się cofał przed nami. Niebawem cały batalion nasz, w ściśnionej kolumnie, stanął na wyżynie, z kądem dobrze było widać miasteczko Anfo i brzeg jeziora Idro. U wejścia do miastecz-

ka spostrzegliśmy jedno działo ku nam skierowane. Batalion rozwinął się we front i niebawem miał ruszyć do ataku, gdy oto działo nieprzyjacielskie za-grzmiało, i kartacze posłane nam na powitanie posypały się gradem, uderzając o pochyłość skalistą wyżyny, na której staliśmy. Artyleryści włoscy wymierzili za nisko, i dla tego też nikt z całego batalionu nie zginął.

Niezwłocznie po tym wystrzale, który jak grom tysięcznym echem wśród gór się powtórzył, ruszyliśmy do ataku. Nieliczny oddział garibaldiowski, w pośpiechu i nieładzie cofnął się, my zaś zajęliśmy Anfo i nie będąc pewni z jakimi siłami nieprzyjacielskimi możemy mieć do czynienia, pozostaliśmy na pobojowisku.

Następnego dnia otrzymałem rozkaz połączenia się z pułkiem, co też w trzy dni później nastąpiło.

Po krwawej walce, która w dniu 20 maja 1859 r. niespodzianie przez awangardę armii austriackiej, postępującej ku Sardynii, pod Montebello stoczoną być miała, a rezultatem której było to, że feldmarszałek porucznik Stadion, przed przeważającymi siłami rekonensansu francuskiego, prowadzonego przez generała Forey, pośpiesznie cofać się musiał; w dniu 23 maja brygada generała majora Szabo, składająca się z dwóch pułków pieszych (arcyksięcia Wilhelma i hrabiego Jellaezicz), jednego batalionu strzelców tyrolskich, szwadronu kirasyerów i ułanów oraz baterii artyleryi polowej, wraz z kilku wozami ambulansowymi,

otrzymała rozkaz dopełnienia forsownego rekonesansu przez Palestro ku Abbiatte grasso.

Dnia następnego to jest, 24 maja o godzinie pierwszej po północy, brygada Szabo wyruszyła z obozu w kierunku oznaczonym i około godziny 4 rano stanęła pod Palestro, małą miejsciną, położoną na wyniosłości, panującej nad doliną Sesii. Od Palestro do brzegów Sesii, na przestrzeni blisko półmilionowej, ciągnęła się wysoka grobla, grzbietem której prowadziła szosa ku Abbiatte-grasso. Po obu bokach grobli rozciągały się pola ryżowe, w tej porze całe stojące pod wodą i tworzące bezdenne prawie bagnisko. Przez Sesię, na prawy jej brzeg prowadził most murowany, tak szeroki jak cała szosa a raczej grobla. Wzdłuż lewego brzegu rzeki, od mostu począwszy na prawo i lewo, ciągnęła się grobla nadrzeczna, czyli wał ochronny. Sama grobla szosowa, poczynając się w Palestro i zniżając stopniowo ku mostowi, była przeciętnie trzy do czterech sążni wysoka, a u grzbietu swego nie szersza nad półczwarta sążnia.

Tuż za rzeką, na prawym jej brzegu, przestrzeń cała wznosiła się łagodnie, tworząc pagórek falisty, zasłaniający sobą w zupełności widok na dalszą okolicę; a szosa prowadząca od Palestro pagórek ten przecinała w linii prostopadłej od rzeki.

Przybywszy do Palestro, niezwłocznie generał Szabo wysłał na zwiady szwadron kirasyerów z poleceniem, ażeby za mostem rozwinęli się w łańcuch i tak ku Abbiatte-grasso postępowali, a w razie napotkania nieprzyjaciela, ażeby, starając się poznać je-

go siły, utarczkę rozpoczęli. W ślad za kirasyerami ruszyli i strzelcy, którzy drugą linią tyralierską utworzyć mieli; reszta zaś brygady około wpół do piątej rano, w ściśnionych kolumnach, zajmujących całą szerokość szosy, w najgłębszej ciszy i porządku ruszyła z Palestro ku mostowi. Na czele kolumny postępował pułk arcyksięcia Wilhelma, tuż za nim bateria artylerji, dalej wozy ambulansowe, pułk hr. Jellaczicza i wreszcie szwadron ułanów. Zbliżywszy się do mostu, generał wstrzymał pochód całej kolumny. Pierwszy szereg pierwszej kompanii grenadierów pułku arcyksięcia Wilhelma, na dwadzieścia kroków był tylko od mostu oddalony; i tak stojąc w ściśnionej kolumnie, z bronią do nogi, oczekiwaliśmy chwili, w której dany będzie rozkaz do dalszego pochodu.

Armia francuzka, z którą tak niespodzianie w dniu 20 maja feldmarszałek porucznik Stadion spotkał się, już i w skutek tego znała kierunek w jakim nasza armia się udała; po odniesioném zwycięztwie ściagała nas bezustannie, staczając nawet dnia poprzedniego pod Robbio małą utarczkę, zwyciężką dla oręża swojego, Można więc było się spodziwać, że i teraz lada chwila spotkamy się, jeżeli nie z całą armią, to przynajmniej z jęj awangardą. Tymczasem generał Szabo z niewytłumaczonych dla nas powodów, w dalszym pochodzie brygadę wstrzymał, pomimo że pozycja, w jakiej znajdowaliśmy się, wcale nie była odpowiednią do przyjęcia bitwy, która lada chwila rozpocząć się mogła.

Dzień był pogodny, słońce świeciło jasno, a swiergot ptasząt brzmiał w powietrzu, przepełnioném balsamiczną wonią, płynącą z wyżyn, gdzie się rozsiadło Palestro, otoczone gajem oleandrów, cytryn, oliwek i cyprysów. Całą kolumnę brygady zalegało głucho milczenie, przerywane od czasu do czasu rżeniem koni i szczękiem potrącanego oręża. Żołnierze stojący w ściśnionych szeregach milczeli, spoglądając w stronę, w której znajdowali się za wzgórzem kirasyerzy i strzelcy. Milczenie to, pełne uroczystej grozy, wywierało na nas wszystkich dziwne i niewytłumaczone wrażenie i pomimo pogodnego wiosennego poranku, czuliśmy jakiś niepojęty smutek, jakąś przytłaczającą atmosferę. Oficerowie stojący w szeregach, wsparłszy się na szablach, pochmurnie spoglądali po swoich oddziałach, i każdy czuł, że lada chwila rozegrać się może dramat krwawy, — że stojąc na tej grobli, niejeden po raz ostatni spogląda na cudny świat Boży.

Słyszałem niejednokrotnie, jak w bojach osiwiali żołnierze, a za ich przykładem i młodziki, opowiadając o swoich czynach bohaterskich twierdzili, że bitwa na nich żadnego nie czyniła wrażenia! przeciwnie nawet, że sprawiała im pewną przyjemność. Otóż zapewnić mogę, że tak nie jest. Myśliwym i żołnierzom, jak niesie przysłowie, wolno pływać, wyrażając się grzecznie, bezkarnie; otóż ci panowie korzystają z tego przywileju; w zapale swoim tak jak niegdyś „Panie kochanku“ silą się na wymyślanie rzeczy niebyłych i być nie mogących. Co do mnie, wyznać muszę szcze-

rze, że przed każdą bitwą i chwilą jej rozpoczęcia, doznawałem uczucia nadzwyczaj przykrego, objawiającego się febrycznym drżeniem, które niczem powstrzymać się nie dawało; dreszcze te, trwające chwil parę, zamieniały się następnie w silną gorączkę, połączoną z niepokojem wewnętrznym, który z biegiem akcji i z rozwojem bitwy zmniejszał się. Początek każdej bitwy był dla mnie, jak to rzekłem, nadzwyczaj niemiły, i zawsze obawiałem się go więcej niż samej bitwy, niż tych świszczących i warczących kul i kartaczy, pośród których jak na placu musztry manewrować musieliśmy.

Kto był na morzu w czasie burzy lub też brał udział w jakiej bitwie i nie nauczył się tam modlić, ten chyba nie jest człowiekiem. Największy bezbożnik, ateusz, w czasie bitwy staje się pokornym wobec potęgi Boga, staje się nabożnisiem i klepie paciérze jak stara dewotka. Kiedy trwoga, to do Boga! Dlatego też śród głuchego milczenia, w całej brygadzie słychać było szept modlitwy, wymawianej z pokorą i nabożeństwem. Tu wąsaty sierżant, zawołany hulaka, mrucał półgłosem: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“; tam znów Węgier wzdychał, i bijąc się w piersi, wołał: „*Istenem! az istenem* i t. d.“ (Boże, o Boże, zmiłuj się nad duszą moją); owdzie pan porucznik, przed chwilą jeszcze w całym pułku za bezbożnika znany, szeptał dzwoniąc zębami: „*Vater unser*“; dalej pan kapitan półgłosem nucił pieśń nabożną: „*O sancta Maria gratiae plena*“ — owdzie zaś w bojach posiwiwały major odmawiał psalmy pokutne jak dziadek kościel-

ny. Wszystko to razem wywoływało wrażenie ogromne, pełne grozy uroczystej, potęgującej się z każdą chwilą, a dochodzącej najwyższego szczytu wtedy, gdy kapelani pułkowi w komży i stule, z krzyżem w rękę, stanąwszy na boku kolumny pułkowych, udzielali zgromadzonemu i do boju idącemu wojsku generalną absolucyą. Wtedy wszyscy bez różnicy wyznania i przekonań i zajmowanego stopnia, odkrywszy głowy, ze skruchą i przejęciem ukorzyli się przed Majestatem Boga.

Generał Szabo z adjutantami swymi i z oficerami generalnego sztabu, którego członków powszechnie w całej armii, ze względu na zielone pióropusze na kapeluszach „zielono-głowymi“ zwano, stał za artylerją na czele pułku hr. Jellaczicza, a obok niego znajdował się komendant tegoż pułku. Na lewym flanku kolumny pułku arcyksięcia Wilhelma, w okolicy gdzie był drugi batalion, stał nasz pułkownik von K., który dni parę temu objął dowództwo pułku po pułkowniku Karolu Verannemann von Waterfliet; ten bowiem, awansowany na generał-majora, objął komendę brygady, znajdującej się w tej chwili pod Medyolanem.

Adjutant generała Szabo, przejeżdżając wzdłuż kolumny, zachęcał nas energicznemi słowy do wytrwałości w boju, napominał, by walcząc odważnie, żołnierze stwierdzili tradycyą, odziedziczoną po ojcach. Nasz pułk składał się z Węgrów i znacznej ilości Polaków, którzy pozostali jeszcze w szeregach z czasów, w których pułk arc. Wilhelma był pułkiem galicyjskim. Oficerowie w przeważnej liczbie byli sami Polacy.

Tak staliśmy beczynnie do 5-éj rano, gdy naraz z ostatniém uderzeniem zegaru na wieży kościelnej w Palestro, na prawém skrzydle naszych tyralierów usłyszeliśmy kilka głuchych wystrzałów, które niebawem na całej linii rozlegać się poczęły. Generał-major Szabo wydał rozkaz gotowości; wzięto broń na ramię, adjutant z rotmistrzem generalnego sztabu E. wyjechał na przód kolumny i kłusem ruszył w kierunku tyralierów, którzy ciągle i bezprzestanny ogień karabinowy utrzymywali. Ogień ten nie trwał jednak dłużej nad minut dwadzieścia, gdy zaraz za wyżyną usłyszeliśmy głośnie „hurra“, -i w chwil kilka tak adjutant, rotmistrz E., jako téż i cały łańcuch tyralierów strzeleckiego batalionu, a tuż za nimi i kirasyerzy, w szalonym pędzie ku nam zbliżyć się poczęli. I ledwo mogliśmy zadać sobie pytanie, co jest powodem téj tak nagłej i pośpiesznej rejterady, gdy naraz, tuż przed nami na moście, zakotłowało się, strzelcy i kirasyerzy wpadli nań równocześnie.

Rozhukane konie tratowały pieszych strzelców, ścięśnionych w jedną masę i tłoczących się na most; kirasyerzy, przedarłszy się przez tę zaporę, z całym impetem wpadli na pierwszy batalion i złamali go. Powstało straszliwe zamieszanie, które tém groźniejsze było, że równocześnie z prawego i lewego boku artylerya francuzka poczęła nas prażyć kartaczami.

Wyżyna cała, leżąca przed nami na prawym brzegu Sesii, zaczerwieniła się; byli to francuzcy żuawi i włoscy bersaglierzy. Na moście toczyła się walka na białą broń z naszymi strzelcami, a my—stali-

śmy beczynnie, bo nawet i strzelać nie mogliśmy, mając przed sobą własnych żołnierzy. Ruszyliśmy wprawdzie naprzód z bagnetem w rękę, chcąc nieprzyjaciela wyprzeć z mostu, lecz kartacze i granaty w szeregach naszych siały straszliwe zniszczenie.

Żuawi, którzy stali na prawym brzegu rzeki (jeżeli się nie mylę, był to trzeci ich pułk), rozebrawszy się, wbród przebyli Sesię i wychodząc z wody, pozdrawiali nas celnym ogniem.

W każdój bitwie niemal są chwile, w których cały plac boju zalega nagle a tém groźniejsze milczenie; otóż i teraz tak było. W chwili téj, jeden z żuawów, olbrzymiego wzrostu, z potężną brodą i jeszcze większemi wąsami, wyskoczywszy z wody i zwróciwszy się do kolegów swoich, daleko brzmącym zawołał głosem: „*Ohé! camerades! faisons notre toilette! ils n'y a a pas ici des dames!* Cóż to za szalona brawura! co za lekceważenie życia!

Bitwa, a raczej rzeź zawrzała nanowo. Generał Szabo dał rozkaz cofnięcia się; bo popłoch zaczął się wkładać w nasze szeregi. Przy zawracaniu dwa działa, dotąd beczynne, przewróciły się i zatamowały drogę naszemu pułkowi; toż samo stało się i z jednym wozem ambulansowym, w którym ranni już się znajdowali. Krzyk, wrzawa, jęki, przekleństwa krzyżowały się w powietrzu jak kule i kartacze. Brygada cała w nieładzie, odstrzeliwając się jak kto mógł, poczęła się cofać ku Palestro. Byłato raczej bezładna ucieczka, z którój Francuzi i Włosi korzystali, następując nam prawie na pięty. W ciągu kilkunastu mi-

nut, pośpiesznym biegiem wydostaliśmy się z grobli na wyżynę Palestro: tu brygadyer zdołał uciekające wojsko powstrzymać i rozstawić tak, jak to powinien był uczynić przed rozpoczęciem bitwy. Na całej linii zawrzała bitwa; działa nasze, oprócz dwóch, które na grobli przewrócone leżały, ustawione na prawém naszym skrzydle, siały bezustanny ogień, obsypując napiérającą nieprzyjacielską kolumnę kartaczami i granatami.

Grobla była teraz literalnie zasłana trupami i rannymi, po których Francuzi i Włosi z krzykiem: *Vive l'Empereur!* — naprzód kroczyli. Nastąpiło jedno i drugie starcie na bagnety; prawdziwe wysiłki heroizmu straszliwie dziesiątkowanej brygady naszej zmuszały Francuzów do tego, że zdobycie każdej piędzi ziemi krwawo opłacali, — walczone już nie na bagnety, lecz na pięście. Kolby jak tarany z złowieszczym łoskotem spadały na łby rozwścieczonych żuawów, którzy jak koty po stromej spadzistości góry się wdziérali. Krwawa ta walka bez najmniejszej przerwy trwała do godziny trzeciej popołudniu.

Działa francuzkie i nasze grzmiały ciągle, ogień karabinowy wtórował im i już zdawało się, że przemożemy nieprzyjaciela, który począł się chwiać i cofać ku Sesii, party do odwrotu bagnetami naszego pułku, który z okrzykiem „*Eljen a Kíraly, Eljen a Csa-szar!* — Niech żyje król i cesarz!“ szedł nieprzebitym murem naprzód. O gdyby w tej chwili nadciągnęła nam pomoc od głównej armii, choć tylko pułk jeden a zwycięstwo byłoby nasze!

Właśnie zajmowaliśmy pozycją środkową na przeciw mostu; na prawém skrzydle stały działa pod ochroną konnicy, na lewém zaś nad stokiem wyżyny ścięrali się dzielni Jelacyccy z wdzierającymi się bersaglierami; gdy oto naraz na czele ustępujących przed nami żuawów stanął król Wiktor Emanuel i wyrwawszy karabin z bagnetem z rąk obok stojącego żuawa, z prawdziwie włoską furją rzucił się naprzód krzyząc: *Avanti!*

Reszta kolumny naszej, ożywionej nadzieją zwycięstwa, pod tak nagłym natarciem zachwiała się i bez nadziei już pomszczenia poległych braci musiała się cofnąć i zajmowane przed chwilą stanowiska opuścić. Francuzi i Włosi, wdarłszy się na nasze pozycye, na zabój wrzeszczeli: *Vive l'Empereur!*—a my—my—rozbici—musieliśmy ustępować.

Bitwa była przegrana. Śród piekielnego ognia cofając się, minęliśmy Palestro, na tyłach naszych zajęte przez bersaglierów,—znaczną część rannych, dwa działa i znaczna liczba broni pozostały w rękach nieprzyjaciela, który nas nie ścigał, zadowolony widocznie odniesioném zwycięstwem. O godzinie szóstej wieczór działa grać przestały. Upadający ze znużenia, okryci kurzem, zbryzgani krwią, w poszarpanej odzieży, upadli na duchu, około godziny dziesiątej wieczór zatrzymaliśmy się pod laskiem cyprysowym, rosnącym przy drodze prowadzącej do Magenty.

Z całej brygady pełnej nadziei, samego kwiatu bitnej młodzieży, pozostała zaledwie połowa! Nasz pułkownik objął komendę nad brygadą, bo brygadyer

generał Szabo z raportem podążył do głównej kwatery.

Jak dzień tak i noc była pogodną, gwiazdy świeciły jasno, księżyc, wychylając się z za drzew, zdawał się do nas uśmiechać. Obozowisko nasze zaległo milczenie grobowe; bo i czegoż było się cieszyć? Trzecia to już z rzędu bitwa, którąśmy przegrali, a dlaczego? Oto niendolny kierunek, brak rezerw były tego powodem.

Noc, głucha noc, która otuliła nas całunem swoim, minęła spokojnie. W dni parę później generał Szabo, nie wróciwszy więcej do brygady, otrzymał dymisję, a my — podążyliśmy ku Medyolanowi, gdzie przystąpiono do zreorganizowania rozbitych pułków.

X.

Po bitwie pod Palestro, która straszliwe w szeregach naszych zrobiła zniszczenie, skompletowani przybyłymi rekrutami, ruszyliśmy pod Magentę, gdzie po raz trzeci starliśmy się z armią francuzką. Krwawa i straszliwa była to bitwa!

Miasteczko Magenta leży w medyolańskim okręgu Abbiategrosso, przy kolei żelaznej, prowadzącej z Nowary do Medyolanu, na lewym brzegu Ticina, w oddaleniu od téj rzeki o jedną milę geograficzną.

Bliżej rzeki, tuż prawie nad jój brzegiem, znajduje się miasteczko Buffalora, które z przeciwnym brzegiem połączone było mostem kolei żelaznej. Na południe od Buffalory, w małej odległości od Ticina, znajdują się wsie Robeco (łącząca się mostem kolejowym z Vigerano, miastem rozsiadłym na prawym brzegu rzeki) i Rosate. Na wschód od Magenty, przy drodze żelaznej prowadzącej do Medyolanu, wśród winnic i pól ryżowych leży wieś Sedriano. W kierunku

zaś północno-zachodnim, tuż nad rzeką, w odległości dwumilowej od Magenty, wśród pięknych gajów, wieś Turbigo.

Armia nasza, pozostając pod naczelném dowództwem feldcechmistrza Gyulay'a, po bitwie pod Montebello i Palestro dnia 20 i 24 maja cofnęła się przez Vigerano i Trecate za Ticino, obsadzając Robeco, Buffalorę, Magentę i Turbigo.

W Magencie było centrum armii, mające za zadanie bronienia mostu na Ticinie. Oddziały stojące w Robeco, zniszczywszy most pod tą miejscowością, obsadziły lewy brzeg rzeki, mając polecenie nie dopuszczenia przeprawienia się w tém miejscu naprzód posuwającej się armii francuzkiej.

Oddziały, które osadziły Turbigo, stanowiły prawe nasze skrzydło. Wedle tego więc com tu powiedział prawe skrzydło naszej armii opierało się o Turbigo, centrum armii było w Buffalora i Magenta, lewe zaś skrzydło opierało się o Robeco.

Pułk nasz, wraz z pułkiem hrabiego Jellachic (Jellaczycz) znajdował się w centrum armii i obsadził groblę kolei żelaznej, położoną między Magentą a Robeco; przytém cmentarz znajdujący się między Magentą a Buffalorą obsadziła druga kompania naszego pułku, zostająca pod komendą kapitana Souvent, który miał polecenie, w razie postępowania naprzód armii francuzkiej, do ostatniej chwili pozycyi tej jako dominującej nad okolicą bronić i nieprzyjaciela powstrzymywać, pozostawiając przez to czas armii naszej do cofania się ku Medyolanowi.

O godzinie trzeciej rano dnia 4 czerwca pozycje nasze były już obsadzone. Pułk nasz obsadził groble kolei żelaznej, opierając się prawym skrzydłem o wyżynę, na której wznosił się kościół magencki, lewe zaś skrzydło łączyło się z pułkiem hr. Jellachic. Za nami o kilka kilometrów, wśród zieleni ogrodów, widniała Magenta; przed nami zaś, ku północy, sterczały mury Buffalory, obsadzonej pułkiem pieszym Hartmana, paru batalionami strzelców, oraz kilku bateriami artylerii. Około godziny czwartej usłyszeliśmy w stronie Buffalory pojedyncze wystrzały, pochodzące od łańcucha strzelców, rozsypanych wzdłuż rzeki. Niebawem zagrały działa i bitwa na dobre się rozpoczęła. Francuzi, po dwugodzinnej zaciętej walce, przejście przez Ticino sforsowali i pułk Hartmana z pozycji zajmowanej wyrugowali. Około szóstej godziny, wydzwonionej na wieży kościelnej, ujrzeliśmy przed sobą postępujących naprzód francuzkich grenadyerów gwardyi, którzy, przybywszy ku naszej pozycji na odległość dwóch do trzech kilometrów w rozwiniętym froncie, nagle w pochodzie się zatrzymali. My ukryci za groblą kolei, z ciekawością oczekiwaliśmy chwili, w której przeciwnicy nasi naprzód się posuną. Tymczasem na prawym skrzydle naszej armii bitwa już się rozpoczęła, działa potężnie grzmiały, a do huku ich mieszał się także i huk wystrzałów karabinowych i okrzyki walczących.

Pogoda była przesłizna; słońce co raz wyżej podnosząc się, co raz więcej promieniami swemi paliło nas; tymczasem nasi przeciwnicy stali nieruchomie,

co nas niecierpliwiło. Tak na wyczekiwaniu zobopólném minęła może godzina, gdy nagle pułkownik Kreiser, który komendę pułku objął po byłym pułkowniku a obecnie już generał majorze Watervlicie von Veranneman, przejeżdżając wzdłuż frontu, łamanym językiem napół po węgiersku a napół po słowacku, zachęcał żołnierzy do odwagi i bitności, oraz upominając ich, aby śmiało szli do ataku; dodał téż, aby w razie odwrotu dokonali tego w porządku. W parę minut później usłyszeliśmy na całej linii sygnał dany przez głównodowodzącego do uderzenia z bagnetem w rękę na nieprzyjaciela.

Niezwłocznie téż, w największym porządku, z rozwiniętym sztandarem i muzyką przygrywającą do ataku, ruszyliśmy z za grobli i przekroczywszy takową, po równinie przed nami się rozciągającej, żywo posuwaliśmy się ku gwardyom, które w szyku bojowym, z największym spokojem i bronią u nogi, naszego zbliżenia się oczekiwały. Dobosze bili coraz szybciej, trębacze trąbili z coraz większą energią, a z muzyki pułkowej, która grała jakiegoś marsza, słyhać było tylko wielki bęben. Zbliżywszy się do gwardyi na odległość najwyżej 15 kroków pułkownik zakomenderował „*do ataku broń!*“ i wtedy z całym pędem ruszyliśmy naprzód. Gwardye w téj chwili uchwyciły za broń i powitały nas celnym rotowym ogniem, poczem, nie czekając dłużej, w największym porządku cofać się poczęły.

Pułk nasz, spędziwszy nieprzyjaciela z pozycyi, zajął ją i stanąwszy na niej, formował przerzedzone

swe szeregi. Dodać tu winieniem, że od chwili, w której ruszyliśmy do ataku, z prawego i lewego skrzydła gwardyi francuzkiej ustawiona artylerya krzyżowym kartaczowym ogniem nas prażyła. Francuzi, odszedłszy od zajmowanej pozycyi ze dwa kilometry, zatrzymali się, sformowali front—i nim my mogliśmy przygotować się do ataku powtórnego już oni z bagnetem w rękę i z prawdziwą *furia francese* posuwali się ku nam. Pułk nasz i hr. Jellachica, dwukrotną salwą poczęstował zbliżające się ku nam gwardye; mimo to jednak uderzyli oni na nas z takim impetem, że po krótkim starciu na białą broń, byliśmy zmuszeni cofnąć się za groblę, pod którą, krok w krok, Francuzi postępowali za nami. Tymczasem na całej linii wrzała bitwa zacięta, a nas francuzka artylerya szalenie prażyła. W pół godziny później piérwszy nasz atak powtórzyliśmy z tym samym co i piérwój rezultatem, Francuzi cofnęli się, lecz na to tylko, aby nas wprowadzić w tém silniejszy ogień kartaczowy. Széść razy z rzędu od 7-ój godziny rano aż do 2-ój po południu ataki nasze powtarzaliśmy; széść razy spędzaliśmy Francuzów i byliśmy spędzani ze swoich pozycyj.

W ciągu tych ataków nadporucznik Szilhawsky z jednym plutonem odłączył się od pułku i wysunąwszy się nagle z poza grobli — uderzył na dwa działa francuzkie, stojące na prawém naszym skrzydle a które szalone zniszczenie w szeregach naszych siały. Po krótkiej lecz morderczej walce nadporucznik Szilhawsky zdobył działa, i z całym pośpiechem dążył do połączenia się z pułkiem, gdy oto z za grobli wypadła

kompania strzelców tyrolskich (ile zapamiętać mogą należąca do 4 batalionu strzelców) i spędziwszy garsteczkę naszych żołnierzy ze zdobytych dział, takowe sobie przywłaszczyła i wraz z niemi ku Magencie pociągnęła. Nadporucznik Szilhawsky był w rozpacz, że nie mógł się bronić przeciw temu „napadowi swoich“, którzy, jak tryumfatorowie, z dwoma francuzkami działami do Magenty przybyli.

Około godziny trzeciej popołudniu na całej linii zarządzone zostały ataki ogólne na pozycje francuzkie, a więc i my ruszyliśmy naprzód. Gwardye ustępowały przed nami w kierunku południowym i o parę kilometrów od Robeco, zajętego teraz przez turkosów, zatrzymały się i nagłym zwrotem rzuciły się na nas z szalonym impetem.

W chwili téj między Robeco a Gaggiano usłyszeliśmy grzmot dział; byliśmy pewni, że nadciągnęły rezerwy i rozpoczęły bój z nieprzyjacielem, który usiłował w tym punkcie nas oskrzydlić. Na całej linii Francuzi zaczęli ustępować, szala zwycięstwa przechylała się na naszą stronę; wytrzymałszy téż dzielnie siódmy atak Francuzów, z którymi już na pięćcie i kolby borykać zaczęliśmy się.

Grzmiące okrzyki wojsk naszych; „*Niech żyje cesarz!*“ dolatywały nas od prawego naszego skrzydła, a adjutant przybył do brygadiera z rozkazem uderzenia na gwardye i zepchnięcia ich do rzeki, w przelocie udzielił nam wiadomości, że między Buffalorą a Magentą pułk Hartmana otoczył cesarza Napoleona III

wraz ze sztabem jego i że lada chwila wezmą go do niewoli.

Nie było już wątpliwości, zwycięstwo było po naszej stronie. Dziwném jednak wydało się nam, że okrzyki radosne nagle ucichły, a wrzawa wojenna w Gaggiano znacznie się wzmogła. Gwardye, z którymi mieliśmy do czynienia, odparte przez nas, po chwili wzmocnione pułkiem żuawów i pułkiem turkossów, — rzuciły się znowu na nas i wtedy ujrzelśmy po za lewém skrzydłem naszym zbliżające się pułki, piechoty francuzkiej: byliśmy oskrzydleni! Zajmowaną przez nas pozycyą musieliśmy opuścić, prażeni ze wszech stron szalonym ogniem kartaczowym; odwrót nasz ku grobli, był więcej niż pośpieszny!

Przybyliśmy na groblę straszliwie zdziesiątkowani, bo zaledwo w kilkaset ludzi; lecz i ztąd musieliśmy ustąpić, gdyż z góry smętarnéj powitano nas kartaczami. Przy kościele wrzał bój zażarty, Francuzi postępowali naprzód, zwycięstwo zaczęło się do nich uśmiechać. Działa grzmiały poza lewém naszym skrzydłem, wyrządzając nam ogromne szkody. Dano sygnał do odwrotu; ku Magencie téż podążać zaczęliśmy.

Rezerwy nasze tak gorąco upragnione nie nadciągnęły, lecz w miejsce ich nadciągnął niespodzianie ku Piacenzy dążący Mac Mahon, który, usłyszawszy na północy grające działa, zmienił kierunek swego pochodu, i właśnie w chwili rozstrzygającej zwycięstwo na naszą korzyść, uderzył na nas od tyłu. Łątwo pojąć, że bitwa była przegrana! Ja w piątym a-

taku byłem lekko ranny, dostawszy postrzał z boku w prawe udo, lecz tak szczęśliwie, że kość naruszona nie była; pomimo tego w szóstym i siódmym ataku udziału brać nie mogłem bo byłem zmuszony do pozostania w ambulansie.

Około godziny 6-jej wieczorem na całej linii walka ustała. Niedobitki nasze zajęły Magentę i dopiero rozpoczęto odwrót ku Medyolanowi. Z pułku naszego została się tylko garstka żołnierzy i kilkunastu oficerów; reszta albo zginęła, albo była ranna, albo też wziętą została do niewoli.

Z oficerów naszego pułku kilku dostało się do niewoli; między nimi nadporucznicy Pürker, Schwarzbök, porucznik Slavik i Kapy. Kapitan Souvent, który miał zadanie bronięcia smętarza, wywiązał się z tego więcej niż świetnie, bo broniąc się przeciw całej brygadzie generała Allemana, w ciągu dziesięciogodzinnéj walki stracił prawie wszystkich żołnierzy i sam został okryty kilkunastu ranami. Generał Alleman dwukrotnie wzywał kapitana Souvent'a, aby zajmowaną pozycyą opuścił i udał się do centrum swéj armii „*tambour battant*“ i z honorami wojskowemi, lecz on na to zgodzić się nie chciał i dopiero gdy Alleman działami mur rozbić kazał a Souvent sam ranny wszystkich ludzi stracił, wtedy dopiero Francuzi wdarli się na smętarz. Rannego kapitana i innych żołnierzy zabrali w niewolę, otaczając ich czcią jak bohaterów.

Kapitana Souvent drugiego czy trzeciego dnia przewieziono do szpitala w Medyolanie, gdzie już byli

Francuzi. Cesarz Napoleon III, przybywszy do Medyolanu, nieszczęśliwego odwiedził w szpitalu i kona-
jącemu przypiął na piersi krzyż Legii, oddając hołd niesłychanej jego waleczności. W parę godzin póź-
niej Souvent nie żył i Francuzi wyprawili mu świetny pogrzeb, stawiając zaraz pomnik, który zapewne do
dziś jeszcze istnieje. Cesarz Franciszek Józef I, za-
wiadomiony przez adjutanta Napoleona III pułkowni-
ka Fleury o bohaterstwie Souventa, przez pułkownika
Fleury przesłał mu jeden ze znaczniejszych orderów,
który niestety przybył do Medyolanu za późno i zo-
stał już zawieszony tylko na krzyżu grobowym.

Po opuszczeniu w nocy Magenty, armia nasza
pobita, zdemoralizowana, z całym pośpiechem cofać
się zaczęła przez Medyolan za Adygę ku słynnemu
czworobokowi fortecznemu. Ja dostałem się do We-
rony, z kąd po parodniowym pobycie w szpitalu zali-
czony zostałem do 4-go batalionu, będącego ciągle je-
szcze w dolinie di Ledro, na prawym brzegu jeziora
Garda, gdzie, objąwszy komendę nad dwu plutonami
22-iej kompanii, rozlokowałem się w Tiarno di Sotto.

Bitwa pod Magentą, jedna z najważniejszych
w tej wojnie, wykazała w całym blasku waleczność,
i heroizm Francuzów, którzy jednak, gdyby nasze re-
zerwy na czas były nadciągnęły, byliby byli pobici
i wtedy kto wie czy nie w Turynie punkta pokoju by-
łyby układane.

Oprócz heroizmu i lekceważenia niebezpieczeń-
stwa, przyznać i to należy, że Francuzi w wojnie nie
tracą nawet dobrego humoru. Nadporucznik Schwarz-

bök był ranny w nogę — i leżał pod krzakiem; gdy oto zbliża się doń gwardzista, który, ujrawszy rannego i oświadczywszy że bierze go w niewolę, podał mu manierkę z winem, aby się pokrzepił, a następnie widząc że w niewolę wzięty, iść nie może, przykląkł przed nim i wskazując na tornister rzekł: „Ohé! Monsieur „oficier! Vlà! montez sur le petit Sevastopol, j’veux „vous porter chez le medecin! Vite — montez, montez, „il n’y’a pas du temps à perdre!“

Takie odezwanie się prostego żołnierza dowodzi, że byli to nietylko żołnierze lecz ludzie z uczuciem i sercem. Schwarzbök, odpiąwszy pałasz, bez oporu oddał go żołnierzowi, a następnie włożył na tornister i usiadł mu na ramionach; gwardzista, mężczyzna silnej budowy, podniósł się z ziemi i tak z wziętym w niewolę, powolnie i z wielką ostrożnością, zwrócił swe kroki ku ambulansowi francuzkiemu, ponad którym powiewała biała chorągiew.

Jak zuawia tak i inne wojska francuzkie bezbronnego nieprzyjaciela, lub téż rannych za wrogów nie uważali, obchodząc się z nimi z cału oględnością i że tak powiem galanterią nawet; turkosi zato, po większej części sami murzyni, byli bez litości, nie znali pardonu i tak rannych jak i w niewolę wziętych masakrowali na miejscu. Turkosi zbliżający się do ataku, z jataganem w zębach i obosiecznym bagnetem na karabinie w rękach, — przedstawiali straszliwy obraz piekielnych zastępów, których grozę podwyższał dziki wzrok tych „diabłów“, jakieśmy ich nazwali. Przeważna liczba turkosów nosiła na tornistrach dzi-

kie koty (*chat-tigre*), które przy starciu na białą broń rzucały się prosto w twarz przeciwnika, drapiąc i kęsając go. Pojąć więc łatwo, że żołnierz tak napaźnięty nie wiedział co robić i komu się bronić, czy roz-wścieklonemu zwierzęciu czy też nacierającemu turkosowi.

Wrzawa straszliwa napełniała powietrze; nawoływania, słowa komendy, grzmiące tony trąbek sygnałowych, nareszcie bębnow bijących do ataku, świst kul karabinowych, burczenie ponad głowami przelatujących granatów, złowieszczy chrzęst kartaczy, rżenie koni, jęk rannych i słowa przekleństwa lub modlitwy w rozlicznych językach, francuzkim, włoskim, arabskim, niemieckim, węgierskim, polskim: wszystko to krzyżując się w powietrzu tworzyło chaos straszliwy, pełen grozy. Wrzawa ta, powoli cichnąc i przerywana od chwili do chwili hukami wystrzałów armatnich, około piątej nagle wzmogła się do straszliwej potęgi. Smętarz a równocześnie i kościół Francuzi zdobyli.

W kościele pułk Hartmana zamknął się i bronił się szalenie; lecz nie pomogło, Francuzi wdarli się do kościoła gdzie jeszcze chwil parę trwała walka na bagnety i pięście. Pułkownik dowodzący pułkiem, widząc bezużyteczność dalszej walki, wywiesił białą chorągiew i poddał się. Generał Alleman, w uznaniu heroicznej waleczności pułku, tak pułkownikowi jak i oficerom pozostawił przyboczną broń (pałasze), zażądał tylko wydania sztandaru pułkowego. Pułkownik (którego nazwiska nie pamiętam) jednak

na to wezwanie oświadczył, że sztandaru niema, — że wraz z chorążym musiał zostać na placu boju pod Bufalorą. Generał Alleman wcale słowom tym nie chciał dać wiary; témbardziej że jeden z żołnierzy francuzkich poza ołtarzem znalazł drzewce sztandaru, który widocznie był umyślnie zdarty. Ujrzawszy to generał stanowczo oświadczył, że jeżeli za pół godziny sztandar wydany nie będzie to cały pułk zdziesiątkuje, a gdyby i to nie pomogło, to wszystkich podoficerów, kadetów (junkrów) i oficerów rozstrzelać każe. Usłyszawszy takie dictum, oficerowie pułku Hartmana zgromadzeni w zakrystyi zdobytego kościoła, przystąpili do narady co czynić wypada. Po krótkiej naradzie stanęło na tém, aby sztandaru nie wydać, choćby przyszło i z życiem się pożegnać. Tymczasem gdy się to dzieje w zakrystyi, jeden z kadetów, chłopaczek młodziutki, któremu zapewne żal było zostawać się z tak młodém życiem, oświadczył generałowi, że wie gdzie sztandar się znajduje, i na zapytanie generała Allemana, który przeszywającym wzrokiem, pełnym pogardy, na zdradzającego tajemnicę pułku spoglądał, oświadczył, że sztandar zdarty z drzewca i złożony jak *velum* używane do przykrycia kielicha, obwinięty w korporał, schowany jest pod kielichem, postawionym w cyborium na mensie w zakrystyi. Generał, usłyszawszy to, młodego kadeta nie zwłocznie wziąć kazał pod straż, a sam najspokojniej wyczekiwał co mu oficerowie powiedzą; jakoż w chwil parę z zakrystyi wyszedł pułkownik z oficerami i zbliżywszy się do generała, oświadczył, że mimo iż wie

gdzie sztandar się znajduje, jednak go nie wyda, gdyż honor żołnierski na to mu nie pozwala; a jeżeli generał chce spełnić to co obiecał, iż każe pułk dziesiątkować a podoficerów i oficerów rozstrzelać, to prosi, aby zamiaru powziętego zaniechał i tylko jego samego rozstrzelać kazał, bo on sztandar schował i sztandaru nie wyda!

Alleman, usłyszawszy te słowa, spojrzął na mówiącego i skinął ręką na strażę otaczającą, młodego kadeta, któremu kazał wskazać miejsce gdzie jest sztandar przechowany. Kadet dopiero teraz zrozumiał jak niegodnie postąpił i jak straszliwą plamą okrył honor wojskowy; lecz nie było rady, musiał iść do zakrystyi, sztandar z ukrycia wydobyć i generałowi w obec całego korpusu francuzkich i austryackich oficerów doręczyć.

Widząc to pułkownik zbladł i jęknął straszliwie, oficerowie rzucili się na drogocenny przedmiot, chcąc go wyrzucić z rąk zdrajcy; lecz generał Alleman powstrzymał ich skinieniem ręki. Nastąpiła chwila głuchego milczenia, wśród którego na środku kościoła stał kadet, sam, opuszczony od wszystkich. Oficerowie austriacy patrzyli nań z politowaniem i wstętem; jeden tylko Alleman zachował krew zimną. Po chwili, trzymając w ręce poszarpany sztandar pułku Hartmama, generał zbliżył się do pułkownika, serdecznie uściskał dłoń jego i w pobliżu stojących oficerów naszych, poczem, zwracając się do żołnierzy stojących pod bronią, donośnym głosem zakomenderował „*Presentez l'arme!*“ dodając: „*Tambour!*“ Żołnierze

broń sprezentowali, dobosze uderzyli w bębny, i gdy werbel bić przestali, generał, salutując pułkownika i oficerów, rzekł: „Cześć i szacunek wam, Panowie; „w nieszczęściu, jakie was dotknęło, okazaliście się „bohaterami, tak jak i wszyscy dzielni żołnierze puł- „ku waszego, wyjąwszy jednego, który nie was lecz „siebie shałbił, zdradzając najświętszą tajemnicę wa- „szą! Panowie! ludzi umiejących tak cenić honor „wojskowy nie mogą nazywać memi brańcami, jeste- „cie wolni, możecie udać się do armii waszój; lecz żą- „dam od Was słowa oficerskiego, że w ciągu tej woj- „ny z bronią w rękę przeciw nam walczyć nie bę- „dziecie!“

Słyszac to pułkownik zbliżył się do generała i w kilku słowach podziękował za uznanie, jako też za wolność jaką ich miał obdarzyć, lecz zarazem oświadczył, że z tejże korzystać nie będą, bo wymaganego słowa dać nie mogą i nie dadzą. Na to oświadczenie generał podał rękę pułkownikowi i wskazując na młodego kadeta dodał; „Voilà un qui n'estpas digne de se „trouver parmi des héros!

Po powrocie z niewoli, kadet ów stawiony był przed sąd wojenny, który za tchórzostwo i zdradę skazał go na rozstrzelanie; lecz cesarz Franciszek Józef I wyrok ten zamienił na natychmiastowe wydale- nie z wojska i wykreślenie z list wojskowych. W lat parę później, bo r. 1866, młodzieniec ten, wstąpiwszy powtórnie do wojska, odznaczył się niesłychaném męstwem pod Nachodem, i zdobywszy sztandar pruski, tuż u boku byłego swego pułkownika z pułku Hart-

mana, który teraz był już brygadyerem, śmiercią walecznych poległ, zmazawszy tém czyn hańbiący, jakiego się w r. 1859 dopuścił.

Po godzinie szóstej wieczorem wrzawa wojenna ustała i po całym placu boju rozlegały się tylko jęki rannych i umierających, których kapelani pułkowi, tak francuzcy jak i nasi, na śmierć dysponowali. Służba sanitarna obudwu armij krzątała się, zabiierając rannych do ambulansów i grzebiąc umarłych. Około północy feldcechmistrz Gyulay wydał rozkaz do odwrotu, który też niezwłocznie i w całej cichości był dokonany. Nad ranem 5 czerwca, pierwsze oddziały naszej armii, smutne i milczące, przeciągały przez ulice Medyolanu, ludność którego już burzyć się poczęła. Około południa nadciągnęły resztki niedobitków, a między temi jeden z pułków pogranicznych (*Gränzer*). W oknach i na dachach domów przy ulicach, wzdłuż których pułk ten przechodził, siedzieli mieszkańcy miasta, uzbrojeni w sztucery i inną broń palną; na jednej nawet z ulic wchodzących przywitano nas strzałami. W chwili téj pułk pograniczny zbliżył się do gmachu, w którym mieścił się pensjonat żeński. Dziewczątka uwolnione od lekcyi, nie wiedząc co się dzieje, wybiegły wesoło z pensjonatu. Wtém pułkownik, chcąc zabezpieczyć pułk swój od znacznych strat w walce ulicznej, z konia porwał małą dziewczkę przechodzącą mimo; za jego przykładem poszli i żołnierze, którzy z karabinem na ramieniu i dziewczątkiem na drugiej ręce, wśród wesołych śmiechów i o-

krzyków *Eviva!* spokojnie przeszli przez miasto, puszczając przy rogatkach porwane dzieci, które ochroniły ich od niechybnej może śmierci.

XI.

Po nieszczęśliwej dla nas bitwie na grobli szosowej pod Palestro, i świetnym zwycięstwie tamże odniesionym przez nieustraszonego Wiktora Emanuela, oraz po bitwie całodniowej pod Magentą, stoczonej w dniu 8 czerwca, którą, pomimo niesłychanej odwagi naszych żołnierzy, przegraliśmy wskutek niespodziewanego zjawienia się na naszych tyłach korpusu generała Mac-Mahona, przeniesiony zostałem do 4-go batalionu pułku naszego, należącego do kolumny ruchomej w dolinie di Ledro, Tyrolu południowego.

W Tiarno di Sopra znajdował się sztab batalionu, z jedną kompanią; inne zaś oddziały posunęły się naprzód do Tiarno di Sotto, Gligenti i Storo. Ja pozostałem z dwu plutonami 22-ej kompanii w Tiarno di Sotto, gdzie, jak to już poprzednio wspomniałem, zakwaterowałem się u hr. Ferrari.

We dwa dni później, jeżeli się nie mylę 21 czerwca wieczorem, otrzymałem od komendanta batalionu

rozkaz udania się niezwłocznie z moim oddziałem przez górę Tremalso, do Limone i Saló, nad jeziorem, i nie staczając potyczek, zbadania stanowiska i siły Garibaldiego, który, jak nam doniesiono, na Storo i Gligenti miał uderzyć w dniu 23 czerwca.

Wieczór był prześliczny, słońce już zaszło, i tylko szczyty gór, jak ogniste kopuły i wieżyce, rysowały się uroczo na ciemnym tle włoskiego nieba. Dolina cała, ciągnąca się wązkim przesmykiem między olbrzymimi górami, pokryta była cieniem zapadającej nocy. Tiarno di Sotto, małe miasteczko, leży na drodze prowadzącej w dolinie di Ledro, z Riva do Rocca d'Anfo nad jeziorem d'Idro. Pomieniona droga ciągnie się wzdłuż łańcucha gór, który od północy ku południowemu zachodowi dążąc, dolinę Val di Ledro od jeziora Garda i równin lombardzkich oddziela.

Między Rivą a Tiarno di Sopra na połowie drogi, w wąskiej kotlinie rozlewa się jezioro di Ledro, parę włoskich mil długości liczące, w szmaragdowych wodach którego przegląda się wdzięcznie miescina *Pieve di Ledro*.

Niezwłocznie po otrzymaniu rozkazu, wraz z moim oddziałem ruszyłem z Tiarno di Sotto w kierunku południowym i wąską drożyną podążyłem ku szczytowi góry Tremalso. Gdyśmy się dostali na pierwszą alpe (halę) zwaną „*Casetta di Ferrari*“ z powodu że tu znajduje się mały domek strzelecki hrabiego z Tiarno di Sotto, noc już prawie w zupełności całunem swoim pokryła całą dolinę i tylko u stóp naszych

w głębi doliny migotało światelko, pochodzące od ogniska rozpalonego u przednich czat.

Wypocząwszy cokolwiek, ruszyliśmy w dalszy pochód, który teraz w dwójnasób był uciążliwym, gdyż drożyna, którą postępowaliśmy, ciągnęła się po nad przepaścią, w głębi której szumiał jakiś górski potok, dążący do jeziora Ledro, i była tak wązka, że byliśmy zmuszeni, idąc gęsiego, czépiąc się rękami skały, która się wznosiła prostopadle po prawej naszej ręce. Drapiąc się tak coraz wyżej i wyżej, oraz przeskakując przez niejedną rozpadlinę, lub tóż zsuwając się po ruchomych kamykach, nagromadzonych w żlebach, upadając ze znużenia, po pięciogodzinnym marszu wydostaliśmy się nakoniec na szczyt góry, gdzie na niewielkiej polance zastaliśmy tazodę owiec, stado krów i kilku pasterzy.

Za chwil parę mieliśmy przekroczyć granicę Tyrolu i stanąć na ziemi lombardzkiej; widząc jednak, że niepodobna wśród ciemnej nocy iść dalej, postanowiłem czekać tu aż do świtu, by potem, spuściwszy się z gór, zadosyćuczynić otrzymanemu rozkazowi. Żołnierze, złożywszy broń w kozły i ustawivszy czaty, rozniecili duży ogień pod ścianą jednej ze skał, podnoszącej wysoko ku niebu swój szczyt, i zasiadłszy około takowego, zaczęli posilać się naprędce przyrządzonym pieczysem z mięsa, którego parę racyj mieli w tornistrach; ja zaś, napiwszy się tylko z manierki czerwonego włoskiego wina, poszedłem w kierunku, w którym nazajutrz mieliśmy granicę Tyrolu przekroczyć. Nad przepaścią, dno której ginęło w cie-

niach nocy, usiadłem na odłamie skały, jakby umyślnie tu przygotowanym dla przechodnia, i zacząłem się rozpatrywać w otaczającej mnie okolicy. Księżyc, który teraz wychylił się z za gór, fosforycznym blaskiem swoim oświetlał poza przepaścią wznoszącą się olbrzymią górę Tremalso i jej trabantów, a wszystko to, jakby w białych, srebrnych, brylantami szytych płaszczach, pokryte było śniegiem. Noc była cicha, od ogniska dolatywał mnie gwar czuwających żołnierzy, z pomiędzy których czasami ten lub ów zanucił rzewną piosenkę węgierską. Z tym gwarem i smętną nutą piosenki mieszał się klekot dzwonek bydła po górach rozpierzchniętego, a wszystko to razem wprowiło mnie w tak głęboką zadumę, że, oparłszy się wygodnie o ścianę skały, zasnąłem głęboko.

Z pierwszym brzaskiem porannym ocknąłem się ze snu i pośpieszywszy do mego oddziału, po wysłaniu przodem patrolu na przeszpiegi, ruszyłem ze swoimi Madziarami w dalszą drogę.

Spuściliśmy się z wysokości 4,000 stóp w dolinę San Michaela, po pochyłości bardzo stromej i pokrytej ruchomą warstwą odłamów granitu (*Geröll*), drogą mało uczęszczaną; przeprawialiśmy się w bród parę razy przez górski strumień, dążący do jeziora Garda; około 9-jej rano stanęliśmy przed małą wioszczyną Vesio di Tremosine. Przekonawszy się, że w miejscowości tej niema oddziału nieprzyjacielskiego i przyjęty z wielką atencją i uległością właściwą Włochom przez miejscowego podestę (wójta) i proboszcza, postanowiłem odpocząć tu dzień cały i dopiero pod wieczór ru-

szyc dalej ku Saló. Wypocząłem wraz z ludźmi memi dostatecznie, ugoszczony wspaniale przez proboszcza, który na cześć naszą wydał obiad; znajdowali się na nim oprócz podesty: *il signor consigliere* Giacomo Baldi (radny gminy) i *signor professore* Giovaune Zucchi (nauzczytel wiejski). Przed zachodem słońca, około godziny 6-jej wieczorem, puściłem się w dalszą drogę; idąc żwawo dosyć wygodną drogą wśród gór, późno już w noc przebyłem Musione i Gargiano. Dalej szedłem wzdłuż prawego brzegu jeziora Garda, powierzchnia którego jak tafla zwierciadlana w ciemnej swój toni firmament odbijała; dążyłem do Madero.

Tu odpoczęliśmy chwilkę, i wystąpiłem silny patrol ku Saló. We dwie godziny później wysłany patrol powrócił, i sierżant prowadzący ten oddział zdał mi raport, że nieprzyjaciel nad wieczorem jeszcze opuścił Saló i oddalił się w kierunku Sabio.

Po otrzymaniu tego raportu, niezwłocznie ruszyłem do Saló, gdzie stanąłem o godzinie 5-jej rano, na głównym placu przed podesterią (urząd gminny).

Zawezwawszy podestę miejscowego i zażądawszy od niego potrzebnych wiadomości, oznajmiłem surowo, że ten co się poważy w czasie méj bytności w Saló wyjść z miasta, lub też będzie dzwonił albo głośno na ulicy śpiewał, zostanie natychmiast rozstrzelany. Pan podesta z wielką skwapliwością przyrzekł, że rozkazy moje święcie będą spełnione, przyczém dodał, że oddział piemonecki, który wieczorem dnia poprzedniego ztąd się oddalił, zamówił na dzień

jutrzejszy rano kwatery, które zajmie batalion bersaglierów Garibaldiego.

Główna kwatera Garibaldiego, wedle zapewnień pana podesty, znajdować się miała w Sabio; oddziały zaś partyzantów jego rozrzucone były po różnych miejscowościach wzdłuż łańcucha Tremalso aż do Rocca d'Anfo.

Zarządziłem wszelkie środki ostrożności, celem uchronienia się od nagłego i niespodzianego napadu; obstawiono wszystkie wyjścia z miasta placówkami, sam zaś ruszyłem do przystani na jeziorze Garda.

Słońce właśnie wschodziło.

Jezioro, jakby zaczarowane, gładkie, swój powierzchnię nie marszczyło nawet najdrobniejszą falą, a kolor wody był tak czarująco niebieski i przezroczysty, jak gdyby się miało niebo pod stopami. Na prawo od Saló widać półwysep Sermione, z szczątkami zamku i łazienek rzymskiego Catulusa; nalewo, na przeciwnym brzegu widniała niebotyczna góra Monte Baldo i tuż nad jeziorem: miasteczka Garda, Bardolino i Lazise, z pięknymi ruinami z czasów wojen gwelfów i gibelinów. W mrocznej, sinawej oddali, na południowym krańcu jeziora, widać było twierdzę Peschierę, z całą armią parowców i łodzi zatopionych w głębinach jeziora. Szczyty ich tylko, jak złowrogie wieńcze, groźnie z pod powierzchni wód się wznosiły.

Między Peschierą a Saló, na prawo od Sermione, widać Desenzano, a w głębi szczyt wieży kościelnej Solferino, gdzie za dni parę okropna i ostatnia bi-

twa w tej nieszczęśliwej wojnie stoczyć się miała.

Przypatrzywszy się téj cudnej panoramie, rozwijającej się przed men.i oczyma, siadłem na jednym ze stopni prowadzących do wody i ze szczególném uczuciem przysłuchiwałem się melodyjnemu szmerowi fal, rozbijających się o granitowe boki przystani. Czasami silniejszym podmuchem wiatru rozpędzona fala, wydając głośniejszy luk niż inne, uderzała o stopnie, na których siedziałem i rozprysnąwszy się w srebrną siatkę, szytą perłami, pokrywała mnie swą orzeźwiającą rosą.

Tak siedząc i dumając, wsluchany w harmonijną symfonię jeziora, przeniosłem się myślą ponad niebotyczne góry i skały, i zdało mi się że jestem sokołem, co właśnie nad głową moją zataczając kręgi szybował, i ujrzałem oczyma duszy ciche nasze niwy, szumiące bory, słyszałem przeciągły krzyk dzikich kaczek, spłoszonych z sitowia, słyszałem szczęk kos, łączący się z smętną nutą małopolskiej dumki kosiarzy, widziałem ogrody, łąki i pola, słowem mój kraj ukochany, i domek rodzinny, i moję matkę drogą, i niewysłowienie pocziwego ojca, i siostrę, i braci, aż zerwałem się, chcąc paść w ich objęcia, i wpadłem, ale... w jezioro, gdzie wnet opamiętałem się z zadumy i z niemalą biędą wygramoliłem się na brzeg, przychodząc do przekonania, że nie zawsze dobrze oddawać się złudnym marzeniom, zwłaszcza téż nad brzegiem jeziora, i zwłaszcza gdy się nie umie, tak jak ja, pływać!

Zmoczonej tą kąpielą nie w porę, opuściłem przystań, a nie mając innej odzieży na zmianę, musiałem

w mokrym mundurze pozostać, prosząc tylko Foga, aby jaknajprędzej słońce wyżej się podniosło i suknie mi osuszyło na grzbiecie. Około ósmej rano, pożegnawszy podestę i proboszcza, który uprzejmie zapraszał, bym przez dzień cały w Saló pozostał, ruszyłem z moim oddziałem drogą ku Gargniano, z zamiarem dotarcia pod Sabio i naocznego przekonania się o tém, co mi podesta w Saló mówił.

Na zakręcie drogi prowadzącej z Saló do Sabio i Gargniano, ujrzałem w cieniu tamże rosnącej figi postać kobiecą, precudownie odbijającą się od ciemnego tła skały i soczysto zielonych liści figi, które nad jej głową się zwiślały. Nieznajoma, na odgłos zbliżających się kroków, jakby z głębokiej zadumy wyrwana, nagle ruchem zwróciła się ku mnie i z niemałym podziwieniem ujrzałem dziewczeczkę zachwycających rysów twarzy. Wznosząc ze stroju była to wieśniaczka. Rysy jej klasycznie pięknej twarzy trudno mi opisać, powiem tylko, że przypominały nadzwyczaj żywo słynną sewilską madonnę Murilla. Mimowolnie stanąłem jak wryty.

Nieznajoma siedziała na dużym kamieniu, tuż pod figą, a obok niej stał mały koszyczek, napełniony pięknymi gronami winnemi i pomarańczami.

Nie mogąc się oprzeć pragnieniu zawiązania rozmowy, zbliżyłem się do nieznajomej, zapytując czy owoce które są w koszyku może mi odstąpić?

— O chętnie, signore! odezwała się dziewczeczka, najwyżej lat 16 liczyć mogąca, — wolę je panu sprzedać niż komu innemu, a zresztą, do Saló tak daleko i pyta-

nie czy tam znajdzie się taki coby chciał wszystko kupić!

— Szłaś więc do Saló? zapytałem.

— Tak, signore, odparła, tam mieszka siostra mego ojca, który mnie do niej posłał, bo u nas w Limone straszna bięda i ojciec mnie wraz z rodzeństwem wyżywić nie może, a ciotka moja jest bogatą, jest gospodynią u proboszcza w Saló!

— Czémże trudni się twój ojciec? pytałem dalej.

— Rybołówstwem, lecz od czasu jak ta nieszczęśliwa wojna się zaczęła, tak zabrano nam łodzie, i ojciec nie może teraz łapać ryb w jeziorze; przez to téż stracił swoje utrzymanie!

— Jak ci na imię?

— Marietta, signore! odparła dziewczeczka z zachwycającym uśmiechem, rzucając na mnie czarujące spojrzenie.

— A więc, Marietto, rzekłem, dobywszy z sakiewki kilka srebrnych litrów, które z sobą wzięłem w drogę, przyjm to za owoce, wracaj do domu i zanieś twemu ojcu.

— *L'accetto con molte grazie e ne farò il contraccambio* (*), zawołała Marietta, podając mi koszyk z owocami.

— Gdzie mieszka twój ojciec w Limone? zapytałem.

(*) Przyjmuję z wielkiem podziękowaniem i będę w obowiązku odslużyć się za to.

— Mój ojciec mieszka tuż nad jeziorem, odparła pytana, około willi hrabiego Lodron, w pobliżu grotty Hofera.

— *A rivederci, mia bella Marietta! Mi conserva in tua grazia* (*), zawołałem, podając dzieweczce rękę, którą z rzewnym uczuciem ścisnęła, wpatrując się we mnie swemi czarnemi i iskrzącemi jak węgiel oczyma.

— *Dio la benedica! Buon viaggio* (**), odparła Marietta.

Wtém huk wystrzału karabinowego przerwał naszą rozmowę, i Marieta zwróciła się szybko w stronę z kąd wystrzał pochodził.

Na parę staj odległości od nas ujrzelśmy od strony Saló szybko ku nam posuwający się oddział piemonckich bersaglierów.

Marietta, ujrawszy ich, nagłym ruchem ujęła mnie za rękę i wskazując wązką drożynę, wijącą się pomiędzy odłamami skał, zawołała:

— Tędy, signore! Tędy, tylko prędko, potem na prawo popod krzakiem rosnącym na ścieżce; zła lecz pewna droga!

Rzekłszy tych słów parę z pośpiechem, Marietta zwróciła się ku Saló, i szybkim krokiem podażyła na przeciw nadchodzącym piemontczykom; ja również z oddziałem swoim, ruszyłem drogą mi wskazaną i nie-

(*) Do widzenia, piękna Marietto, zachowaj mnie w swęj pamięci!

(**) Bóg niech wam błogosławi, szczęśliwej drogi.

bawem, uszedłszy pogoni, znalazłem się na drodze prowadzącej z Gargniano do Bolone, zład, pod wieczór już, przybywszy na alpe di Bondene, położoną tuż nad jeziorem Idro, spotkałem tam przednie czaty naszego batalionu.

Dzięki kolegom, których zastałem jeszcze zgromadzonych przy ognisku obozowém, posiłem się resztkami wieczery, składającej się z twardej i żyłastej kury, upieczonej na bagnecie nad węglami, kawałka brykały (chleb sitny, wojskowy), szklanki kwasnego wina i séra, który aż pozieleniał ze starości.

Moi żołnierze, również hojnie przez swoich kolegów podejmowani a znużeni całodziennym marszem, legli na spoczynek, mając za pościel trochę suchej trawy, a za nakrycie cudne gwiazdzone niebo.

Z pierwszym brzaskiem jutrzeńki, nazajutrz, puściłem się w dalszą drogę, z powrotem do Tiarno di Sotto, i idąc wciąż między skałami ponad urwiskami i przepaściami, zszedłem w dolinę di Lorina, zostawiając w głębi na lewo w dolinie di Sarche miasteczko Storo i bliżej cośkolwiek leżące góry Bosso Fiumello, Bosso Raigatta i Monte Fastachio.

Prześliczna, zachwycająca okolica! Nic tu nie widać prócz skał umajonych zielenią, a wyżej nad nimi piętrzące się olbrzymy, pokryte śniegiem i kąpiące swe szczyty w lazurze ciemnego nieba.

Panującego milczenia nic tu nie przerywa; nawet ptak boi się swoim lotem zamącić ten święty spokój, i tylko orzeł alpejski, ów król ptaków, jest może jedyném stworzeniem, co te okolice odwiedza.

Po parogodzinnym marszu wydobyliśmy się nareszcie z pośród tych skał drożyną wiodącą przez Lorinę do Val d'Ampola.

Tu u podnóża skał, po których jak cienie milcząco, przeskakując z kamienia na kamień, przesuwaaliśmy się, szemrząc, burząc i opowiadając trawkom nadbrzeżnym tajemnice i cuda wąwozu toczył się strumyk górski Lorina i dążył ku dolinie Ampola. Wschodzące słońce oświetliło sąsiednie góry, a Monte Fastachio i Bosso Raigatta zdążyły się kąpać w morzu ognistém!

Około południa stanąłem nareszcie pod kuźnią Ampola, zwaną Glisenti, położoną na drodze z Riva do Storo i Rocca d'Anfo. Miejscowość tę otaczają ze wszech stron skały niebotyczne; kuźnię samą z rozpoczęciem wojny zamieniono na małą forteczkę, tak zwaną „*Thalserre*“. Znajdował się też tutaj znaczny oddział piechoty i artylerji. Obok kuźni ze znacznej wysokości z szumem i łoskotem spadała rzeczulka, biorąca swój początek w jeziorze Ledro. Wzdłuż tej rzeczulki prowadziła wijąca się droga bita do Tiarno di Sotto. dokąd, odpocząwszy, po południu przybyliśmy.

Złożywszy komendantowi batalionu raport z odbytego rekonesansu i wróciwszy na kwaterę, rzuciłem się w objęciu Morfeusza, który nadzwyczajnie do mnie się umizgał.

W parę dni później, już po bitwie pod Solferino, przbieg której patrzyliśmy ze szczytu góry di Notta, znowu otrzymałem rozkaz udania się do Limone i przejrzenia okolicy, czy nieprzyjaciół od tej

strony do Tyrolu wędzić się nie zamysła. Rano też, z oddziałem dość silnym, już jako nadporucznik (oberlieutenant) i zastępca komendanta kompanii, znaną sobie drogą ruszyłem przez Tremalso, do Vesio di Tremosine, z kądem po dwugodzinnym odpoczynku wkroczyłem do Limone, nad jeziorem Garda.

Miejsce to, położone u podnóża skał niebotycznych, nad samym brzegiem jeziora, otoczone ogrodami cytrynowymi, zdaje się być rajem na ziemi. Na brzegu przeciwnym widać Monte-Baldo w całej okazałości, na lewo Torbole i część portu w Riva, a nad wioską Torbole szczyty skał nagich, uwieńczonych ruinami zameczyska Nago.

Na prawo w błękitnej oddali widać cypel półwyspu Sermione i niewyraźnie rysujący się pas ziemi, gdzie leży Peschiera. W głębi, cokolwiek na prawo od Monte Baldo, uroczo położone miasteczko Garda ze swym kościołem, wieżycą którego jak strzała ku niebu się wznosi, migocząc złocistym blaskiem krzyża zatkniętego u szczytu. Tuż obok wznosi się oliwnym gajem ocieniona skała Rocca di Garda, wraz z malowniczymi ruinami zameczyska, na prostopadłej skale, stopy której rozigrana fala z rykiem olbrzymia całuje.

Na jednej ze spadzistości Monte Baldo widać wspaniałą kościół Madonny della Corona, do którego od strony jeziora prowadzi 700 stopni wykutych w skale. Dalej Casterina, zbudowana w miejscu gdzie Catulus, walcząc z Cymbrami, założył swój obóz *Castra romana*.

Limone, mała wioszczyna, słynie z produkcyi py-

sznych cytryn i z rybołówstwa; nadto zaś słynie i z wspomnień historycznych, odnoszących się do Andrzeja Hofera, znanego obrońcy Tyrolu przeciw Napoleonowi I-u.

Rozstawiwszy strażę w około Limone i wysławszy patrol do Bagliaco, stanąłem na tarasie ogrodu hr. Lodrone, z kąd widziałem całą panoramę, i w milczeniu słuchałem poświstów wiatru „Savera“, który ze szczytów tyrolskich Alp spuściwszy się na płaszczynę jeziora, męcił ją i niepokoił.

Jezioro było czarne, pokryte pianą śnieżnej białości, a wiatr północny dał przeraźliwie. Piętrzyło się też bałwanami i zdało się, że chce się wyrwać z tego kamiennego gór uścisku. Niebo zasepiło się i chmury pokryły je kirem, rozszarpywanym od chwili do chwili blaskiem błyskawicy. Huk gromu, powtarzany tysiącem ech, dodawał grozy temu wspaniałemu widokowi. Nagle szum jeziora przycichł, wiatr północny opuścił skrzydła i nastąpiła cisza nagła, niespodziana, rokująca straszliwszą jeszcze walkę żywiołów. Oto błyskawica, a po niej grom tak potężny, że wszystkie skały zatrzęsły się w swoich posadach.

Burza, jak prędko nadciągnęła tak też i prędko przemienęła. Słońce wychyliło się z za chmur i żywym blaskiem oblało całe jezioro, które niebawem znowu swoją nieruchomą powierzchnią, olbrzymią tafłę zwierciadlaną przypominało,

Udałem się po burzy do miejscowego proboszcza, z którym w towarzystwie podesty poszliśmy nad

brzeg jeziora, do jaskini Andrzeja Hofera, w której ten bohater ukrywał się przed Francuzami.

Minąwszy willę hr. Lodrone, przechodziliśmy właśnie obok małej chaty rybackiej, gdy nagle na jej progu ujrzałem Mariettę. Bez długiego namysłu zbliżyłem się do niej, żądając, by mi podała świeżej wody do picia. Marietta chyżo spełniła moje żądanie.

— Signore! zawołała, a podając mi kubek z wodą i zniżając głos, dodała z niepokojem, spoglądając na moich towarzyszków, zbliżających się ku chatce: za godzinę najdalej nadejdzie tu batalion Piemontczyków, nie zwlekaj lecz cofnij się w góry; śpiesz się, bo zginiesz!

— Dziękuję ci, droga Marietto.

Chciałem dalej jeszcze mówić, lecz towarzysze stali już przy mnie, spojrzałem tylko na Mariettę, która z pokorą wielką całowała rękę proboszcza i ruszyłem dalej ku jaskini Hofera; po obejrzeniu której, z niemalym podziwem podesty i proboszcza, opuściłem pośpiesznie Limone, mówiąc, że dążę do Garginano.

Za wsią skręciłem na prawo i drapiąc się po wężuichnej ścieżynce, w godzinę później byłem znowu u przednich czat naszych, na górze di Notta. Ztąd też widziałem jak do Limone zbliżył się oddział wojska, i z wielką ostrożnością otoczywszy wioskę, wkroczył do niej. Byli to Piemontczycy, którzy chcieli mnie z oddziałem zabrać w niewolę.

Nazajutrz oznajmiłem memu komendantowi o tem co zaszło i otrzymałem rozkaz udania się nie-

zwłocznie do Limone i aresztowania tamże proboszcza i podesty; gdyż, jak wnosić było można, musieli oni wiedzieć o nastąpić mającem przybyciu oddziału nieprzyjacielskiego.

Niezwłocznie spełnić chciałem téż rozkaz, lecz przybywszy do wsi i otoczywszy plebanią, gdzie i podestamieszkał, przekonałem się, że oba ptaszki znikły.

Pobiegłem, nie tracąc i chwili czasu, do chaty rybackiej nad jezioro.

Wszedłszy do jój wnętrza, ujrzałem na środku izby siedzącego, niemłodego już człowieka, naprawiającego sieci i otoczonego kilkorgiem drobnych dzieci.

Byłto ojciec Marietty.

— Gdzie Marietta? zawołałem wchodząc do chaty.

— A! to wy, *signore*? rzekł rybak, wstając z siedzenia; pytacie się o moją córkę Mariette; niema jój; niema jój!

— Gdzież jest? zapytałem zaniepokojony.

— Gdzie? ot tam! i mówiąc te słowa, wskazał przez drzwi roztwarte na jezioro.

— Jakto tam? rzekłem, nie pojmując co te wyrazy znaczyć miały.

— Tam, *miò signore!* w jeziorze! ona nie cierpi już więćej! Ta mokra fala pokryła jój ciało; utopili ją!

— Przebóg! kto ją utopił? kiedy? mów stary!

— A któż jeżeli nie te psy? *I maladetti piemontes!* utopili ją zaraz po odejściu pana z Limone, utopili nieszczęsną, bo was ostrzegła! A podesta i pro-

boszcz uciekli z nimi! Biedne dziewczę, ona was tak kochała, bo wy nie *un tedesco è non un cane piemontese!* Tak, tak, panie, kazali ją utopić!

Ciemno zrobiło mi się w oczach, gdym usłyszał te słowa; kolana ugięły się podemną i w obliczu jeziora nad grobem nieszczęśliwej ofiary, z głębi serca mego popłynęła rzewna modlitwa za spokój duszy Marietty.

Rybak dziwnie smętnie spojrział na mnie. Łzy spływały po jego wychudłych policzkach; zgiął kolana, ukląkł obok mnie i połączył swoją modlitwę wraz z moją.

W tydzień później moja kompania znajdowała się w Lazise, na przeciwnym brzegu jeziora. Stałiśmy wtedy na linii demarkacyjnej przed zawarciem pokoju.

Po skwarnym dniu, z kolegami postanowiliśmy ochłodzić się w przejrzystych toniach jeziora i w tym celu wyszliśmy za przystań, w kierunku miasteczka Garda. W miejscu obraném do kąpieli, daleko w jeziorze ciągnęła się skalista ława, tworząc od strony Lazise zaciszną przystań.

Jeden z kolegów moich od chwil paru zauważył, że na samym brzegu ławy skalistój leży jakaś postać ludzka; zaciekawiony tém rzucił się do wody i wnet zaczął nas przywoływać.

Pobiegłem wzdłuż brzegu i dostawszy się na ławę, z przerażeniem ujrzałem przed sobą trupa Marietty, z rękami skrępowanemi, spowitego w białe żaglowe płótno.

Niezwłocznie więc zaniechaliśmy już kąpieli,

udaliśmy się do Lazise, a kupiwszy trumnę, przy pomocy służby kościelnej ciało nieszczęśliwej dziewczyny do trumny téj złożyliśmy i następnie przenieśli je do kościoła, gdzie nazajutrz miejscowy proboszcz, w obec zgromadzonych kolegów moich i żołnierzy z mojej kompanii, odprawił solenne żałobne nabożeństwo za jej duszę.

Ciało Marietty, wyrzucone falami wody na lewy brzeg jeziora w Lazise, spoczęło na cmentarzu tego miasteczka, a nad grobem jej wznosi się krzyż kamienny z krótkim napisem:

„Tu leży Marietta z Limone utopiona w jeziorze przez wojska piemonckie r. 1859.

„Cześć jej pamięci“.

XII.

Po bitwie pod Solferino, nim jeszcze punkta przedugodne pokoju w Villafranca podpisane zostały, batalion nasz wysłano na lewy brzeg jeziora Garda, by na przestrzeni górzystej między Adygą a Pontone, gdzie także znajdował się jeden batalion z brygady generał-majora Galla, aż do Lazise nad jeziorem Garda, utworzyć łańcuch przednich straży. Sztab batalionu naszego wraz z jedną kompanią pomieszczony był w Rivoli; inne zaś oddziały w Sega na prawym brzegu Adygi, w Cavajon, Contrada, Incanale i Lazise.

Linia czat przednich naszego batalionu ciągnęła się od drogi prowadzącej z Sega na południe a łączącej się z drogą wiodącą do Pastrengo, gdzie obóz stał dziesiąty batalion strzelców francuskich d'Orléans; dalej drogą wiodącą do Lazise, wzdłuż tej ostatniej, między gęstemi zaroślami leszczyny.

Z wyniosłego nieco pagórka, znajdującego się

w obrębie czat przednich, rozpościęrał się piękny widok na równiny lombardzkie. Nalewo, pośród szczytów olbrzymich czarnych cyprysów, widać było ruiny zamku w Pastrengo, u stóp których wznosiła się wspinała, smukła wieżyca kościelna. Tu i owdzie z pośród gajów pomarańcz i cytryn widniały białe ściany domków wieśniaczych, a cokolwiek dalej, na pochyłości pagórka uwieńczonego cyprysami, rozsiadł się obóz francuski, błyszczący swemi namiotami.

Środkiem ciągnęła się długa i nieprzejrzana równina, zasiana ogrodami i pojedynczemi domkami. Dalej na prawo był znowu pagórek z laskiem cyprysowym, i tu znajdował się drugi obóz francuski żuawów i jednego batalionu legii cudzoziemskiej. Ostatecznie zaś zupełnie na prawo, piękna willa hr. Lodrone, otoczona gajem oliwnym, a szczyty ruin zamku w Lazise zamykały ten piękny widnokrąg, pelen światła i ciepła.

Zakwaterowany w Lazise, w willi hrabiego Barberini, całemi dniami rozkoszowałem się przepysznyim widokiem, z balkonu mojej kwatery.

Willa wznosiła się nad samém jeziorem, balkon z mego pokoju zwięszał się nad błękitnemi falami, ogród, choć niewielki ale gustownie urządzone, leżał między willą a starożytnemi ruinami zameczyska.

Do ogrodu i ruin zamkowych z balkonu prowadziły wygodne schody.

Widok z tego miejsca był precudny. Jezioro, otoczone górami, jakby ujęte w ramy szmaragdowe, rozciągało się w kilkomiłowój przestrzeni; na lewo

śród sitowia na niezmierzonej równinie i na tle cudownego włoskiego nieba, słabo rysowały się mury i wieże Peschierzy; w głębi przed nami, jakby z powierzchni jeziora, wznosiły się olbrzymie góry, u stóp których widać Sermioue, Saló i inne pobrażne miasteczka; dalej na prawo, w głębi, widać górę, która formacją grzbietu swego przypomina profil Napoleona I; na samym zaś końcu widnokregu, na prawo, Limone z swemi ogrodami, skały i góry.

Razu jednego, nasyciwszy się pysznym widokiem, szedłem po kamiennych schodach do ogrodu i dla ochrony przed palącymi promieniami słońca, wszedłem w obręb ruin zamczyska.

Piękne i wspaniałe te ruiny zachowują na sobie wybitnie styli romański. Przeszedłem bramę zamkową, ponad którą pomieszczona była tarcza kamienna z herbowymi znakami; wszedłem dalej na niewielki dziedzińczyk, okolony gmachami dwupiętrowymi. Część dolna, cała arkadowana, tworzyła rodzaj krużganków; na prawo od bramy wznosiła się wysoka czworogranna wieża, znacznie uszkodzona, a fundamenta téj wieży, od strony jeziora, kąpały się w nurtach wody. Mury, czarne i porośnięte mchem, nadzwyczaj ponuro wyglądały.

W głębi, naprzeciw bramy, mieściły się bardzo obszerne i wspaniałe niegdyś schody, prowadzące na wyższe piętra, z kądem po krętych marmurowych stopniach można było dostać się na szczyt wieżycy.

Tu obok wieżycy, zauważyłem w jednej ze ścian, świeżo otynkowanej, całe okna i drzwi.

Zaciekawiony tém, zbliżyłem się do drzwi na wół przymkniętych i wszedłem do wnętrza obszernéj izby zamieszkałej. W głębi, we framudze okiennéj, z kąd rozlegał się widok na jezioro, siedział strzelec zajęty naprawą siéci.

— Pozwólcie, mój panie, rzekłem, wchodząc do izby, że obejrzę to zamczysko, a nawet, jeżeli mogę prosić, racz mię pan, jako miejscowy, oprowadzić po ruinach. Bardzo piękne to zwałiska.

— A tak! bardzo piękne! odparł starzec, powstając z siedzenia, i dystyngowanym ruchem ręki zaprosił mnie do zajęcia miejsca obok siebie.

— Jestem tu w willi hrabiego na kwaterze, mówiłem dalej siadając, i jak wnoszę to pan tu mieszka?

— Tak, mieszkam tu od lat bardzo wielu; odparł starzec wpatrując się we mnie uważnie; ale nim panu pokażę ruiny i ich dzieje opowiem, opowiem panu piérwéj moje dzieje!

— Bardzo rad będę z tego! zawołałem podając staremu cygaro.

— Nazywam się Beppo di Gondolfo Romano e di Sermione, mówił starzec, zapalając podane sobie cygaro. Urodziłem się tu, w tym zamku, który wraz z otoczeniem należał do mego ojca, jako potomka dawnych panów tego miejsca. Mój ojciec, mimo że był potomkiem wielkiego rodu, nie posiadał nic tylko te ruiny i zacne imię; trudnił się więc handlem i połowem ryb. Dobrze mu się działo. Ja urodziłem się tu, w téj izbie, r. 1772; byłem jedynakiem, mimo to je-

dnak, z chwilą, w której generał Bonaparte ogłosił rzeczpospolitą cysalpińską, wstąpiłem w szeregi jego armii i brałem we wszystkich walkach udział, we Włoszech, w Hiszpanii, gdzie pod Biskają otrzymał krzyż legii honorowej i został oficerem. Ranny wróciłem do rodzinnego gniazda, lecz matki już nie zastałem; wyzdrowiawszy, znowu poszedłem do armii, i jako kapitan walczyłem pod Jeną i Austerlitz, później pod Smoleńskiem i Moskwą a jako major pod Berezyną ranny, dostałem się szczęśliwie do Warszawy, gdzie długi czas leżał w lazarecie. Wyszedłszy z lazaretu czas jakiś błąkałem się po kraju waszym, bo wiem, mówiono mi to, że pan oficer jest Polakiem, i wtedy, w pobliżu Warszawy, w wiosce K....., poznałem śliczną młodziuchną dziewczeczkę, jedyną córkę właściciela tego majątku. Niebawem, bo w trzy miesiące później, byłem jej mężem. Byłem szczęśliwy przez rok cały, gdy oto nagle dostałem wiadomość od ojca, że pragnie mnie widzieć wraz z żoną przed swoją śmiercią, że jest bardzo słaby i żebym z przyjazdem się śpieszył. Ruszyłem więc do kraju mego wraz z żoną. Przybywszy tutaj zastałem ojca jeszcze przy życiu. W dni parę później ciało mego rodzica spoczęło obok przodków swoich. Po śmierci ojca zająłem się interesami, które zastałem w bardzo dobrym stanie i przyznać muszę, że prowadząc je dalej, coraz świetniejsze odnosiłem korzyści. Tak rybołówstwo jako też i handel mój rybami, znacznie rozszerzyłem; słowem byłem bogaty i szczęśliwy!

„W parę miesięcy po śmierci ojca, Bóg pobło-

gosławił nasz związek i dał nam syna. Do szczęścia zupełnego nic więcej nie było nam trzeba. Gdy oto naraz, nowe zaburzenia krajowe przyprowadziły mnie do straty całego mienia, — nadto umarł mi najprzód syn, a wreszcie i żona, tęskniąc za swą ojczystą ziemią! I zostałem sam! Ostatni z rodu Gondolfów! I ten herb, co pan widzisz nad bramą, na grobie moim będzie strzaskany!

— Jakto? zapytałem, czyż zamek ten oddawna należy do przodków majora?

— Tak panie! właścicielami zamku tego od wieków byli Gondolfowie, mówił dalej stary weteran. Ze śmiercią żony i syna odbiegła mnie ochota do pracy; zamknąłem się w tych ruinach i żyję z zarobku, naprawiam sieci. Tak panie! ja ostatni potomek świetnej rodziny książąt Gondolfo, panów udzielnych na Lazise i Sermione, ja major kirasyerów cesarza Napoleona I, kawaler legii honorowej, żelaznej korony św. Maurycego, chcąc ratować się od śmierci głodowej, stałem się wyrobnikiem, żebrakiem!

— Majorze! zawołałem, to cię nie hańbi; owszem zaszczyt ci przynosi!

— Zapewne, zapewne! ale co mi po tym zaszczycie, kiedy opuścili mnie wszyscy i ja zostałem sam jeden, ostatni! Lecz dajmy temu pokój; opowiem ci dzieje tego zamczyska, a potem pokażę jego wnętrze; są tu jeszcze piękne rzeczy do widzenia!

— Z miłą chęcią słucham majora, odparłem, siadając wygodnie w framudze otworzonego okna.

— Byłeś pan zapewne w Weronie i musiałeś

tam widziéć wspaniały pomnik Scaligerów? mówił stazec: otóż dzieje tego zamku są z dziejami tych ludzi związane! Zamek ten, od początku zatargów i walk gwelfów z gibelinami, był własnością rodziny patrycyuszów werońskich Gondolfów-Romano, należących do stronnictwa gibelinów. Rodzina ta nosiła także tytuł książąt di Lazise. Otóż r. 1260, po krwawych bojach, po zrzuceniu tyranów i wymordowaniu panów z Treviso, na czele rządu w Weronie stanął Enzelini Romano, sprzyjający Gibelinom; lecz niebawem, bo tegoż roku jeszcze, przez Mastina della Scala Scaligeri, zwanego Cangrande, został z zajmowanego stanowiska zrzucony. We dwa lata później, Mastino ogłoszony kapitanem ludu (Capitano del popolo) był założycielem potęgi i sławy rodziny della Scala Scaligerów. Enzelini Romano miał dwu braci, Beppa di Gondolfo-Romano, ducca di Lazise, i Mattea di Gondolfo-Romano, ducca di Sermione.

„Matteo był moim w prostéj linii naddziadem. Po zrzuceniu Enzelina z władzy, tenże odebrał sobie życie, przekazując bratu swemu Beppowi krwawy odwet Scaligerom. Beppo święcie wypełnił to co mu polecono!

„Mastino, jako młodzieniec jeszcze, był giermkim na dworze Beppa i wtedy to zapłonął szaloną miłością do Giovanny, córki jego. Zostawszy kapitanem ludu, Mastino wiedział, że jest przez Giovannę również kochany; zażądał więc od ojca jéj ręki; lecz Beppo nie tylko że odmówił mu jéj, ale nadto zagroził, że jeżeli poważy się nogą stanąć w posiadło-

ściach jego, to każe go pochwycić i rzucić psom na pożarcie. Mastino śmiał się z tego i groźbą Beppa wcale niezrażony, poraz drugi zażądał zgody i ręki Giovanny. Beppo znowu odmówił, dodając, że uzurpator Werony, zdradziecki gwelf Mastino della Scala, wtedy tylko córkę Beppa di Gondolfo, gibellina, za żonę dostanie, gdy poważy się po trupie jej ojca przekroczyć.

„Mastino, nadzwyczaj odważny, mało dbający o następstwa i zaślepiony szaloną miłością do Giovanny, postanowił kochankę swą z rąk jej ojca przemocą wydrzeć. Niebawem też z licznym poczem stronników swoich uderzył na zamek Beppa. Straszliwa była to walka. Beppo dzielnie się bronił. Mastino ze swoimi potrzykroć wdzierał się na mury i potrzykroć był z nich zrzucany, aż naraz nadciągnął Alberto della Scala, brat Mastina, ze swoimi stronnikami. I wtedy to Mastino uderzył po raz czwarty na zamek i pierwszy z toporem w ręku przekroczył bramę zamkową. Beppo, zobaczywszy to, lotem błyskawicy rzucił się do komnat swjej córki i porwawszy ją na ramiona, wybiegł na szczyt wieży, która kąpie swe stopy w falach jeziora.

„Uchodząc przed pogonią Mastina, Beppo zatrzymał za sobą drzwi żelazne, prowadzące na schody wieży. Niebawem Mastino drzwi żelazne wyrąbał i rzucił się na schody, przekonany, że tam na platformie wydrze córkę starcowi.

„W chwili, w której Mastino na platformę wchodził, Beppo imponującym ruchem ręki wstrzymał go

w zapędzie. Noc była straszliwa, luna palącego się zamku oświetlała krwawo całe otoczenie, gromami brzemienne chmury zwisały się ponad jeziorem, miotaném straszliwemi podmuchy sovera. Wicher szumiał i wył, jezioro groźnie ryczało, a krzyk i wrzawa walczących podnosiły grozę téj strasznej nocy.

„— Stój! zawołał Beppo, żądasz bym ci dał córkę?

„— Tak; żądam i proszę! odparł Mastino.

„— Ha! panie della Scala! nie tędy droga po rękę méj Giovanni, nie tędy! tam na dole dostaniecie ją! i mówiąc te słowa, Beppo, z nadludzką siłą podniósł swą córkę i jednym zamachem przerzucił przez parapet wieży.

„Rozdzierający krzyk i plusk wody były wskazówką jaki los spotkał nieszczęśliwą Giovanę.

„— Mości kapitanie ludu! zawołał postępując naprzód Beppo, za lat dziesięć połączycie się oboje, lecz pamiętaj, że kto jaką bronią wojuje, od takiéjże ginie! a teraz bądź przeklęty!

„Mastino, opamiętawszy się z przerażenia, jakie nim owładnęło, rzucił się na Beppę i po krótkiej walce położył go trupem u nóg swoich.

„W lat dziesięć później, r. 1279., Mastino został zamordowany przez brata swego Alberta, który po nim władzę Signorii objął.

„Od owéj chwili lud wieżę zamku Lazise nazywał *Torre del maledizione*. I prawda, jest ona wieżą przekleństwa!

„Mój pra-praszczur Matteo miał syna Pietra

Antonia i Carla Beppa, od którego ja pochodzę.

„W lat 600 później, ja, ostatni z rodu, zrodzony w tej wieży przekleństwa, w niej też schodzę ze swiata! Oto dzieje tego zamku i mego rodu; a teraz, do-
dał starzec, powstając, chodź pan, pokażę ci pamiątki, jakie tu jeszcze przechowały się“.

W milczeniu głębokim weszliśmy na górne piętro, gdzie w kilku dosyć dobrze zachowanych komnatach ściany były ozdobione freskami. W komnacie narożnej, tuż obok wieży pomieszczonej, a szczelnie zamkniętej na klucz, który był w posiadaniu majora, znajdowały się symetrycznie na ścianach rozwieszone halabardy, łuki, koncerze, koszulki druciane i hełmy oraz kilka portretów, przedstawiających przodków majora. W pośrodku tej komnaty, na marmurowej płycie pod szklaną osłoną, leżał misternie rzeźbiony szept, krótki mieczyk, żelazna koszulka i także czapeczka, zdobna herbem Gondolfów. Były to pamiątki po Beppie.

Z wieży rozwijał się widok precudny, którym przez czas dłuższy w milczeniu się nasyciałem,

Zwiedziwszy ruiny od podziemi aż do góry i po-
żegnawszy sędziwego weterana, wróciłem do swojej kwatery, gdzie jeszcze długo rozmyślał nad piękną choć groźną tradycją zamku.

We dwa tygodnie później, będąc już w Besenello pod Volano, od miejscowego proboszcza ks. Boromeusza Mattei dowiedziałem się, że major Beppo di

Gondolfo Romano, ducca di Sermione, nagle życie zakończył, i że ciało jego z możliwą ostentacją w grobach rodzinnych w Lazise, obok żony i syna jego, pochowano.

XIII.

Po skończonej kampanii uzyskałem parumiesięczny urlop, i już jako nadporucznik (sztabskapitan, posunięty na ten stopień jeszcze 1 lipca 1859 r.) przez Werone i Wenecją w październiku z Roveretto ruszyłem ku Galicyi. Zatrzymałem się dni kilka w Wiedniu, i ztąd wraz z b. moim pułkownikiem a teraz już generał-majorem Watervlietem van Verannemanem podążyliśmy do majątku ojca mego w powiecie Rawy ruskiej.

W przejeździe przez Kraków, zatrzymaliśmy się tam dwa czy trzy dni; i wtedy to przypomniały się mi te rozkoszne chwile, jakiem tu spędzałem w latach 1855, 1856 i 1857. Przypomniała mi się kwatera moja na Kleparzu u zacnego obywatela krakowskiego, pana Milera; dalej pobyt mój dwu czy też trzymiesięczny w Witkowicach, gdzie z panem Szulcem, stryjem dzierżawczyni tego majątku, w zrujnowanej kaplicy ogrodowej, ozdobionej tablicą marmurową z na-

pisem że wznioł ją biskup Bodzenta, nocami wywoływaliśmy duchy i zabawiali się modnemi naówczas eksperymentami stolików wirujących; przypomniał mi się ow parudniowy pobyt mój (w grudniu 1856 r.) w mogiłskim klasztorze O. O. Cystersów, gdzie poznał i łaskawie był przyjmowany przez zamieszkującego tam ks. Wojtarowicza, biskupa tarnowskiego; przypomniałem sobie owe arcynudne réuniony u prezydenta okręgu krakowskiego barona Mertensa, na których gromadziła się tylko sama biurokracya i wojskowość, t. j. sami reprezentanci narodowości niemieckiej; owe bale i maskarady, a szczególnie jedna, na której, wraz z dwiema córkami pułkownika, cały korpus oficerski krakowskiego garnizonu a mianowicie kapitana Sabliaka (który 1854 r., kwaterując w Uhnowie. poznał się z panną Aleksandrą K., córką właściciela sąsiedniego majątku Machnów, i o jej rękę się starał), i wielu ze znajomych Krakowiaków straszliwie intrygowałem, w stroju doktora Bartolo; później przypomniałem sobie świetne bale za przybyciem na posadę prezydenta hrabiego Clam-Martinitza, dawane przez niego, na których poznałem całe towarzystwo, i owe z piękności słynące dwie siostry panny Leśniewskie (dziś już zapewne obie zamężne). Po tylu latach niebytności w Krakowie, wszystko to żywo mi w pamięci stanęło, owe kuligi, owe wycieczki do Czerny, urządzone przez naszego majora hr. Westerstäden który pod Magentą r. 1850 ciężko był ranny; owe wachtparady na placu przed Sukiennicami, odbywane

w obecności komendanta korpusu feldmarszałka-porucznika barona Parot'a; owe zabawy na strzelnicy w ogrodzie strzeleckim, urządzone przez następcę jego feldmarszałka porucznika hrabiego Leiningen, człowieka nadzwyczaj popularnego i przez ogół lubianego tak, że pogrzeb jego należał do najwspanialszych w Krakowie. Kiedy już mowa o hr. Leiningen, to niepodobna nie wspomnieć i jego następcy, barona Barko, który był bardzo rubaszny a nawet troszeczkę narwany, lecz który mimo tego należał do rzędu ludzi wysokiej prawości i zacności.

Opuściliśmy nareszcie Kraków, i na Jarosław, Oleszyce, Cieszanów i Narol przybyliśmy do Lubiczy.

W Oleszycach zatrzymaliśmy się, chcąc dać koniom parę chwil wypoczynku; sami zaś poszliśmy do zamku, niegdyś czasowej siedziby Jana III, i tu zwiędziliśmy pokoje, zdobne w starożytne meble, piękne obrazy i rzeźby. Ogród otaczający ten zamek słynie z najpiękniejszych alei grabowych, a drzewa te, sadzone przez króla Jana III, mają być najwyższe w całej Europie.

Przybywszy do Lubiczy całą jesień i zimę spędziliśmy na polowaniach i wycieczkach w sąsiedztwa. Na wiosnę generał powrócił do Wiednia, ja zaś dopiero w pierwszych dniach lipca opuściłem dom rodzicielski, dążąc do Komorna.

Tu rozpoczęło się życie dziwnie beczynne. Wojsko było rozpuszczone na urlopy, i pozostała tylko mała garstka do pełnienia niezbędnej służby fortecznej. Oficerów zaś było coniemniara, tak że w je-

dniej kompanii, składającej się z feldfebla, 8 podoficerów, 8 gefreiterów i 20 szeregowców było aż 3 kapitanów, 4 nadporuczników, 4 poruczników i 4 podporuczników. Z tego pojąć można, że wszyscy razem wzięwszy, nie do roboty nie mieliśmy. Korzystając więc z okazji, znowu puściłem się na wędrówkę po kraju, pragnąc Węgry poznać gruntownie.

W Kis-Kanisa (Kisz-Kanisza) nad Cisą, siedzi-
bie rybaków, zatrzymałem się dni parę, celem pozna-
nia życia i zwyczajów tych ludzi.

Wieczorami, nad brzegiem rzeki szuwarem za-
rosłej, zapatrzyłem się w dal. Gdzieniegdzie tuż nad
rzeką rośnie wierzba, i kąpie swoje wiotkie gałązki
w głębinach wód; promień księżyca, który się prze-
kradł pomiędzy szuwarami, osrébrzył powierzchnię
rzeki leniwo płynącej, a z pośród sitowia od czasu do
czasu dolatuje monotonny głos chruściela, i nawoły-
wanie spłoszonych kaczek. Śród zarośli nadbrzeż-
nych żywy płonął ogień, oświetlając dwie postacie,
które się krzątały koło wieczerzy. Na falach u brze-
gu kołysała się łódka. Noc była spokojna i ciepła,
najłżejszy wietrzyk sitowiem i liściem drzew nie po-
ruszał. Milczenie było głębokie, cała natura spała.

Wtém od ogniska przygasającego zabrzmiała pio-
senka, pełna rzewności i tęsknoty:

Zwinna rybka na wód toni
W zradne sieci łowi się;
Twe spojrzenie co mnie goni
Piękne dziewczę, złowi mnie!

I błękitne oczy twoje,
 Ten uroczy bogów dar,
 Już złowiły seree moje
 I rzuciły na mnie czar! (*)

Gdy przebrzmiała piosenka, niesiona po falach przez echo, rozległ się plusk wody poruszonej wiosłem, i po ciemnej toni Cisy pomknęła łódka, kierowana wprawną i silną dłonią młodego rybaka, u boku którego tuliła się nadobna dziewczoja.

Harmad Ferenc, wraz z ukochaną przybił do brzegu i ściągawszy sieci, pośpieszył ku bliskiej wiosce.

Nazajutrz gospodarz mój, ojciec Ferenc, z widoczną radością oznajmił mi, że syn jego ma się żenić z córką bogatego wójta (*biro*) i że dziś nastąpić mają zaręczyny, na które i mnie zaprasza. Naturalnie, że zaprosiny te chętnie przyjąłem i wnet ze starym Harmadem, podążyliśmy do domu wójta, starego Ferdeség Atilla, gdzie zgromadzeni już goście oczekiwali przybycia ojca narzeczonego. Niebrakło tam nikogo: był proboszcz miejscowy, swach (*kérö*) i druźbowie (*vöfel*, druźba), świadkowie (*bizonyság*, świadek), nieodzowny mówca (*szónok*), organista (*orgónás*), niemniej notaryusz (*jegyző*), który miał spisać intercyzę przedślubną i akt zaręczynowy; brak tylko było jeszcze jednej najważniejszej osoby, bez której zaręczyny odbyć

(*) Pieśń ludowa; „*Fényon ó kis, hamar hal!*“

się nie mogły a mianowicie brak było narzeczonego. Po długim oczekiwaniu nareszcie zjawił się Ferenc.

— *Kéz Kezet mas!* (*) zawołał mówca, mężczyzna w średnim wieku, silnie zbudowany i postaci imponującej, z chwilą w której Ferenc wszedł do izby. Jak dwie ręce oddają sobie wzajemną usługę i łączą się z sobą, ażeby oczyścić się z brudu, tak też i ludzie łączą się z sobą, aby wzajemnie sobie służyć i dopomagać. Jak świat szeroki i daleki, jak daleko sięga ludzka mowa, jak daleko złote słońce świeci, tak daleko i szeroko ludzie z ludźmi się łączą, tworzą rodziny i chowają swe dzieci na pożytek kraju i chwałę Boga! Wiadomo, że jak Bóg stworzył świat i od końca do końca zapełnił go zwierzętami, tak wtedy przyszły do Nego zwierzęta z prośbą, aby dał im człowieka, któryby był ich władcą! I Pan Bóg wysłuchał ich prośby, i stworzył pierwszego człowieka, lecz gdy tenże począł się nudzić, blakając się sam jeden po świecie, wtedy Bóg dał mu za towarzysza kobietę, i połączył ich razem! Otóż tak samo i dziś się dzieje! *Egy fecske nem csinál tavaszt, egy szalfa nem erdő!* (**) Jeden człowiek jest jak krzew winny bez podpory; dlatego też każdy starać się powinien znaleźć sobie towarzysza. *Több szem többet lát!* (***) Dlatego też

(*) Ręka rękę myje, a obie myją twarz (przysłowie węgierskie.)

(**) Jeden palec nie jest ręką, jedna cegła nie jest murem. (przysłowie węgierskie.)

(***) Cztery oczy widzą więcej niż dwoje (przysł. węg.).

przyjaciel mój Harmad Ferenc zapragnął dozgonnego towarzysza i wezwał mnie, abym mu go wyszukał. Przeszedłem całe Węgry wdluż i wszérz, byłem na północy i południu, na wschodzie i zachodzie, lecz nigdzie nie mogłem znaleźć tego com szukał; powróciłem téż tu do wsi naszój i zwątpiłem już, abym mógł za- dość uczynić pragnieniu przyjaciela mego, i przekona- łem się, że *Mindenutt jó de legjob, otthon* (*), gdyż oto znalazłem to czego szukał! Znalazłem towarzysza, który gdy poda rękę przyjacielowi memu, spełni tyl- ko to co Bóg przykazał; będzie oczyma jego oczu, du- szą jego duszy, myślą jego myśli! Znalazłem i przy- chodzę wedle starego zwyczaju z chlebem i winem prosić Was, Ferdeseg Attila uram! dajcie memu przyjacielowi tego towarzysza, którego u was znala- złem! Znany jest wam Harmad Ferenc, który tu przed Wami Ferdeseg uram stoi! Rybak to jak ma- ło, wié gdzie jaką rybę złowić, wié jak siéci pleść, jak wędki i więcierze zastawiać; to téż obfite ma zawsze połowy, a przy pracy swój, ani głodu ani nędzy się nie boi! Ojcowie jego zapragnęli widziéć go na wła- sném gospodarstwie, zapragnęli, aby pod strzechę swój chaty wprowadził sobie dozgonnego towarzysza, i wy- brali mu go w osobie córki waszój Eleny. Przycho- dzę więc prosić Was, abyscie dali mu ją! Sam stoi tu przed wami i chyli się do kolan waszych, panie ojcze! i niemym pokłonem popiéra moją prośbę! Jak

(*) Wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej. (przysł. węg.)

róża bez słońca i ciepła, jak ptak bez powietrza a ryba bez wody żyć nie mogą, tak i Ferenc żyć nie może bez Eleny!

Tu mówiący przerwał swoją oracyą, nalawszy spory puchar przyniesioném z sobą winem, takowy podał staremu wójtowi i tak dalej mówić począł:

— Jak w tém winie niéma kropli wody, lecz czysty sok jagód winnych, tak przyjmijcie z czystém sercem ofiarowany wam ten puchar i spełniając go, przychylcie się do prośby mego przyjaciela! A ile kropel tu wina, tyle szczęścia spłynie na was i waszą córkę! Bo i któż umie lepiej uprawiać winnice? któż jest najlepszym synem? któż nie jest próżniakiem? oto mój przyjaciel Ferenc! Któż kochał najbardziej córkę waszą Elenę? oto przyjaciel mój Ferenc! Któż będzie najlepszym zięciem? oto przyjaciel mój Ferenc! A teraz czekam odpowiedzi Waszój, czekam abyście ten puchar wina do dna spełnili, bo nie chcę *Elöre meginni a medvebör árát!* (*)

Stary Ferdeseg, nie rzekłszy i słowa, wziął podany sobie puchar, spełnił jednym tchem do dna i wywróciwszy dnem do góry, postawił go przed sobą.

— A więc! zawołał mówca, prośba moja spełniona! Gorące pragnienia Ferencza zostają ziszczone! Zbliź się, młodzieńcze, i padnij do nóg ojcu twój wybranój, bo oto daje ci swój skarb najdroższy! daje ci córkę swą Elenę. A ty, dziewico, podaj swemu przy-

(*) Robić rachunku bez gospodarza (przysł. węgierskie).

szlemu rękę i idźcie odtąd razem jedną drogą pracy i uczciwości, a łącząc się wspierajcie się wzajem, bądźcie sobie podporą, bądźcie owym krzewem winnym, co obfite daje owoce!

Tu mówca skłonił się staremu Ferdesegowi, Elenie i wszystkim zgromadzonemu.

— Przechacni i łaskawi sąsiedzi i goście moi, ozwał się po chwili Ferdese Atilla, stając w środku izby; najprzód winienem, wedle starego obyczaju, podziękować wam, że zadosyćczyniac memu zaproszeniu raczyliście się tu zebrać, ażeby być obecnymi téj wielkiej uroczystości! Ile więc gwiazd na niebios błękicie, ile ryb i rybek w rzekach Węgier całych, ile kwiatów i trawek na polach naszych, tyle życzę wam szczęścia i tyle rozkoszy w życiu całym! Tobie zaś tłumaczu myśli Ferencza Harmad, tobie, zacny przyjacielu i bracie, inaczej odwdziżyć się nie mogę jak spełniając ten puhar na szczęście twoje! A ty, Harmad Ferencu i ty Eleno, połączcie wasze dłonie i życie ku chwale Bożej, pociesze mojej i pożytkowi kraju całego! Pamiętajcie, że łącząc się, tworzycie nowe ogniwo łańcucha, który stanowi naszą społeczność, pamiętajcie, że spełniając święcie obowiązki, jakie na was ciążyć będą, dopełnicie tylko tego co jako Węgrzy spełnić winniście. Kochajcie Boga, kochajcie kraj swój, i pamiętajcie zawsze i wszędzie, że jesteście dziećmi téj ziemi! Boże, błogosław wam!

Po téj serdecznej i żywo wypowiedzianej mowie stary Ferdese, połączywszy ręce narzeczonych, wraz z niemi zbliżył się do proboszcza, który, przyodziany

w komzę i stułę, nad młodą parą odmówił modlitwę, a pobłogosławiwszy ich, święconą wodą pokropił.

Wtedy notaryusz, człowiek już niemłody, założywszy na potężny nos okulary, odczytał akt zaręczynowy, który narzeczeni z ojcem i obecnymi podpisali.

Gdy nareszcie i intercyza podpisana została, na znak dany przez gospodarza domu ozwały się w sąsiedniej izbie cymbały, skrzypce i basetla. Dziarski esardas ochoczą młodzież powołał do tańca!

Obszerny dziedziniec przed chatą wójtową wnet zamienił się na balową salę.

Już słońce ku zachodowi się chyliło, gdy tak w chacie jako téż i przed nią zastawiono stoły dla biesiadników. Na wesołej pogawędce przy pełnych szklankach złotobarwnego wina, upłynęło parę godzin. Gdy oto na raz na beczkę do góry dnem przewróconą wstąpił znany już nam mówca, i w długiej kwiecistej mowie, przeplatanéj mnóstwem przysłów i przypowieści, wychwalać zaczął rządność i pracowitość Ferenca; gdy mowę skończył, miejsce jego zajął niezwłocznie swach, który prawił wiele o przyszłym szczęściu narzeczonych. Po swachu wystąpił z mową, naszpikowaną łacińskimi cytatami, organista, który dobrze mówił lecz lepiej jeszcze z dzbana pociągał. Znowu nastąpiły mowa po mowie pełne różnych alluzyj i porównań, wygłaszane z coraz większą energią i coraz większym zapalem; ale gdy wszyscy mówić pragnęli a końca mów oficjalnych mówców doczekać się nie mogli, przy każdym więc biesiadniczym stole co chwila

ktoś powstawał, wyłaził na ławę i ciał mowę siarczystą.

Już to wiedzieć trzeba, że biesiady węgierskie bez mówców i mów obyć się nie mogą a nawet i wtedy, gdy zgromadzi się trzech lub czterech przy jednym stole, i wtedy nie brak mów i mówek różnej treści! Pamiętam raz w zimie, będąc z Komorna wysłany na dni 14 z oddziałem do spełniania służby w twierdzy zwanej Sandberg, codziennie chodziłem z twierdzy (blisko $\frac{1}{2}$ mili) na obiad do dworca kolei w Uj-Szöny. Pewnego dnia poznałem się tam w czasie obiadu z p. Holo-sy, Węgrem, obywatelem z pod Uj-Szöny, panem Saugy, szwajcarem z kantonu genewskiego, inżynierem kolei, i p. Kreeft, angielskim agentem jakiejś fabryki szyn kolejowych. Ku końcowi obiadu p. Holosy wystąpił z mową po węgiersku i za jego przykładem każdy z nas palnął oracyjkę w swoim narodowym języku, a że czterech mówek byłoby za mało, więc ćwiczenia oratorskie powtórzyliśmy kilkakrotnie. Co kraj to obyczaj!

Wracając do owych zaręczyn dodać muszę na zakończenie, że zabawa przeciągnęła się do dnia białego, i że ja dnia następnego dopiero Kis-Kanisę opuściłem. Na odjeździe Ferenc z ojcem starym wójtem, Eleną i kilku biesiadnikami żegnali mnie serdecznie a przy spełnianiu pożegnalnych toastów znów nie obyło się bez mówek.

Naturalnie, że i ja musiałem dziękując palnąć

mowę, która tak się podobała, że poczciwi ludziska na ręce mnie podnieśli, krzycząc:

„*Eljen Lengyel ember, eljen magyaröl barátom!*
Eljen Lengyel ország!“

XIV.

Kraj czaru i uroku, kraj pełen słonecznych promieni, balsamicznej woni, przerznięty modrym Dunajem, który jak srebrzysty wąż legendowy, wśród żyznych łąk i zielonych łąk, uroczeni przewija się zakręty, owa starożytna Pannonia, siedziba Awarów, wywierała zawsze na mnie niewypowiedziane uczucie błogości czaru, i uroku. Nie wiem zaprawdę co było przyczyną, że kraj ten i jego mieszkańców polubiłem, i do dziś jeszcze za nimi tęsknię i o nich marzę! Czyżbym, poznawszy tę krainę, uległ czarom jakiej czarnookiej madjarki? Czyż może królowa Ilka lub też Delibaba rzuciły na mnie urok, i przykuły mnie do tej ziemi, do jej mieszkańców, swemi niewidzialnymi więzami? Naprawdę staram się dojść przyczyny, naprawdę!

Węgrzy, naród poczciwy, szlachetny, gorąco kochający swą ziemię, naród prawy, nieznający obłudy, wytrwale dążący do wytkniętego celu, pamiętający i szanujący przeszłość swoją, umiejący kochać lecz

także i nienawidzić z całą gwałtownością tych uczuć, jest narodem moralnie i politycznie dojrzałym. Honor i prawość wszędzie i zawsze Węgrom przyświecają.

Węgier, w żyłach którego płynie gorąca krew wschodu, gdy obdarzy kogo przyjaźnią, to staje się dlań więcej niż bratem — honor przyjaciela jest mu tak drogi jak jego własny, i niema dlań poświęceń, którychby nie uczynił z przyjaźni. Życie, mienie, wszystko niesie w ofierze przyjacielowi! Zdradzony zaś w przyjaźni, zawiedziony w zaufaniu, wydzięra z serca swego pamięć niegodnego przyjaciela, i zapomina o nim. Wierny tradycjom ojców swoich, w niczem nie odstąpił od zwyczajów narodowych; śmiały, odważny, bitny i lekceważący wszelkie niebezpieczeństwa, pamięta, że takim być powinien potomek Hunyada, Zrinyiego. Szechenyich! Nieszczęśliwy bohater z pod Mohacza król Ludwik, Maciej Korwin, Stefan: oto wzory Węgra, na których kształci swą duszę!

W obec tych przymiotów zdobiących Węgrów, wszelkie ich wady są drobnostką.

Zarzuca mi niektórzy, nawet i ogół może, iż Węgry madjaryzują podległe sobie plemiona słowiańskie, uciemniają i wywyższają się nad nie, że są gorsi od osławionych synów Tusneldy; lecz przeciw temu zarzutowi odpowiem zwróceniem uwagi na dzieje wszystkich narodów świata całego, na dzieje zarówno wieków minionych jak i obecne. Słabszy duchem, umysłem, musi uleść prędzej czy później potędze ducha! Węgrzy nie chcą, aby słowianie węgierscy stali się duszą i ciałem Węgrami, aby wyrzekli się swęj słowiańsko-

ści; nie, oni pragną tylko, aby owi słowianie złączyli się z nimi i byli duszą ich duszy, myślą ich myśli, aby tak złączeni utworzyli niczem zniszczyć się niedającą społeczność, opartą na wzajemnej przyjaźni, miłości i ufności!

Horvath, Petöfy, Eötvös, Jokai, Munkacsi: oto geniusze przyświecające Węgrom, które nie dążą do uciemiężenia i zagłady Słowiańszczyzny ani słowem, ani myślą. Deak, Szatmar, Iranyi, Szalay, dali dowody co i jak myślą i czują, wykazali że siła i potęga narodów leży w zobopólném porozumieniu, i że „*Viribus unitis*“ być winno zasadą, prawem, dla mieszkańców ziem św. Stefana.

„Wielkie szczęście dla Węgier, mówi Jokai, że „graniczymy z temi narodami słowiańskimi, które „w skutek rozwoju swój literatury, miłości do swego „kraju, przywiązania do swój religii, są przyrodzonymi „nieprzyjaciółmi tych, których i my za przyjaciół uważać nie możemy i nie uważamy. W sojuszu z nimi „żyjąc, wspierając ich dążności, zapewniamy sobie byt, „zapewniamy sobie potęgę i siłę“.

Otóż gdzie jeden z najznakomitszych przedstawicieli narodu w imię jego, w obec wszystkich, w parlamencie, tak przemawia, nie można inaczej sądzić jak tylko, że naród ten nie dąży i dążyć nie może do z guby narodu drugiego, mającego te same dążności i cele.

Te i tym podobne myśli nasuwają mi się za każdym razem, ilekrotnie wspomnę sobie lata spędzone w Węgrzech.

W tym kraju podania ludowe a za nimi i poezya

są bardzo rozwinięte, i to znamionuje, że lud ten, ma w sobie siły żywotne, rokujące mu przyszłość świetną.

Wspomnienie Węgier, téj pięknej krainy, przypomina mi zawsze serdeczny wiérszyk słynnego poety Petöfiego, który tu w wiernym przekładzie podaje:

Duch moj w ślady tve pomyka,
Wiecznie, w noc i w dzień;
Tak, jak śladem podróżnika
Ciągnie głuchy cień.

Mrok się wzmaga, bo na niebie
Promień słońca zbladł;
Ból się wzmaga, bo na ciebie
Grubszy całun padł!

Ale wznosząc puchar śmiało
Wołam z braćmi w chór:
Niech tve słońce, ojców chwałą
Z ciemnych błysnie chmur!

Żywo krążą pełne czasie
I z rąk do rąk mkną.....
Gorzkie wino! — Łzy to nasze
Zamąciły dno!!

Przejęty niewysłowioném zamiłowaniem wiekowych tradycyj, przechowywanych w uścich ludu, w chwilach wolnych od zajęć służbowych przebiegałem szerokie pusty (stepy) Węgier, i chciwém uchem łowiłem tę pieśń, legendy i podania. Nieraz śród beżmiernéj pusty w przydrożnéj *csardzie* (csarda,—czarda, karczma) siedziałem na przyźbie, ze szklanicą zło-

tolsniącego wina w rękę, a patrząc na ognisście tańczonego czardasza, przy dźwięku cygańskich cymbałów, przysłuchiwałem się staremu *gaździe* (gazda fagadós, gospodarz), który zaciągając się dymem tytoniowym z krótkiej fajeczki, z przejęciem się i namaszczaniem *jövendöla* (jövendölö, wieszcz) opowiadał mi podania miejscowe, pełne fantazyi wschodniej.

Otóż wśród jednej z takich wycieczek moich po kraju, dostałem się w okolice *Mohacza*, miasteczka pamiętnego dla Węgier niejedną klęską. Na lewym brzegu Dunaju, tuż obok miasteczka *Apathin*, rozpoczynają się rozległe okopy rzymskie, które od Dunaju aż do Cisy się ciągną; tu także w pobliżu, znany kanał *Beczerski* (Beczerski-Becse), łączący Dunaj z Cisą, bierze swój początek. Do kanału tego przywiązane jest podanie, pełne wschodniego polotu myśli.

Podanie to wedle zdania Madjarów odnosi się do czasów panowania Awarów w Pannonii.

Siedząc na północnym stoku rzymskich okopów, dziś zdobnych tu i owdzie w olbrzymie krzyże, znamiona zbawienia, i spoglądając na przeciwległe bagna mohackie, które z poza *Bezdanu* widnieją a gdzie dzielny król *Ludwik* znalazł śmierć bohaterską, przysłuchiwałem się z niewysłowioną lubością opowiadaniu o powstaniu kanału *Becse*, przez lud zwanego *Csorsa* (Czorsz), ponad którym, w głębi stepów, promienie zachodzącego słońca, w dziwnie fantastycznych kształtach odbijając się, tworzą rodzaj *fatamorgany*, znaną u ludu tutejszego pod nazwą: „*Delibata*“

Csikos, puściwszy konia swego na bujną paszę

i ległszy na miękkiej murawie, wolno i z pewnym rozdzajem wewnętrznego zadowolenia i dumy zaczął opowiadać podanie o Delibabie:

„Dawno już, bardzo dawno, tak iż o tém co było pozostała tylko pamięć ludzka, nim jeszcze Atylla na téj ziemi stanął i nim Madjarzy zamieszkali tę naszą śliczną krainę, król Longobardów *Rad* zajmował Pannonią i tutaj wznosił te wały otaczające obozowisko jego. *Rad* był waleczny, postawy olbrzymiej, oblicza dzikiego, pokrytego gęstą rudą brodą. Oko jego było pełne ognia i wymowniejsze niż usta. *Rad* i towarzysze jego oddychali tylko wrzawą wojenną i jak osy z ula wybiegali z poza tych okopów, goniąc za wojennymi przygodami. Otóż dnia jednego, gdy *Rad* miał stoczyć walną bitwę z wrogami swemi, zawezwał na pomoc króla Awarów, pięknego *Csorsa*. I tam gdzie się toczą fale sinawej Cisy, *Csors* i jego Awarowie siedli na koń i jak huragan przypadli do *Rada* z pomocą. Bitwa była krótka lecz krwawa. *Rad* przy pomocy *Csorsa* pobił ostatecznie wroga i na cześć sprzymierzeńca wypił puhar wina złotem tryskającego, umacniając tém przyjaźń między niemi zawartą. Łupy wojenne, jakie się dostały zwycięzcom, wojownicy *Rada* i *Csorsa* podzielili między siebie. *Csors* tylko jeden pogardził łupami, które mu się w udziale dostały, bo zapragnął innego łupu, zapragnął otrzymać rękę córki *Rada*, nadobnej *Delibaby*.

„Uroczą dziewczica *Delibaba*, istna róża stepu, prawdziwy poranek majowy, wdziękami swemi podbi-

ła serce dzielnego wojownika, który pokochał ją gorącą, płomienną miłością, nieznającą przeszkód lub oporu. Po ukończonej walce, Csors stanął przed Radem i w te ozwał się słowa:

„—Radzie! dobry sąsiedzie i przyjacielu, władco „pięknej Pannonii; ja, dziedzic rybnych wybrzeży Cisy, „który z tobą walczyłem i piłem wino, proszę cię za- „miast tych łupów, któreś mnie wyznaczył, daj mi swą „córkę Delibabę; kocham ją całą moją duszą, całą po- „tęgą méj myśli! O nie odmawiaj mi jęj, bo przysię- „gam ci na cienie przodków mich i na ten oto mój „miecz, że chociażby niebo runąć miało na moją głowę, „choćby ziemia pod stopami memi rozstąpić się miała, „Delibaba musi być moją!“

„Delibaba, słysząc te słowa, spłonęła rumieńcem wschodzącej jutrzeńki, a serce silniej jęj uderzyło, bo i ona kochała Csorsa wielką miłością. Rad, mając inne zamiary względem swęj córki, i nie wiedząc na razie co ma odpowiedzieć Csorsowi, témbardziej że mimo okazywanęj przyjaźni, zamierzał wydrżec mu królestwo nad którém panował, rzucił więc złowrogie spojrzanie i tak się ozwał po chwili:

— „Nie sprzeciwiam się temu, zgadzam się na „twą prośbę, lecz nie posiędziesz jęj dotąd, pókad nie „przyplyniesz wodą z nad brzegów Cisy, zkąd teraz łą- „dem przybyłeś. Daj mi dowód swęj potęgi, o któręj „mówisz, a Rad od da ci swoję córkę.“

„Csors, usłyszawszy warunek postawiony przez Rada, niezwłocznie wraz z Awarami wyruszył nad Cisę. Rumak jego, biały jak śnieg, chyży jak myśl

jego pana, jednym skokiem był w domu. Niebawem po powrocie Csorsa do swęj ziemi, tam gdzie Cisa podmywa korzenie zielonęj wierzbiny, tysiące tysięcy rąk z rozkazu Csorsa poczęło rozkopywać darninę. Dniem i nocą praca nie ustawała, i jakby na skinienie różeczki czarodziejskiej tworzył się głęboki kanał od Cisy aż do Dunaju. Oko Csorsa bacznie śledziło postępy pracy, a gdy robotnicy upadali ze znużenia, wtedy jego słowa zachęty budziły nową w nich siłę.

„Piękna Delibaba z westchnieniem spoglądała ku wschodowi. Nadzieja, obawa i miłość miotały na przemiany jęj duszą.

„Po nocy bezsennęj, gdy zorza poranna od wschodu świtać zaczynała, wtedy sen spływał na jęj powieki i widziała świat czarodziejski, pełen czaru i uroku, widziała Csorsa płynącego w tryumfie na łodziach lśniących od złota, po falach wód łączących Cisę z Dunajem. Lecz sen znikął, ułudne marzenie ustępowowało miejsca rzeczywistości, Csorsa nie było!!

„Biędna! daremne były jęj nadzieje, daremne oczekiwania, daremna tęsknota!

„Csors, gdy pędził na swoim wiatronogim ruma-ku wzdłuż kanału bliskiego ukończenia, naraz padł ugodzony gromem zesłanym przez bogów, którzy ukarać go chcieli za śmiałość i sprzeciwianie się ich woli.

„Wiadomość o śmierci Csorsa spadła jak grom na nieszczęśliwą Delibabę! I ten cudowny kwiat stepowy został w jednęj chwili złamany: skonała lekko jak majowy wietrzyk poranny.

„I odtąd kiedy słońce sieje swe promienie po nieskończonym widnokręgu, chyląc się ku zachodowi, wtedy Delibaba powraca, drżąca, nieśmiała, rozwija skrzydła powietrzne i krążąc ponad stepami, szuka mogiły Csorsa, a nie mogąc jój znaleźć, szeroką pustę skrapia łzami, które jak drobniuchne perełki brylantów zwiędzają się na listkach i trawkach, i marzy o śnie błogim, uroczym, który niegdyś miała, i czeka przybycia kochanka, bo wody zapełniły kanał Csorsa.“

Csikos zamilkł, ukończył opowiadanie a w głębi ponad bezmierną równiną w odbłasku promieni zachodzącego słońca ukazało się jakieś fatamorganiczne zjawisko o formach nieokreślonych, lecz świetlane i przejrzyste, całe otoczone strumieniami światła jakby w aureoli świętych, a niknąc powoli, w cieniach zbliżającego się nocnego mroku, z ostatnimi odbłaski zachodzącego słońca, nagle znikło tak jak i Delibaba, która swą miłość życiem przyplącała.

XV.

Stepie rodzinny, o jakżeś uroczy!
Tyś mnie kołysał, tyś krzepił swą siłą!
Kiedy mi całun zapadnie na oczy,
Przyjmij me kości i bądź mi mogiłą! (*)

Z tą zwrotką pieśni ludowej na ustach, w towarzystwie kilku przyjaciół, mieszkańców hrabstwa csanadzkiego, ciągnęliśmy przez obszerne pusty z Mezőhegyes na południe ku Nagy Lak, małej miejscinie nad rzeką Maros, wpadającą do Cisy pod Szegedynem.

Słońce wychyliło się z poza horyzontu, otoczone różowemi obłonkami. zalewając promieniami swemi całą pustę, która migotała tysiącami barwnych kwiatów, pokrytych jak brylantami kropelkami rosy.

Konie, parskając i szeroko rozwartemi nozdrzami wciągając w siebie powietrze, balsamiczną wonią

(*) Pieśń ludowa: „Szülöföld pusztja.“

przepelnione, rażno postępowały naprzód. Pieśń całym chórem dobranych głosów płynęła daleko po stepie, w głębi którego na tle horyzontu rysował się żóraw studzienny. Na całej przestrzeni było cicho i pusto, tylko w górze śpiew skowronka wesołą nutą dzwonił, a w trawie ukryty derkacz swym monotonym krzykiem ostrzegał towarzyszków o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Powoli pieśń umilkła, konie zwolniły biegu i głuche zapanowało między nami milczenie. Pan Medvedy Pál, jadący na przedzie, w gościnnych progach którego w Mezöhegyes dni parę spędziłem, nagle wstrzymał wierzchowca, zeskoczył na ziemię i zarzuciwszy cugle na szyję koniowi puścił go wolno, a sam na małym pagórku rzucił się na miękką murawę. Naśladując przykład naszego gospodarza uczyniliśmy to samo i wnet szerokim obozem rozłożyliśmy się na wyniosłości, z kąd całą przestrzeń bezmiernąj pusty jednym rzutem oka objąć było można:

— Nim do Nagy-Lak przybędziemy, ozwał się p. Medvedy, i nim zapoznam was bracia z moim druhem Sziladim, muszę wam opowiedzieć zajmujące podanie ludowe rodzinne, dotyczące jednego z przodków Sziladiego. Mamy dosyć czasu; nim słońce wysoko się wzbije, ruszymy w dalszą drogę, teraz zaś konie pożywią się trawą, wyparskają na rosie, a my odpoczniemy cośkolwiek i pogwarzyśmy o przeszłości.

„W czasie krwawych walk Węgrów z Turkami, mówił dalej p. Medvedy, dwu witeziów (vitéz, rycerz) Sziladi Miska (Michał) i Hadmazi Vaczo (Wa-

claw) popadli w niewolę niewiernych bisurmanów, którzy zawiedli ich do Carogrodu i oddali ze względu na spodziewany wysoki okup na usługi padyszachowi; sułtan kazał ich obu zamknąć do ciemnicy, tuż obok swego harem.

„Obaj witezie smutno spędzali dnię swęj niewoli, oczekując wieści i okupu z ojczyzny.

„Dnia jednego a był to dzień uroczysty dla wszystkich Węgrów, dzień św. Szczepana, Sziladi i Hadmazi, siedząc u okienka więziennego, opatrzonogo grubą kratą i spoglądając tęsknie na błękitne niebios sklepienie i otaczające mury pałacu sułtańskiego, zanucili żalospną piosenkę, któręj matka ich nauczyła:

„Oj ziemio węgierska! nie znasz ty pokoju!
 Znów witezie z turkami idą do boju,
 Już ostrzą szabllice, zaprawni wojacy,
 Co nawykli do trudu i pracy!
 Lecz sercem młodym aż pęka z żalności
 Tęj miłęj swobody, i łąki i gaju,
 I wody przezczystęi, urodrego Dunaju!
 Oj! szabla zadzwoni, zahuczą mi działa,
 I braciom mym wiernym wypowiem to słowo,
 Kiedy się oddzieli duszyczka od ciała:
 Jam walczył i ginę, wojujecież wy zdrowo!
 Gdyż za świętą matki cześć,
 Miło życie w darze nieść,
 Bo król woła! — woła kraj!
 A tam w niebie — czeka raj! (*)

(*) Przekład pieśni ludowęj: *O magyar föld nem neked
 incs bekesség.

„Na głos rozlegającej się pieśni, w jedném z okien sułtańskiego pałacu ukazała się nadobna dziewica, biała jak mléko zabarwione odbłaskiem polnej róży, o czarnych iskrzących oczach i ustach maleńkich jak pączek rozkwitającej różyczki. Była to Fatma, pierworodna i najukochańsza córka padyusza.

„Fatma, słysząc w przestworzu rozlegające się tony rzewnej pieśni dwu witeziów, spojrziała ku okienku, w którém obaj więźniowie siedzieli i z zachwytem malującym się na obliczu przysłuchiwać się poczęła ich pniom.

„Spostrzegł ją Sziladi, i serce nadobnego młodziana żywiej zabiło na widok uroczych wdzięków Fatmy.

„Fatma pociągnięta nieprzepartą siłą wzroku Sziladiego pożałowała biędnych witeziów, i jak gazela spłoszona szelestem liści palmowych, szybko przybiegła pod okno ciemnicy i w te słowa ozwała się do Sziladiego:

„— Słuchaj, nadobny witeziu, chcę was obu wypuścić z téj ciemnicy i rozkuję wasze pęta, lecz przyrzecz mi na miłość twój matki, że weźmiesz mnie za swą małżonkę!

„— Ocal nas tylko, zawołał Sziladi, a przysięgam ci na cześć moją — na miłość méj matki, że cię pojnę za żonę i wiernym ci pozostanę aż do skonu!

„Okolo północy, Fatma, gdy strażę całodzienném czuwaniem znużone usnęły, wywiodła młodych

Węgrów z ciemnicy, z pęt ich uwolniła, i każdemu dała do ręki złotą szablę.

„Witezie złotemi szablami pościnali głowy strażnikom swoim, wsiedli na konie zabrane ze stajen padyszacha i w cwał popędzili ku swój ojczyźnie. Fatma również przyodziana w złotolitą szatę, dosiadłszy trzeciego bachmata, wraz z witeziami, z pałacu i kraju ojca swego uciekać poczęła.

„Nazajutrz rozbiegła się wiadomość, że witezie z Fatmą uciekli. Padyszach za nimi wysłał baszów z janczarami w pogoń.

„Młodzi rycerze, ujrawszy dopędzających ich Turków, Fatmę ukryli w leśnej gęstwinie a sami wystąpili do boju ze ścigającemi ich Turkami. Był to bój olbrzymów. Ze złotych szabel iskry się sypały, i przy pomocy boskiej witezie janczarów pobili.

„Fatma, w czasie téj bitwy, ukryta w gęstwinie, zalévając się łzami, żałośnie narzekała:

„— Jeśli janczary witeziów zabiją, cóż wtedy ze mną się stanie? Któż mnie z téj gęstwiny wywiedzie, kto méj doli się ulituje? chyba tylko niebieskie ptaszyny, O Boże mój mocny! Boże witeziów, osłoń swą opieką twoich rycerzy! Osłoń tego, którego kocham!

Sziladi usłyszał te słowa i ocierając ze krwi swą złotą szablę, podbiegł ku Fatmie, podał jéj rękę i wywiódł z lasu, a wsadziwszy na konia, wraz z nią i Hadmazim ruszył w dalszą drogę.

„I tak jadąc dzień i noc, przebywając góry, lasy i rzeki, stanęli nareszcie nad brzegiem Dunaju, na ro-

dzinnéj ziemi i zalani łzami radości, padli na kolana, dziękując Bogu że wyprowadził ich z niewoli.

„Tuż nad brzegiem modrego Dunaju, uroczu toczącego swe nurty po pod cienistym borem, Hadmazi wstrzymał swego konia i zawołał do Sziladięgo:

„—Stój, bracie! nim dalej pojedziemy, musimy się piérw rozprawić: kto kogo pokona, ten weźmie sobie Fatmę!

„—Mój miły bracie! odparł Sziladi, wszak masz żonę i syna, na cóż więc przyda się ta walka; odstąp zamiaru, i pozwól mi pojąć Fatmę za żonę!

„—Nie! nigdy! i ja ją kocham! wołał Hadmazi, i dlatego, albo będziesz się bił ze mną, albo nazwę cię tchórzem!

„Słyszac te słowa Sziladi zeskoczył z konia, i dobywszy złotéj szabli, rzucił się na Hadmaziego, i rozpoczęła się walka straszliwa.

„—Rycerze! dzielni młodzianie! wołała Fatma starając się powstrzymać tę walkę bratobójczą; posiekajcie mnie raczój na sztuki, a niech was Bóg chroni od krwi rozlewu!

„Lecz witezie byli głusi na jój próśby i bili się dalej, i po długiej walce Sziladi uciął prawą rękę Hadmazemu, a porwawszy Fatmę, dosiadł dzielnego bieguna i jak wicher popędził do domu. A wierny danemu słowu Fatmę poślubił na małżonkę!“

Gdy p. Medvedy mówić przestał, zapanowało głuche milczenie, i nikt pod wrażeniem opowiadania przerwać go nie chciał.

Lekki wietrzyk powiewał od wschodu i muskał

łagodnie po stepie pokrytym bujną roślinnością.

Konie, brodząc w trawie wyżej kolan, pasły się opodal spokojnie.

Ludzie i natura śnili o przeszłości, o dzielnych witeziach, o pięknej Fatmie.

— No! a teraz dalej w drogę! zawołał po chwili p. Medvedy, podnosząc się z trawy, na której opowiadając spoczywał; słońce już się podniosło i przypiekać zaczyna, może zdążym na południe do stepowej studni, a orzeźwiwszy się świeżą wodą i łykiem wina z csutry (*csutora*, *czutora*, drewniana podróżna flaszka) pogonimy dalej i dalej, aby przed zachodem stanąć w Nagy-Lak!

Wnet też dosiedliśmy koni i żwawym klusem puściliśmy się w kierunku południowym, ku studziennemu źrórowiowi, widniejącemu zdaleka. Jeszcze słońce wysoko było na niebie, gdy stanęliśmy przed szeroko rozwartą bramą folwarku, należącego do p. Sziladi Miszki, potomka witezia Sziladiego i sułtanki Fatmy.

W parę tygodni później, gnany nieprzepartą chęcią bliższego poznania węgierskiej krainy i uwolniony się na dni parę od służby, ruszyłem z Komorna statkiem parowym w dół rzeki do Mohacza, z kąd koleją żelazną pośpieszyłem do Pécs (Fünfkirchen), stolicy komitatu Baranya. Tu mając parę listów rekomendacyjnych do szlachty zamieszkującej okolice

Pecsu i Babocsy nad Drawą, odpocząłem tylko parę godzin, i ruszyłem z jednym z nowych moich znajomych Kapivarem Imre (Emeryk) do Sz. Lőrincz (St. Lorenz) i Szigetvar, głównego celu méj wycieczki.

Gdy Maksymilian II, po śmierci ojca swego Ferdynanda, odziedziczył cesarską koronę i chciał objąć rządy w Węgrzech i Siędmioogrodzie, był zmuszony z bronią w ręku walczyć ze stronnikami Jana Zygmunta i z Turkami, którzy wtargnęli do Węgier, korzystając z krajowych zamieszek. Sułtan Soliman, rozgniewany niepowodzeniami baszów swoich, których wodzowie cesarscy Lazar Schvendi i hrabia Salm kilkakrotnie już pobili, wyruszył sam w pole i z całą swą potęgą podstąpił pod mury Szigetu (Szigetvár).

Sziget, forteca wzniesiona wśród bagnisk, na wyniosłym stoku ostatecznych krańców podnóża Bakonńskiego Lasu (Bakonya erdő hegység), w pobliżu Drawy odgraniczającej Węgry od Sławonii, była niegdyś bardzo warowna i niedostępna. Dziś twierdza ta leży w gruzach, przypominając Węgom jeden z najkrwawszych epizodów dziejowych.

Gruzy dawniej twierdzy Szigetu wznoszą się na szczycie samoistnie wśród bagien położonej skały, u stóp której rozsiadło się miasteczko Szigetvar. Bagna jakie tworzą ze stoków gór spływające ku Drawie rzeczki: Gönest, Binya i inne liczne strumyki, otaczają Szigetvár wraz z gruzami twierdzy z trzech stron, pozostawiając tylko od północy wązki skalisty przesmyk, rodzaj grobli, łączący Szigetvar z wioską

Mosgö, położoną wyżej, wśród gór hrabstwa somogyjskiego.

Ze szczytu gruzów twierdzy, mianowicie ze szczytu wieżycy zwanéj *Zrynyiego*, roztacza się przed wędrowcem bardzo obszerny widok.

Ku południowi, tuż nad brzegiem Drawy, widać osadę Sellye, tonącą prawie w przestworzu bagien; w głębi zaś dalej, poza tą osadą, otoczoną wierzbami i gajami, widnieją już w Sławonii Veroviticke i Pożegskie góry, które w dziwnych kształtach na ciemnym tle widnokregu, w błękitnym blasku księżycowych promieni, rysują się majestatycznie i uroczo. Na prawo czyli na zachód widać osady Istvandi, Csokonya i Babocsa, zdobne w przesliczne starożytne świątynie, których wieżycy majestatycznie się wznoszą do góry.

Veröcze, Rökawa i Bilo, na prawym brzegu Drawy położone osady, widać tylko zdala, jak stado owiec zbite w jedną kupkę. Na wschód zaś ukazują się Sz. Király-Vaicso, Siklos i tuż pod górą Jakobij rozsiadłe obszerne i ludne miasto Pécs (Fünfkirchen), z przeslicznymi gotyckimi wieżycami pięciu kościołów, z kąd też powstała i niemiecka nazwa tego miasta. Gruzy twierdzy Sziget wyraźnie wskazują, że twierdza zajmowała niegdyś całą pochyłość góry, wznoszącej się nad miastem i że była to twierdza bardzo obszerna i obronna.

Sułtan Soliman, wkroczywszy w granice Węgier z całą potęgą swoją, pomijając Eszek szybko podsunął się pod mury Szigetu, gdzie napotkał na nie-

spodziwany opór, powstrzymujący go w dalszym pochodzie zaborczym. Słynny Mikołaj Subicz Zrynyi, nieustraszony wódz węgierski, wraz z małą garstką węgierskich wojowników, na wieść o zbliżającym się Solimanie, zamknął się w Szigecie, postanowiwszy najęźdźcę powstrzymać. Załogę twierdzy stanowiło zaledwie trzy tysiące Węgrów, którzy ożywieni odwagą Zrynyiego, wraz z nim zaprzysięgli bronić Szigetetu do ostatniej kropli krwi. Turcy oblegli miasto, i na pobliskich wzgórzach potrójnie opasali mury twierdzy. Niebawem też na gruzach tych murów wszczęła się walka zacięta.

Napróżno po parudniowej walce Soliman wzywał Zrynyiego do poddania się. Zrynyi, w odpowiedzi na te wezwania, wystawić kazał na ostatnim okopie opasującym warownię, na czterech w ziemię zatkniętych włóczniach, czarnym kirem pokrytą trumnę.

Soliman zrozumiał daną sobie odpowiedź i ponownie z całą zaciekłością rzucił się do szturm. Drużyna dzielnych obrońców ojczystego zagona z dniem każdym zmniejszała się i Zrynyi rozporządzał już tylko 600 ludźmi. Z tą małą garstką nieustraszony bochatér cofnął się do środkowej warowni i tam wytrzymał straszliwe oblężenie. Daremnie grzmiąły działa, napróżno Turcy całą potęgą swęj siły, szturm za szturmem przypuszczali; Zrynyi był nieugięty w swoim postanowieniu stawiał czoło ogromnej armii Solimana czekając na odsiecz armii cesarskiej, która niedaleko, bo pod Dunajem, w Földvar obozem stała. Soliman, rozdrażniony tak długim oporem Zrynyiego, o-

bawiając się by w dniach kilku nie postradał plonów czterdziestoletniej chwały, przywołał do namiotu swego baszów i trzęsąc się cały, miotany gniewem, zawołał do zgromadzonych:

— Cóż to? niktzemni tchórze, czyż długo jeszcze czekać będę chwili, w której wejdę do Sziget? Czyż długo jeszcze na szczytach wieżyc twierdzy błyszczyć będą krzyże? widok ich oslepia mnie! Precz więc z niemi! Jeżeli za godzinę Sziget nie będzie w moich rękach to na imię Allaha i świętą brodę jego proroka Mahometa, przysięgam wam, że łzami waszemi zapelnię fosę, i po tym moście wejdę do twierdzy, i wtedy sam zrzucę te krzyże, i uścielę sobie niemi drogę do Wiednia!

W chwili téj napad apoplektyczny, wywołany nadmiernym gniewem, powalił na ziemię sułtana, jakby rażonego piorunem, który jednocześnie z hukiem zagłuszającym gwar wojenny ponad namiotem sułtana przeszył powietrze i zatknięty bańczuk sułtański zdruzgotał.

Więść o śmierci Solimana łatwo wywołać mogła popłoch między wojskami; dlatego téż wezyr niezwłocznie kazał pościnać głowy nadwornemu lekarzowi i przybocznym sługom sułtana, aby wraz z niemi przepadła wieść o śmierci Solimana. Po dopełnieniu tak barbarzyńskiego czynu wezyr kazał martwe zwłoki Solimana ubrać wspaniale i posadzić na tronie wzniesionym przed namiotem.

Tron otoczyli wierni janczarowie.

Obecność władcy obudziła w Osmanach nowy

zapał, i muzułmanie rzucili się do ponownego szturmu. Pociski dział tureckich zrobiony wyłom w ostatnim obronnym wale coraz bardziej rozszerzały; zarzucono fosy kamieniami, ciałami zabitych i Turcy wdzierać się poczęli do wnętrza warowni, bronionej z całą zaciekłością przez bardzo już nieliczną garstkę węgierskich bohaterów. Pożar, który wybuchł w warowni i zniszczył zapasy żywności oraz prochu strzelniczego, ze wszech stron ogarniał walczących morzem płomieni i to dopomogło Turkom do odniesienia świetnego, aczkolwiek bardzo krwawego zwycięstwa.

Z trzech tysięcy żołnierzy pozostało Zrynyiemu tylko dwustu; reszta leżała pod gruzami upadającej warowni.

— Bracia! zawołał Zrynyi, uściskajmy się i zgińmy na tém polu chwały! Nauczmy tych pogan, że lepiej i chwalebniej umierać tak jak my, niż zwyciężać jak oni!

Wierni towarzysze broni rzucili się ku wodzowi swemu, ściskając go wołali: „śmierć albo zwycięstwo!“ i do nowej rzucili się walki! Zrynyi, przyodziany w drogocenne szaty, jak na jakie gody, dobywszy szabli zbliżył się ku bramie, otworzył ją, most spuścić kazał i na czele nieustraszonej garstki wiernych, zbliżającego się wroga śmiało oczekiwał. Turcy, sądząc, że to jakiś wybieg wojenny, zachwiali się chwilę; lecz wkrótce, pobudzeni myślą, że Soliman na nich się patrzy, rzucili się na Madjarów.

Zrynyi, dwukrotnie ranny, i walcząc na klęczkach, broni turkom przystępu do twierdzy; wreszcie,

ugodzony kulą w czoło, pada, a obok niego giną jego towarzysze z wyjątkiem czterech, którzy tylko przypadkiem, ciężko poranieni, uszli niechybnej śmierci.

Turcy zdobyli nareszcie nie Sziget lecz gruzy, zdobyli je kosztem trzydziestu tysięcy ludzi, którzy padli w ciągu trzydziestotrydniowej walki z trzema tysiącami węgierskich bohaterów!

Tymczasem gdy Zrynyi ze swą garstką poświęcał się na korzyść Austrii, armia cesarska stała bezczynnie, i wielki wezyr, oceniając lepiej od Maksymiliana II stratę, jaką poniósł w upadku Sziget u i śmierci Zryniego, posłał mu uciętą głowę tego bohatera z pismem brzmiącym jak następuje:

„Jako dowód méj łaski, posyłam Wam głowę „największego z wodzów Waszych, największego bohatera świata całego! Zwłoki Zryniego, z czcią „przynależną tak wielkiemu bohaterowi, zostały pod „murami zburzonej twierdzy pogrzebane.“

Już mija 225 lat jak mury Sziget u w obronie przeciw muzułmanom runęły, i dziś porastają je trawa i dzikie osty.

Grób Zryniego głęboko zapadł się w ziemię i ciicho i smętno jest wśród tych zwalisk, które patrzyły na śmierć tylu bohaterów.

Czasem tylko zakracze ponad temi zwaliskami stado kruków i orzeł przeleci, lub też u bramy leżącej w gruzach siądzie strudzony, przechodzień i myślą i wargoni za minionemi czasy, roniąc łzę wdzięczności i żalu nad grobem tylu walecznych.

Dziś Szigetvár, cicha i spokojna osada pracujących rolników, ma pozór miasta umarłych. I niejednokrotnie rolnik pracujący w polu, pługiem wyorze kawałek starzej zbroi lub też kości poległych wojowników, a wtedy, spoglądając na te wymowne świadki waleczności i bohaterstwa swych przodków, z niewysłowioną dumą woła: „*i jam ich potomek!*“

Zwiędziwszy całą okolicę Szigetváru, przez Kaposvár, Somogyvár i Szöllös Hyörök dotarłem do jeziora Balaton, z kądem ze stacji Boglár, już koleją żelazną przez Szekes-Fejervár (Stuhlweissenburg) Mor, Kis-Ber i Igmand, do wspaniałej lecz dla mnie wcale nieukochanej twierdzy Komaróm powróciłem.

XVI.

Ah! płyn po stepie, płyn o pieśni,
Płyn w niebiosa, płyn z téj cieśni,
Gdzie pierś tłoczy smutek, żal,
Płyn, gdzie myśli gonią w dal!

Tam na stepie, tam u wody,
Cudnej dziewczę jest urody,
I ma uszka jakby z róż.
Tam me pieśni, w darze złóż! (*)

Z głębi gór szathmarskiego komitatu, po bystro płynących falach Szamosa (*Szamos*, Samosz) dolatywały mnie tony i słowa powyższej pieśni. Rzewna serdeczna nuta płynęła szeroko ponad wybrzeżem i rozléwała się po całej równinie, konając ostatniem tchnieniem nad brzegami Cisy. Pieśniarz jakby się lubował w śpiewie swoim, od czasu do czasu go prze-

(*) Pieśń ludowa węgierska; „*Megolvadon ó az ének*“.

rywał, wsłuchując się w melodyą, która, niesiona echem, wśród stepów ginęła.

Od strony Erdöd-Szada, małej miejsciny położonej na lewym brzegu Szamosu, ścieżynką prowadzącą z Kövöarskich gór, chryzym krokiem postępował w obcisły strój narodowy przyodziany dorodny młodzieniec, dążąc ku Aranyos Megyes, wioski rozsiadłej na przeciwnym brzegu rzeczki. Niezwykły i umiejętny śpiew nieznanego, jako też jego postać szlachetna i pełna swobodnego ruchu, zwróciły moją uwagę. Gdy się ku mnie zbliżył, śpiew przerwał i zagryzłszy wargi, rzucił na mnie spojrzenie pełne niechęci; widocznie niezadowolony z méj w tém miejscu obecności.

— *Jó reggelt, adjon isten!* (*), zawołałem, niezrażony spojrzeniem nieznanego i podnosząc się z obalonego pnia złotój wiérzby, na którym nad brzegiem Szamosa siedziałem, postąpiłem parę kroków naprzód.

Słowa przezemnie wymówione lepszą węgierszczyzną niż nieznanomy sądził może po mnie, wprawiły w zdumienie przybysza, który, zatrzymawszy się nagle w pochodzie, badawczym wzrokiem obejrzał mnie od stóp do głowy.

— *Jó reggelt kivanok önnek!* (**), odparł po chwili nieznanomy, uchylając zlekka zgrabnego ka-

(*) Dzień dobry, z Bogiem pozdrawiam!

(**) Życzę Wam dnia dobrego.

pelusika pokrywającego mu głowę, a zbliżając się ku mnie, dodał rodzajem pytania: *Magyarémbert ur?* (*)

— *Nem! en lengyel vagyok!* (**) odparłem lekko się uśmiechając.

— *Lengyel? ebadta! örülök, hogy találkoztam!* (***) , zawołał nieznajomy podając mi rękę, ubraną w świeżą obcisłą rękawiczkę.

W chwil parę później, jako już dobrze znajomi, pod rękę dążyliśmy wzdłuż brzegów rzeki dobrze udeptaną ścieżynką ku Aranyos-Megyes, gdzie tuż w pobliżu, między Varallya i Ujvaros, znajdowało się mieszkanie świeżo co poznanego młodzieńca.

Pan Remeny Miska' był właścicielem pobliskiej włości a prowadząc życie bardzo czynne i ruchliwe, często robił piesze wycieczki w góry Kövarskie. Zapewne wycieczki te nie były bez celu, témbardziej że kilkakrotnie wspominając o Kövar, małej wioseczce, położonej w głębi gór, i opisując uroczę jój położenie, tęskny wzrok swój zwracał w tamtą stronę.

Uprzejmie zaproszony do założenia głównej kwatery, w czasie mego parudziennego pobytu w tej okolicy, w domu jego, chętnie się na to zgodziłem, poznawszy témbardziej, że p. Remeny posiadał wielki zapas wiedzy.

Zaraz po przybyciu do tak zwanego zamku, który właściwie był murowanym parterowym nie bardzo

(*) Pan Węgier?

(**) Nie, jestem Polak.

(***) Polak!? do diaska! cieszy mnie, że pana spotka!

obszernym dworkiem szlacheckim, rozgościłem się w jednym z narożnych pokoi, przeznaczonym dla mnie na kwaterę. P. Remeny zaproponował mi, abyśmy nazajutrz zrobili wspólną wycieczkę w góry Kövarskie. Naturalnie, że podaną mi propozycją jak najchętniej przyjąłem.

Resztę pierwszego dnia pobytu mego w Aranyos spędziliśmy na bardzo ożywionej pogawędce, w cieniu rozłożystego orzecha włoskiego przed domem.

Widok roztaczający się z tego punktu, bez zapreczenia należał do najpiękniejszych. Nalewo od nas, to jest na południe, piętrzyły się Kövarskie Szolnockie góry, na stoku których widniało zamczysko Erdöd, ponad którym piętrzyła się stroma skała zwana Tarnica. Na prawo ku północy, w błękitnej oddali, w olbrzymich zarysach, ukazywały się nam Karpaty z wioskami u podnóża ich rozrzuconemi. Wprost zaś, przed nami, ku zachodowi, ciągnął się step bezmierny, na horyzoncie w mgławej oddali jakby łączący się z niebios sklepieniem. Po stepie wił się w gęstych zakrętach Szamos, a nad brzegami jego miasta, wsie i osady: Szathmar, Csenger, dalej w głębi Ecsed, Vállaj i Nagy Majtény. Późno w noc już, nagawędziwszy się do woli o stosunkach krajowych, o polityce, ekonomii, muzyce i poezyi, udaliśmy się na spoczynek, z zamiarem wyruszenia nazajutrz jak najwcześniej na zamierzoną wycieczkę.

Równo ze wschodem słońca pan Remeny obudził mnie ze snu, i wypiwszy szklanekę winnej polówki, ru-

szliśmy niezwłocznie konno i z hajdukiem (służący) w drogę.

Minąwszy Erdöd Szada, u wstępu do wąwozu Kowarskich gór zsiadliśmy z koni i pieszo puściliśmy się ku Sibó, idąc wciąż w górę ponad prawym brzegiem Szamosa.

Po przeszło dwugodzinnym pochodzie wśród pięknej dziko romantycznej okolicy, skreśliśmy na lewo i drapiąc się po niedostępnych prawie górach około południa wydostaliśmy się na wyżynę, z kąd przed oczyma naszymi roztoczył się zachwycający widok na dolinę szamoską z olbrzymimi syczytami marmaroskiego łańcucha gór. W głębi ku północy, tuż nad Felső Banya, wznosiła się skalista turnia „*Ignics*“ a dalej jeszcze szczyt góry „*Fenyér-Hegy*“, najwyższej w tym łańcuchu, który, dążąc od północy, na południe pod *Kapnik Banya* łączy się z Karpatami siódmiogrodzkimi. Nasyciwszy się przepyszny widokiem i odpocząwszy po utrudniającym pochodzie, spuściliśmy się z wyżyny do Kövar, osady położonej tuż przy drodze prowadzącej do Goura i Szamos-Ujvár w Siódmiogrodzie.

W Kövar parę godzin zatrzymaliśmy się pod gościnnym dachem dziedzica tej włości, który z całą serdecznością właściwą Węgrom podejmował nas. Tu poznałem nadobną córkę gospodarza domu, pannę Gizzellę Balógh, dziewczeczkę mającą około lat 17, która swym srebrno-dźwięcznym śmiechem i niczém niekrepowaną wesołością dom cały w istny raj zamieniała. Teraz dopiero zrozumiałem dlaczego p. Remeny wra-

cając przed dwu dniami z górskiej wycieczki, tak rzewnie śpiewał smutną piosenkę „*Megobadon ó az ének*“ (Ah, płyn po stepie, płyn o pieśni!) choć właściwie dziewczę o różowém uszku nie było na stepie lecz wśród rozkosznych gór zielonych! Dostrzegłszy co się między młodymi ludźmi święci, choć sam byłem wówczas również młody i skory do zakochania się w pierwszej lepszej ładnej twarzyczce, ująłem sędziwego gospodarza pod rękę i proponując mu, aby mi swe gospodarstwo pokazał, wyszedłem z pokoju. P. Remeny z bohdanką zostali sami. Manewr ten nie uszedł bacznemu oku mego towarzysza podróży, i wieczorem gdyśmy już z powrotem byli w Aranyos, p. Remeny, dziękując mi serdecznie za przysługę sobie wyrządzoną, w najwyższém uniesieniu radości powiedział mi, że korzystając z nadarzonej sposobności pannie się oświadczył i został przez nią przyjęty; jutro zaś w całej formie pośpieszy do ojca z prośbą o jej rękę, której, jest tego pewny, stary Balógh mu nie odmówi.

Tak też się i stało: dnia następnego Remeny późno już wieczorem wrócił do domu, rozpromieniony radością; osiągnął bowiem cel zamierzony, gdyż za trzy miesiące do domu swego w Aranyos wprowadzić miał młodą, ładną i kochającą żonę.

Szanowny gospodarz mój, chcąc się mi odwdzięczyć za przysługę, jaką mimowolnie mu wyrządziłem, zaprosił mnie na druźbę swego, a tymczasem, nie chcąc ażebym dalszą wycieczkę na południe bez towarzysza przedsiębrał, postanowił wraz ze mną udać się przez

Wielki Warazdyn (Nagyvarad) i Temesvar nad malownicze brzegi Temesu.

We dwa dni później byliśmy już w podróży, a piątego czy szóstego dnia po opuszczeniu Aranyos znajdowaliśmy się w Lugos, z kądem już wodę puściliśmy się w dół rzeki ku Pancsovie i modremu Dunajowi. Śród tej parudniowej podróży po falach Temesu, właściciel łodzi, którą płynęliśmy, człowiek nie lubiący milczeć, opowiadał nam przeróżne podania i legendy ludowe, które swą oryginalnością nadzwyczaj nas zajmowały.

Tak dotarliśmy do Hatvanfalu, wioski położonej na lewym brzegu Temesu, tuż przy ujściu Berzawy, gdzie u p. Lajosa Szatmar gościnnie zostaliśmy przyjęci.

Nu bezmiernych równinach, pokrytych bujną roślinnością i oblanych złotymi promieniami słońca, które tak jasno i wesoło ponad ziemią synów Arpada świeci, rozsiadła się wioska Hatvanfalu, kąpiąca swe stopy w falach zielonego Temesu. W głębi widnokregu, ku północy, widać w sinawej oddali ostatnie stoki Karpat siedmiogrodzkich, u stóp których rozsiadło się miasto Temesvár a ponad niemi zwieszało się ciemno błękitne sklepienie niebios, przejęte blaskami złotych promieni zachodzącego słońca.

Na południe ode wsi, w małej odległości, tam gdzie Temes nagłym zwrotem ku zachodowi dąży, nad samym brzegiem tej rzeki, rysowały się wiekiem poczerniałe mury starożytnego klasztoru, ponad którym wy-

soko ku obłokom wznosiła się piękna smukła wieżyca z krzyżem błyszczącym u szczytu.

Obok murów klasztornych, ocieniony rozłożystymi lipami i kasztanami, rozciągał się smętarz, na którym, wedle odwiecznego zwyczaju, grzebano ciała zmarłych, przywożone tu nawet z bardzo odległych stron.

Ponieważ jednak dla uboższej klasy ludności, zamieszkującej dalsze okolice, transport ciała na cmentarz w Hatvanfalu był za kosztowny, przeto dopelniano go w nadzwyczaj oryginalny, od niepamiętnych czasów praktykowany sposób, polegający na tém, że w oddzielnie na ten cel sporządzonych, dobrze wewnątrz smolą wylanych trumnach, składano ciało zmarłego i złożony na piersiach kartkę z napisem zawierającym imię i nazwisko zmarłego, datę zgonu i nazwisko osoby mającej ponosić koszta pogrzebu, jako téż umocowawszy u głowy latarnię ze światłem, puszczano ten pogrzebowy statek z biegiem rzeki, fale której przynosiły go aż pod mury klasztoru, gdzie na grobelce umyślnie usypanej zawsze się zatrzymywał. Wtedy mnisi mieli obowiązek tego cichego gościa (*csendes vendeg*) ze statkiem wydobyć na brzeg i pochować z całą ostentacją kościelną na pobliskim cmentarzu. Jeżeli czasami zdarzyło się, że z wodą puszczona trumna, u jednego z brzegów śród przebywanej drogi zatrzymała się, wtedy każdy z przechodzących tamtędy miał obowiązek odepchnąć ją od brzegu, ażeby dalej płynęła.

Temes, wijąc się jak srebrna wstęga od wschodu,

zasilany wodami Karpat siódmiogrodzkich, w stronie zachodniej okrążał Hatvanfalu i następnie w kierunku zachodnio-południowym, dążąc ku Dunajowi, gubił się w oddali.

Lajos Szatmar, młody i dorodny młodzieniec o smukłej postaci, jedyny syn właściciela Hatvanfalu, o umyśle wrażliwym, pełen poetycznego nastroju, od czasu powrotu z Pesztu, gdzie nauki pobierał, popadł w rodzaj marzycielstwa. Poezya i muzyka były jego jedyną i najulubieńszą rozrywką. Dnie całe spędzał też śniąc i marząc lub nucąc tęskne melodye nad brzegami Temesu, który wartko u stóp jego przepływał. Jako poeta, chętnie dawał posłuch opowiadaniom ludowym, pełnym bujnej fantazyi, wierząc poetycznemu ludowemu podaniu, że z woli Boga każdemu człowiekowi przeznaczoną jest towarzyszka, którą, jeżeli jest w łasce u Boga, oczami swęj duszy ujrzyć może. W słodkich też snach swoich, nieraz w stronie sinych Karpat ponad falami Temesu, widział wśród jasnych słonecznych promieni ideał myśli i marzeń, pragnień i swęj wiary!

I czekał chwili, w której sny jego się spełnią, w której wymarzona istota, do której tęsknił, jako gwiazda zaranna, jasna i błyszcząca swą urodą, przed nim się zjawi.

Tak mijały dnie i tygodnie. Stary Gabór i Margit Szatmar, rodzice Lajosa, ludzie już w podeszłym wieku będący, smucili się niezmiernie dziwnym stanem duszy jedynego syna. Pragnęli gorąco, ażeby jak najprędzej pod strzechę rodzinną przyprowadził im

synowę, którą kocha éby mogli jako własną córkę lecz pomimo czynionych zabiegów i starań, pragnienie ich pełzło na niczém, bo Lajos na żadne z dziewcząt i okiem rzucić nie chciał, a nawet, co więcéj, strocił od ich towarzystwa, goniąc myślą za wymarzo- nym ideałem, który, wedle jego przekonania, przecie gdzieś na świecie musiał się znajdować. Powziął téż postanowienie opuszczenia domu rodzicielskiego i pu- szczenia się w świat, poszukując téj którą oczyma swéj duszy widział.

Wieczorem dnia pewnego poszedł nad brzegi Temesu w stronę klasztoru, gnany tajemniczém prze- czuciem, że nadeszła chwila, w której marzenia jego staną się rzeczywistością.

Słońce skryło się już na zachodzie, ozłacając o- statnimi promieniami krzyż na wieżycy klasztornej. Po nad Temesem noc łagodnie rozpościérała swe cie- nie. Cisza zalegała całą okolicę, w dali tylko słyhać było klekot dzwonekóuw uwieszonych na szyi bydła, wracającego z paszy do zagród Hatvanfalu, lub téż poszczekiwanie psów, towarzyszących stadom owiec daleko na puszcze. Śród traw wysokich na bezmier- nym stepie słyhać było monotonne nawoływanie der- kacza, a od wsi ze stodół i zabudowań dolatywał kle- kot gnieżdżących się tam bocianów.

Natura usypiała. Noc to rozkoszna, bezwład- nie osuwała się w objęcia snu. Woń balsamiczna, gna na lekkim powiewem wiatru od gór i łąk, działała upa- jająco na naszego marzyciela, który w pobliżu grobel- ki klasztornej nad brzegiem Temesu, usiadł pod wiérz-

bą kąpiącą swe wiotkie i jakby srebrem pokryte gałązki w wodach rzeki u stóp jej przepływających.

Dzwonek klasztorny wzywający na modlitwę ozwał się przeciągle z wieżycy, a srebarno-dźwięczne tony jego płynęły spokojnie wysoko ku niebiosom, i daleko wgłąb kraju po falach rzeki.

Lajos siedział dumając nad brzegiem i gonił wzrokiem chyżo umykające fale, gdy oto naraz ujrzał od strony Hatvanfalu na falach rzeki migoczące światelko, które ku niemu się zbliżało.

Na razie sądził, że to złudzenie; lecz nie! Widział wyraźnie, że światelko zdążało ku niemu i w chwil kilka przemknawszy tuż pod brzegiem, nagle na piaszczystej mieliźnie grobelki zatrzymało się. Śród zapadającego zmroku Lajos rozpoznał, że był to statek pośmiertny, który mnichom przynosił „cichego gościa.“ Podniósł się też, postanawiając wąż łódź wyciągnąć na brzeg i następnie dać znać do klasztoru, ażeby przybysza godnie przyjęto.

Zbliżywszy się do brzegu i odchyliwszy zwięszające się gałęzie wiérzbiny, która osłaniała przed wzrokiem jego na piasku osiadłą trumnę, wyciągnął ją z wody, poczem nachylił się nad ciałem, które w niej spoczywało, ażeby zobaczyć kogo ma mnichom zwiastować. Dreszcz wielki wstrząsnął Lajosem, który, jakby ze snu obudzony, przetarł oczy.

W trumnie spoczywała przecudnej urody dziewczica; zdawało się, że lekkim snem jest ujęta i że lada chwila otworzy oczy, podnosząc przymknięte powieki, nastrzępione długimi czarnymi rzęsami.

Karminowe usteczka, na których igrał lekki uśmiech, na wpół przymknięte, odsłaniały istne perły: rząd drobnouchnych zębów. Widocznie dziewica zmarła nagle, bez cierpień i choroby. Złotoblond włosy okalały tę słiczną anielską główkę a twarzyczka zmarłej rozkosznie wychylała się z pośród lilij i róż, któremi była otoczona.

O takiej zawsze śnił i marzył Lajos! Marzenia jego ziściły się! ujrzał tę, którą wyśnił, którą ukochał całą duszą, całą potęgą miłości młodzieńczej.

Pelen zachwytu niemego, mimowolnie padł na kolana i sparłszy się o brzeg trumny, wzrok swój utopił w obliczu wymarzonego ideału i dopiero gdy już ciemna noc zapadła, a na bezmierném niebie zajaśniały błyszczące i figlarnie migoczące gwiazdeczki, wtedy Lajos ocknął się z zadumy, powstał i ująwszy w rękę kartkę złożoną na piersiach zmarłej, zbliżył ją do lampy płonącej u głów cichej podróżnej, i przy blasku jój przeczytał te słowa:

ETELKA

Lat 17, ukochana córka
Istvana Függyeny
z Uj-Aranya.

Przeczytawszy ten napis i rzuciwszy raz jeszcze tęsknym wzrokiem na wymarzoną kochankę, szybkim krokiem podążył do furty klasztornej, a powiadomiwszy mnichów o przybyciu „cichego gościa“, wraz z nimi wrócił nad brzeg rzeki.

Lajos ze łzami w oczach błagał przełożonego

i mnichów o pozwolenie czuwania przy ciele; lecz żądaniu temu przepisy klasztorne sprzeciwiały się i Lajos musiał się oddalić, pozostawiając dwu mnichów którzy przy zmarłej modlitwy odmawiać mieli.

Blady, złamany na duszy i ciele, nieszczęśliwy marzyciel przywłókł się do domu.

Matka, ujrawszy syna, przeraziła się jego widokiem, i drżącym głosem wypytywać zaczęła o powód smutku i boleści, które tak wybitne piętno na obliczu jego wycisnęły?

— O, matko droga! zawołał Lajos, padając w objęcia matki; znalazłem przeznaczoną mi od Boga, znalazłem mą narzeczoną, lecz na to tylko, ażeby ją na wieki utracić, bo ona już umarła! O teraz wiem, co mi czynić wypada: tam, tam, w tym cichym klasztorze, u jej grobu, będzie teraz moje miejsce! Tam będę z nią razem, tam też moje ciało, gdy w proch się rozsypie, z jej prochami się połączy!

— Ależ dziecko moje! co mówisz? zawołała przerażona matka, mów co się stało?!

I Lajos opowiedział całe wydarzenie, a kończąc opowiadanie, niezmierną boleścią szarpany zawołał:

— Nic! nic! już wszystko dla mnie skończono! Innej kochać nigdy nie będę, bo ona była mojem marzeniem, moim ideałem, i ze zmarłą jestem zaręczony!

Z dniem każdym stan nienaturalny Lajosa pogarszał się. Dniami całymi nieszczęśnik przesiadywał nad grobem Etelki. Wychudł też i zmizerniał straszliwie, tak że rodzice zaczęli się obawiać, już nie o zdrowie, lecz o życie jego.

— Ah! gdybyśmy, mawiali rodzice Lajosa, dowiedzieć się mogli, że zmarła była zaręczoną? albo też i mężatką? może to uratowałyby nasze dziecko, bo wtedy przekonałby się, że los nie przeznaczył mu jęj.

Stary Gabor, nic nie mówiąc synowi, dnia pewnego dowiedziawszy się zkąd zmarła pochodziła, wysłał swą żonę do Uj-Aranya, celem zasięgnięcia bliższych wiadomości o rodzinie i stosunkach zmarłęj.

Pani Szatmar, pod pozorem odwiedzenia swęj przyjaciółki w Szakul, zabrawszy potajemnie z pokoju syna portret zmarłęj, który z pamięci narysował, a który, jak mnisi twierdzili, nadzwyczajnie był podobny, pojechała rankiem do Uj-Aranya, gdzie przed wieczorem przybyła i niezwłocznie do winnicy się udała, pośród któręj ojciec Etelki Istvan Függyeny mieszkał.

Śród żywęj zieleni winnych krzewów, na pagórku tuż nad brzegiem Temesu, wznosił się biały domek. Pani Szatmar, zbliżywszy się do winogradem ocienionego ganku, nagle pośród nascieżaj roztwartych drzwi ujrzała stojącą... Etelkę! którą spostrzegłszy zbliżającą się, szybko zbiegła po paru schodach będących przed gankiem, śpiesząc z pomocą staruszce, aby tém łatwięj wejść mogła pod dach gościnnego domu.

Ochłonawszy coşkolwiek z wrażenia, jakiego pani Szatmar na widok dziewczeczki doznała, wpatrując się w jęj cudownie piękne rysy twarzy, do zbliżającęj się rzekła pytając;

— Etelka Függyeny?

— O nie, pani! odparła ze łzami w oczach zagadnięta; nazywam się Ilka; moja siostra Etelka przed

miesiącem w ciągu jednej godziny umarła! Lecz pozwól pani, że śmiem cię pytać: jeżeliś znała moją siostrę, to jakże być może, abyś mnie nie znała, jak również ja Ciebie? My przecież nigdy nie rozłączaliśmy się!

— A! więc to była twoja siostra, moje dziecię? rzekła pani Szatmar wchodząc na ganek.

— Tak pani! ja z Etelką byliśmy bliźnięta. Nie dziwię się więc, że pani wzięłaś mnie za nią; byliśmy bowiem podobne do siebie jak dwie krople wody, tak że nawet ojczulek nasz nie umiał nas rozpoznać.

— Gdzież są rodzice? zapytała pani Szatmar.

— Ojciec jest w domu, a matki od urodzenia nie miałyśmy.

— Kochane dziecię! później opowiem ci co wiem o twój siostrze, a teraz prowadź mnie do twego ojca, jestem Szatmar Margit z Hatvanfalu.

— Chciój pani podać mi rękę, rzekła Ilka, a zaprowadzę cię do mego ojca, który rad będzie powitać panią w swoim domu.

Függvény, srebrnowłosy starzec, w skromną a tillę odziany, siedział na obszerném poręczowém krześle przed otwartém oknem, przez które w oddali widać było równiny rozciągające się nad Temesem i jakby w przezroczu szczyt wieżycy klasztornej w Hatvanfalu.

Cisza głęboka zalegała skromny lecz czysto utrzymany pokój, a przez okno dolatywał plusk fali

Temésu, uderzającą o stromy brzeg pagórka, na którym dom Függyvenyego się wznosił i świągót ptasząt zlatujących się na nocleg do swych gniazdeczek, ukrytych przed skwarem słonecznym w cieniu winnych latorośli.

Istvan Függyveny, szlachcic starożytnego rodu, ostatni po mieczu, pomimo usilnej przeszło półwiekowej pracy nie był w możności odzyskać tego co rodzic jego pan na Tót-Varad i Soborsin był stracił. I dziś on potomek jednej z najmoźniejszych węgierskich rodzin, z całego mienia uratowawszy zaledwie winnicę Uj-Aranya, tu osiadł i czekał spokojnie chwili, w której obok przodków swoich w kościele Tót-Varadzkim spocznie wiecznym snem ujęty.

Dziwną zaiste wydawać się może ta okoliczność w obec tego cośmy powiedzieli, że pogrzebanie swój córki Etelki i puszczenie jój ciała z wodą Temesu, powierzył zakonnikom z Hatvanfalu, tak jak to zwykli czynić ludzie ubodzy. Függyveny jednak nie mógł uczynić inaczej, bo był biédnym i dlatego nie przewoził ciała jój do Tot-Varadinu.

Istvan, ujrzawszy wchodzącą nieznajomą sobie panią Szatmar, podniósł się z siedzenia i staro-węgierskim sposobem pozdrowił ją:

— *Isten áldja önt!* (*)

— *Adjon isten!* (**), odparła przybyła; jestem

(*) Boże błogosław Was (wymawia się: Iszten áldja ent.)

(**) Z Bogiem pozdrawiam (wymawia się: Adjon iszten.)

Szatmar Margit z Hatvanfalu i przybyłam do was, mości Függyveny, w bardzo ważnym interesie, dotyczącym naszych rodzin; chciałabym więc z wami sam na sam rozmówić się.

— Nie pierwój! zawołał starzec, przysuwając do okna poręczowe krzesło, aż pani raczysz przyjąć gościnę pod moją strzechą, nie pierwój aż się przełamiemy wedle starego zwyczaju chlebem, i nie skropisz swych ust, spieczonych skwarem słonecznym, sokiem moich jagód winnych.

Pani Szatmar, nie opiérając się tak gościnnemu zaproszeniu, zgodziła się na propozycyą, a po spożyciu skromnej lecz smacznej przekąski, zręcznie przez Ilkę podanej, i po jój oddaleniu się do zajęć gospodarskich, opowiedziała Istvanowi całe wydarzenie, dotyczące jój syna, jego nieszczęśliwej miłości i stanu grożącego szaleństwem.

Opowiadaniem tém Függyveny nadzwyczajnie był wzruszony i nie dziwiąc się zupełnie temu, że Lajos dla zmarłej Etelki rozgorzał tak szaloną miłością, pojmował i ubolewał nad nieszczęśliwem położeniem rodziców. Oświadczył téż, że wedle sił swoich starać się będzie, ażeby dopomódz do uleczenia Lajosa. W ciągu dalszej rozmowy pani Szatmar dowiedziała się także, że Etełka była już zaręczoną z synem sąsiada Függyvenyego, który służył w wojsku i znajdował się pod tę porę w Peszcie,

— Jeżeli pozwolisz, mówiła p. Szatmar, ażeby syn mój widział twą córkę Ilkę, to mam nadzieję, że

wróci do zdrowia i będzie szczęśliwym narzeczonym... żyjącej! Patrz, mówiła dalej p. Szatmar pokazując rysunek syna, on już kocha ją w tym portrecie zmarłej. Lajos jest dobrym synem, będzie więc i dobrym mężem; proszę Cię więc o rękę twój córki dla mego syna!

Függveny słuchał w milczeniu i rozmyślał nad tem, że łącząc swą córkę z synem Szatmarów zabezpieczy jej przyszłość i że wtedy będzie mógł spokojnie życie zakończyć.

— O pozwól panie! błagała nieszczęśliwa matka, ażebym zabrała z sobą Ilkę, a i ty jedź ze mną, poznasz syna mego i oddasz mu może swą córkę, o której rękę proszę.

— Dobrze! rzekł po chwili Függveny; zgadzam się na to co pani mówisz, wiedząc z jakiego gniazda Szatmary pochodzą, zgadzam się lecz pod jednym warunkiem, że Ilka o powodach naszych odwiedzin u Was nic wiedzieć nie będzie, i że pozostawimy jej własnej woli i sercu rozstrzygnięcie kwestyi czy zechce być żoną Lajosa.

Nazajutrz, pod pozorem odwiedzenia grobu Etelki, Függveny z Ilką i panią Szatmar udali się w drogę do Hatvanfalu, gdzie Gabor z niecierpliwością oczekiwał powrotu żony. Przybyłych gospodarz powitał z całą serdecznością, a po spożyciu naprędce podanej przekąski, obaj starzy udali się na brzeg Temesu celem spotkania się z Lajosem.

Ilka o niczem nie wiedziała więc, jak tylko o tem, że Lajos był pierwszym, który ciało Etelki wy-

dobył z wody, że je wraz z zakonnikami pochował, że grób jój otacza staraniami i że odrysował jój portret.

Wiadomości te były dostateczne, ażeby w sercu młodej dziewczyny zbudziły pewien rodzaj przychylniej wdzięczności i sympatyj dla Lajosa.

Ilka znużona podróżą, siedząc na kanapce w saloniku Szatmarów, w chwili w której pani Margit oddała się do gospodarstwa, usnęła śnem spokojnym i wtedy jeszcze więcej niż kiedykolwiek podobną była do zmarłej Etelki. Już chwil kilka pogrążona była we śnie, gdy naraz krzyk przeraźliwy ją obudził i ujrzała przed sobą dorodnego młodzieńca, który krzyknął: „Etelka“, padł zemdlony u nóg jój.

Ilka z przerażeniem zerwała się z kanapki, a pani Szatmar wbiegła na ten krzyk szybko do pokoju, gdzie z wielkiem przerażeniem ujrzała bladego i bezwładnie na podłodze leżącego syna.

Przy pomocy przywołanej służby, zemdlonego złożono na kanapce i nie tracąc czasu zaczęto Lajosa trzeźwić. Po chwili zemdlały rozwarł oczy i skierował wzrok swój na Ilkę, ku której błagalnie wyciągnął ręce. W obliczu jego malował się wyraz zachwytu pomieszanego z podziwem.

— Dopomóż mi, szepnęła Ilce pani Margit, dopomóż do uratowania syna mego! I biorąc za rękę zdumioną dziewczynę, zwróciła się do syna mówiąc: Tę Bóg ci przeznaczył, Lajosie! Jój siostra Etelka, którąśmy pogrzebali, należała już do innego, i Bóg zabrał ją do siebie, ażebyś Etelkę w jój siostrze Ilce kochał i był z nią szczęśliwy!

Lajos, słysząc to, podniósł się z kanapki i biorąc Ilkę za rękę rzekł:

— Czyż to prawda? czy ja śnię? o mów, cudowne zjawisko, czyż wolno mi będzie kochać ciebie, tak jak cię już kocham?

Ilka zarumieniła się silnie, spuściła oczy, i lekkim lecz ciepłym uściskiem ręki dała niemą odpowiedź.

W dni parę Ilka, ujęta łagodnością charakteru Lajosa, prawdziwą i niekłamną miłością, temi cierpieniami jakie przeszedł od owjej strasznej chwili, przyszła do przekonania, że i ona kocha go całą potęgą pierwszej dziewiczej miłości.

Rodzice kochanków, z radością błogostawiając im, połączyli ich dłonie i w niedalekim czasie oznaczyli dzień ślubu.

Dzień ten nadszedł niebawem i w kościele klasztornym w Hatvanfalu odbył się uroczyste ślub młodej pary.

Lajos i Ilka z kościoła udali się niezwłocznie na grób siostry, gdzie, pomodliwszy się szczerze, postanowili grób ten otoczyć szczególnem staraniem. I od tam też grób Etelki jaśniał przepychem kwiatów, z pośród których błyszczał złoty napis na płycie białego marmuru.

Nowożeńcy, kwiatami, chlebem, winem i miodem przez tłumnie zebranych wieśniaków byli powitani u wstępu do rodzicielskiego domu. Radość malowała się na cbcliczu wszystkich obecnych, a najszcześliwsi byli rodzice Lajosa.

Z nadejściem wieczoru przed domem Függyenyego

w Uj-Aranya zabłysły smolne kagańce, a cyganie, zasiadłszy pod rozłożystym kasztanem, zaintonowali rzeźne *Lassan* (*).

Zaproszeni goście, włościanie i domownicy szerokiemi kołami otoczyli Lajosa i Ilkę, którzy taniec nożowniców rozpocząć mieli.

Pod lekkim trąceniem pałeczek zabrzmiały struny cymbałów, jakby poruszone podmuchem eola. Tony drgają leciuchno, jakby szmer strumyka, od czasu do czasu tylko silniej zadźwięczy basetla, lub piskliwie ozwie się klarnet, który, prowadząc melodyę, gruchanie gołębi naśladuje.

Lajos w malowniczym narodowym stroju, pokręcając węża i przestępując z nogi na nogę, goni płomiennym wzrokiem za ukochaną, która, białym welonem okryta, z wiankiem mirtowym na głowie, cała w bieli, jak nadziemskie zjawisko drobnym krokiem przed nim płąsa, jakby chciała drażnić go lub wypróbować siłę miłości. Silniej ozwały się cymbały, różniej poruszyły się smyczki, i popłynęła w przestworze melodya, tak piękna i czarująca, że i tancerze na chwilę jakby zakłęci w płasach się wstrzymali. Tony coraz bardziej wzmagały się i potężniały, coraz żywiej cymbalista bił w struny, coraz chęźiej smyczki latały po skrzypcach, coraz głośniej klarnet wyzywał towarzyszy swoich do zgody i harmonii.

Lajos w zgrabnych podskokach, zwrotach szalo-

(*) *Powoli* —, część pierwsza „esardasa“.

nych, z energicznym pobrękiem ostrogami, gonił za uchodzącą przed nim Ilką, która jak błyskawica zwinnie umykała pogoni.

Naraz na jedną chwilkę muzyka zamilkła, jakby chciała zaczerpnąć powietrza i siły, aby potem z całą potęgą i niesłychanym ogniem rozpocząć trzecią i ostatnią część esardasa. To *Fris!* (*)

Tony mieszają się jedne z drugimi, istny chaos, a jednak melodia, pełna ognia i rzewności, góruje nad nim! Cymbały, z całą siłą uderzane, jęczą przeciąglemi tony, klarnet dąsa się i błyskawicą przebiega całą skalę tonów; to znów wywodzi swe skargi jękliwe, to uderza w hymn radosny, lub jak przekora przedrzężnia prym wiodącym skrzypcom, po których smyczki jak szalone z błyskawiczną szybkością się przesuwają. Bas tylko burczy, usiłując towarzyszy utrzymać w karchach harmonii i zgody, choć i on czasem, jakby zarażony ogólnym szałem, pozwala sobie na małe wybryki, które jednak są niczem w porównaniu z kapryсами fagotu.

Lecz oto Lajos dopędził już Ilkę i siłnemi ramieniem otoczył ję kibić; już teraz razem, z niewysłowioną szybkością wirują w około; czasem tylko biały welon Ilki mignie w powietrzu, gdy Lajos, drogi skarb swój, jak piórko powiewne lekko w górę podniesie. Muzyka brzmi coraz szybciej, coraz chyczniej, tanecznicy kręcą się wirami szalonymi na miejscu jak frygi,

(*) *Frisz* — szybko — zwawo, 3-cia część esardasa.

gdy naraz z hucznym akordem muzyka grać przestaje, a z piersi zgromadzonych, jak huk tysiąca gromów wybuchnął okrzyk „*Eljen!*“ (*)

Takim był piérwszy taniec młodej pary, która, szczęśliwa i wesoła, przypadła do kolan rodziców, by im złożyć dzięki za to co dla nich zrobili.

W lat kilka Függyveny, otoczony gronem wnuków, zasnął spokojnie snem wiecznym, szczęśliwy szczęściem swéj córki!“

Po dwudniowym pobycie w Hatvanfalu, u bohatera powyższego opowiadania, podążyliśmy wodną drogą, po pod Usdin, Opovę i Pancsové, wzdłuż bagnisk rozciągających się między Temesem a Dunajem ku téj ostatniej rzece, gdzie pod Belgradem, dumnie wznoszącą się twierdzą na skalistój górze, na szczycie której powiewał wtedy sztandar turecki, przesiadliśmy się na statek parowy, dążący pod wodę ku Pesztowi; tam z p. Remeny rozłączyliśmy się. P. Remeny koleją żelazną podążył do Wielkiego-Warazdynu, ja zaś do Komorna, gdzie miał oczekiwać na zawiadomienie, kiedy do Aranyos mam przybyć, ażeby dopełnić obowiązków drużby.

(*) Wiwat, niech żyją!

XVII.

W inném miejscu wspomniałem, że tak we Włoszech jako téż i Węgrzech samo oznajmienie że się jest Polakiem było dostateczne, ażeby uzyskać wstęp do domów prywatnych i tamże być mile widzianym, gdy tymczasem Niemców bardzo niechętnie przyjmowano lub téż i wcale nie przyjmowano, co naturalnie wielce ich gniewało.

Lecz temu wcale dziwić się nie można, bo podczas méj bytności w Węgrzech panowała tam owa bierna opozycya przeciw wszystkiemu co tylko na sobie miało charakter rządowy; a że Niemców w ogóle uważano jako przedstawicieli rządu niemieckiego, więc téż i przeciw nim występowano z objawami wcale niesympatycznymi.

Owa bierność całego ludu węgierskiego, która swój początek wzięła po r. 1849, gdy w Węgrzech zaprowadzone zostały rządy niemieckie, a posady wszystkie we władzach obsadzono Niemcami; pomimo

nsilnych starań rządu, chcącego tę bierność przełamać, przetrwała aż do chwili, w której cesarz Franciszek Józef I zwołał sejm, na którym dopełniono sankcją pragmatyczną przepisany obiór króla i gdy nowo obrany król w miejsce Ferdynanda V, który r. 1848 abdykował, skroń swoją przyozdobił koroną św. Szczepana i konstytucją zaprzysiągł.

Opór bierny, napotykanie na każdym kroku, dawał wiele do myślenia i czynienia rządowi; spełniano wprawdzie wszystkie rozporządzenia, lecz nie spełniano ich dobrowolnie, tylko pod naciskiem, i z uwydatnieniem téj okoliczności, że spełniane zostają przeciw woli narodu i prawom przysługującym Węgrom.

Wszystkie stany bez wyjątku działając jednomyślnie, były w obec rządu straszliwszą potęgą aniżeli gdyby, ująwszy za broń, stawiały opór czynny.

Do ostatniej chwili, cały naród, od stroju począwszy a skończywszy na swój politycznej działalności, myślał, mówił i działał jednakowo. A jak wielką była solidarność między wszystkimi, to najlepiej udawadnia owa chwila, w której Węgrzy odmówili płacenia podatków i takowych przez długi szereg lat nie płacili, pomimo środków represyjnych jak: egzekucyj wojskowych, konfiskat i t. d.

Nic nie pomogły odezwy, prośby, błagania, narzeczcie groźby i t. p. Węgrzy jednogłośnie zaprzeczyli Austrii prawa ściągania z nich podatków i używania takowych na korzyść całej monarchii. Posyłało też całe oddziały wojska na postoje we dworach i zamkach szlacheckich, w chatach wieśniaków i t. d.

Zabierano konie, krowy, owce, zboże, wszelkie ruchomości i próbowano je sprzedawać w drodze licytacji, lecz te nigdy do skutku przyjść nie mogły, a to z powodu najzupełniejszego braku licytantów. Nikt, ale to dosłownie nikt nie ważył się stawać do licytacji, i dopomagać rządowi do ściągnięcia na téj drodze należnych a zaległych podatków. Jak w tém tak i we wszystkim objawiała się na każdym kroku solidarność, godna podziwu i uznania.

Rezultatem tego biernego oporu, téj cichéj i logicznie przeprowadzanéj walki, jest dzisiejszy stan Węgier, które nie orężem, lecz rozumem wywalczyły dzisiejsze swe stanowisko! A kierownikiem tego wszystkiego i twórcą niejako obecnego stanu był Deak.

Otóż w czasie téj walki narodu z żywiołem germańskim, chcącym, *à tout prix*, zalać Węgry i na swój sposób jako prowincją niemiecką urządzić, przez ciąg kilkuletni znajdowałem się w Węgrzech, mając sposobność przekonać się czego dokonać można złączonymi siłami, mianowicie tam, gdzie wszyscy są przejęci i ożywieni jedną myślą, gdzie jeden nad drugiego wynosić się nie chce, i gdzie przywódcą jest człowiek rozumny, nieulegający wpływowi postronnym, ani też nie kierujący się ambycją osobistą, a takim był właśnie Deak, który do ostatniéj chwili życia swego, nie przestając być trybunem ludu, wszystkie tytuły, odznaki honorowe i t. d. ofiarowywane mu przez naród i króla, stanowczo odrzucał, oświadczając że co uczynił to jedynie dlatego, że tak mu nakazywał honor i obo-

wiązek prawego obywatela kraju, którego jest mieszkańcem. Cóż za szczytny przykład zaparcia się! Czyż Węgrzy nie mają racji szczytowania się takim mężem stanu? Czyż naród wydający z łona swego takich ludzi nie jest politycznie dojrzały?

Lecz odbiegłem od rzeczy a więc „*revenons à nos moutons*“ i puśćmy się na wędrówkę po kraju.

Było to właśnie ku końcowi września, a więc w czasie winobrania, w całych Węgrzech odbywanego nadzwyczaj uroczystości (tak jak u nas za dawnych dobrych czasów kończono żniwa dożynkami), gdy w towarzystwie kilku znajomych puściliśmy się w okolice Totis z zamiarem zwiedzenia gór Vereskich (Veres).

W Totis, serdecznie i uprzejmie przyjęci w starożytnym zamczysku hr. Esterhazy, położonym nad obszernym jeziorem w pośrodku przeslicznego parku, zabawiliśmy dni parę, zwiedzając starożytności rzymskie tamże nagromadzone.

W zamku, w którym w czasie wojen napoleońskich przechowywaną była korona św. Szczepana, wraz z innemi insygniami oraz całym prawie skarbem cesarskim tu z Wiednia przewiezionym, od lat wielu nikt już nie mieszka; chociaż gmach cały jest dotąd utrzymany w najlepszym stanie; latem tylko, i to przy szczególnych okolicznościach, hrabia dni parę z gośćmi swemi zwykł tu przebywać; zwykle zaś zamieszkuje w pałacu wznoszącym się w miasteczku.

W podziemiach pałacu tego znajdują się starożytne rzymskie kąpiele.

Z Totis, korzystając z pięknej pory, podążyli-

śmy ku Vereskim góróm, częścią konno a częścią piechotą, robiąc różne postronne wycieczki.

Błąkając się tak w tej części kraju dostaliśmy się do słynnego opactwa benedyktynów Szent Marton. Tu zabawiliśmy przez ciąg dnia całego, rozkoszując się przepysznym widokiem jaki ztąd na półtrzęciój mili odległe brzegi Dunaju rozwija się. Słynie to opactwo znakomitemi winami, pochodzącemi z winnic, które znajdują się na pochyłości góry klasztornej. Winnice te stanowią jedyne i niezmierne bogactwo klasztoru, które dało powód do powszechnie w Węgrzech znanego przysłowia: „W Szent-Marton więcéj wina niż wody.“

W czasie wojny r. 1848 i 1849 opactwo wsławiło się w dziejach krajowych; wszyscy bowiem młodzi zakonnicy, cały nowicyat, bracia zakonni i cała niższa służba, opuścili mury klasztorne i udali się pod sztandary armii narodowej, tak że w opactwie pozostał tylko opat, starzec kilkudziesięcioletni i kilku zakonników, również wiekowych ludzi.

Fundatorem opactwa tego był św. Stefan król węgierski. Akt fundacyjny, zaopatrzony podpisem tego świętego króla apostoła, do dziś znajduje się w opactwie, a jako wysoce cenna relikwia, wielką czią jest otoczony.

Z Szent-Marton przez Acs i Babolnę, gdzie się znajduje najsłynniejsza stadnina cesarska koni czystej krwi arabskiej, podonczas pozostająca pod zarządem pułkownika Brudermanna, który prawie co-rok robił wycieczki do Alepu celem zakupu rasowych

klaczy i ogierów arabskich, ruszyliśmy ku Becse, wiosce położonej w samym centrum gór Vereskich, głównemu celowi naszej wycieczki.

Winobranie odbywało się właśnie w tych stonach w całej pełni. Winnice roły się od robotników i strojnie przybranych dziewcząt węgierskich, które przy dźwiękach cygańskich muzyk, żwawo dojrzałe grona z krzaków obcinały, składając do koszów, a te po zapełnieniu przez parobków do tłoczni przenoszone były. Winobranie trwa zwykle dni parę, i w czasie tego, wieczorem, tak robotnicy jakoteż i właściciel winnicy, z całą rodziną, sąsiadami i gośćmi oddają się wesołej, nieraz z szaleństwem graniczącej zabawie. Śpiewy, tańce i muzyka: oto tło zabawy, podniecającej obficie spełnianemi libacyami.

Śród śmiechu i wesołej pieśni z gospodarzem naszym p. Toth Istvánem na czele, już dobrze po zachodzie słońca, przybyliśmy do winnicy jego, położonej o kilkadziesiąt staj od Becse. Gwarno i ludno było tu; cyganie, ujrawszy nas przybywających, zagrali na powitanie „*Szozat*“ a po tym hymnie zaintonowali szalonego Luiza-csardasa.

Smolne kagańce i całe stopy suchych gałęzi winnej macy, żywo płonąc oświetlały winnicę, a raczej obszerny placyk, rozciągający się przed tłocznią; w domku gdzie tłocznia się znajdowała, było również gwarno. Z dźwiękiem pierwszych tonów csardasa rzuciliśmy się ku zgromadzonym dziewczętom, i niebawem plac przed tłocznią zamienił się w istną salę balową. A było bal w całym słowa znaczeniu; ba-

wiono się bowiem ochoczo, z całą swobodą, bez wszelkiej sztywności i kępującej etykiety, przyczem panowała niewysłowiona szczerość, tak że gdy ze wschodem słońca tańce przerwane zostały, to ogólnie żalowaliśmy, że noc była tak krótką, sądząc iż zabawa trwała jedną chwilkę tylko.

Na zabawę tę, rozpoczynającą winobranie u p. Tóth, zjechali się bliscy sąsiedzi z żonami, siostrami i córkami, które w malowniczych strojach narodowych, z niewymuszoną swobodą wmięszały się w grono wiejskich dziewcząt, biorąc wraz z niemi udział w zabawie. Starsi gospodarze, z wójtem (biro) na czele, wraz z p. Tóth i jego gośćmi, siedząc przy długich stołach, zastawionych gąsiorami pełnymi wina, chlebem białym jak słońce, słoniną, bryndzą i innymi ostremi specyjalami, pijąc i jedząc gwarzyli o spodziéwanych zbiorach wina, o potrzebach gminy i o polityce, narzekając i biadając na Niemców, którzy w komitacie jakby we własnym kraju gospodarować zaczęli.

Cyganie z wytrwałością godną podziwu grali csardasa po csardasu, a w kole taneczników nie było chwili, w którejby kilka par naraz nie tańczyło. Noc księżycowa, jasna, ciepła, błyszcząca tysiącami gwiazd na ciemnym firmamencie, pełna uroku, dodawała niewysłowionego czaru tej ochoczéj i pełnéj poezyi zabawie.

W głębi na horyzoncie, w kierunku południowym, rysowały się poszarpane szczyty gór Vereskich, stoki których dębowy las pokrywał. Z głębi jednego z li-

cznych wąwozów z szumem i hukiem wypadał górski strumyk *Veres* (*Veresz*), tworzący w głębi wąwozu jeden z bardziej malowniczych wodospadów.

Otoczenie wodospadu tego było pełne grozy i poszarpane skały, ściśnające łożysko *Veresu*, zmuszały z wielką siłą i gwałtownością ze znacznej wysokości spadającą wodę do rozbijania się w tysiączne kropelki, które leciuchną rosą nadbrzeżne krzewy i trawki pokrywały. Wysoko ponad wodospadem widniały ruiny starego klasztoru, zburzonego przez Turków.

W jednej z przerw zabawy, zbliżywszy się do stołu, przy którym starsi siedzieli, zwróciłem uwagę na przepyszny widok wodospadu *Vereskiego* i ruiny ponad nim piętrzące się.

Usłyszawszy to sędziwy wójt z *Becse*, *Kovacs Miska*, nalałszy szklanicę wina i podawszy mi ją, w te ozwał się słowa:

— Nie dziwię się temu, że wam, synowi północy, to miejsce się podoba, bo też piękną jest ziemia nasza! A kto ją bliżej pozna, ten i kochać ją musi całym sercem i duszą. Niemcy, tym jest wszystko obojętne, od nich też niczego nie żądamy i mieć nie chcemy, lecz cieszy nas i mimowolnie serce nasze na ścieżaj rozwiera się przed tymi, co nie będąc Niemcami, kraj nasz kochają, i którzy nie są nam wrogami lecz przyjaciółmi, a do liczby tych przyjaciół, i Was policzyć możemy i liczymy. Pozwolicie więc, że opowiem ciekawe podanie, przywiązane do tych ruin i wodospadu *Vereskiego*.

— „W pobliżu głównego spadu Veresu i tuż obok dzisiejszych ruin klasztornych, mówił stary Kovacs Miska, na początku trzynastego wieku, z Siédmiogrodu przybyła horda cyganów założyła tu swój obóz, a że byli bardzo usłużni i użyteczni, zakonnicy téż nie bronili im przebywać w tém miejscu. Tak mężczyźni jako téż i kobiety cygańskiej hordy pracowali bądź w ogrodach, bądź téż na polach klasztornych, i wskutek tego, mając ciągle stosunki z zakonnikami, często znajdowali się w obrębie murów klasztornych. Podówczas na opiece klasztoru znajdował się tamże młody Weszeleny Lászlo, osierocony właściciel Becse i sąsiednich włości.

— „Otóż młodzieniec ten, syn znakomitego rodu, poznał Elgę, najpiękniejszą dziewczynę, należącą do przybyłej hordy cyganów, wnuczkę starego Gimry, naczelnika hordy. Zaznajomienie się młodych ludzi wywołało niebawem szaloną miłość obopólną, i gdy Elga, ulegając prośbom kochanka, z rąk przełożonego zakonu przyjęła Chrzest św. w kapliczce do dziś jeszcze istniejącej w pobliżu wodospadu, oboje zostali tajemnie połączeni węzłem małżeńskim.

„Roskosznie płynęły młodej parze dni poślubne, nie szczęścia ich nie mąciło, nie myśleli o przyszłości, ani téż o skutkach tajemnego związku, przeciw któremu główny opiekun Laszla mógł wystąpić.

„Dnia jednego Elga, nad brzegiem Veresu w pobliżu wodospadu, pod cieniem rozłożystego dębu spoczywając, oczekiwała przybycia ukochanego małżonka, który z towarzyszami udał się na polowanie. Skra-

cając sobie czas oczekiwania, nadobna Elga zdjęła z palca przepyszny pierścień, dany jój w dzień ślubu przez Laszla, i z uwagą przypatrywała mu się, gdy oto z wysokości niebotycznej skały, piętrząc się nad jój głowami, spuścił się z błyskawiczną szybkością kruk czarno-pióry pierścień przez Elgę trzymany, z rąk jój wyrwawszy, nazad ku swemu nadpowietrznemu gniazdu poszybował. Elga oniemiała z przerażenia; po chwili jednak oprzytomniawszy, załamując ręce z rozdzierającym krzykiem pobiegła ku obozowi cyganów, gdzie przybywszy, rzuciła się do nóg swemu dziadkowi Gimre, prosząc go o radę i pomoc. Stary Gimre, słysząc co zaszło, wielce się zasmucił, i po chwili podnosząc od nóg swoich ukochaną wnuczkę, ozwał się do niej w te słowa:

„ — Nieszczęśliwa! całe szczęście twoje wraz z porwanym ci pierścieniem przepadło. Jak nagle i niespodzianie talizman szczęścia swego postradałaś, tak nagle i niespodzianie postradasz i tego któregoś ukochała! Bądź jednak mężną, jak przystoi na moją wnuczkę; miłość Laszla ku tobie uleci z ostatniem jego tchnieniem.

„Z obfitą zdobyczą Laszlo pod wieczór wrócił z polowania. Elga, tonąc we łzach, opowiedziała ukochanemu wydarzenie z pierścieniem, dodając, że dziadek do tego wypadku przywiązuje następstwa bardzo smutne!

„Laszlo uspakajając młodą małżonkę i tuląc ją do łona swego, zapewnił Elgę, że nazajutrz ze świtem pierścień przez kruka porwany mieć będzie na palcu.

„Jak tylko pierwsze blaski poranku rozpraszać poczęły cienie nocy, Elga opuściła swe mieszkanie, śpiesząc do wodospadu gdzie ukochanego małżonka oczekiwać miała. Gdy oto na skale wystającej po nad przepaścią, w którą Veres spadał z hukiem wstrząsającym całe otoczenie, Elga ujrzała martwe ciało Laszla.

Odchodząc od zmysłów, rzuciła się na martwe ciało męża swego, który leżał z roztrzaskaną głową, w ręce prawej trzymając pierścień porwany przez kruka, a w lewej wykorzeniony krzak dębiny, który nie mogąc utrzymać ciężaru po nad przepaścią spinającego się Laszla, wyrwany ze szczeliny skalnej w której rósł, wraz z Laszlem runął w przepaść.

„Wysoko nad głową nieszczęśliwej Elgi, złowrogo kracząc, krążył czarno-pióry kruk, ostrząc dziób swój na biesiadę, jaką los zawistny z dwojga kochanków mu przygotował.

„Elga, pochylona nad ciałem ukochanego męża, pokrywając skrwawione oblicze jego tysiącami pocałunków, usiłowała rozgrzać ciało jego swym oddechem, swemi pieścizotami, lecz daremne były jej usiłowania, daremnie przywoływała go najpieścizotliwszym głosem. Laszlo milczał, oczy jego zamknęły się na wieki, usta jego skamieniały, i zimne i nieczułe były na gorące pocałunki, składane na nich przez rozpaczą miotaną Elgę.

„Zgnębiona rozpaczą i żalem, blada jak widmo nocne, Elga wolnym i chwiejącym krokiem wróciła do szalasu dziadka swego.

„—Już nie żyje! dziadku mój! rzekła stłumionym i bezdzwięcznym głosem; pośród skał u wodospadu leży zabity, spadł ze szczytu skały, gdzie w gnieździe kruka odnalazł mój pierścień! I cóż mi po pierścieniu, gdy jego już niema? Głowa jego nie spocznie na mojem łonie, oko jego nie zajrzy w głąb duszy mojej, usta jego nie spoczna na ustach moich, wszystko już stracone! wszystko!

„Cyganie zabrali szczątki nieszczęśliwego Laszla, który miłość swą dla Elgi życiem przypłacił, i przenieśli do klasztoru, gdzie zakonnicy złożyli je w grobach kościelnych. Elga, milcząca, bez łezki w oku, dnia całe spędzała na miejscu, gdzie mąż jej znalazł śmierć straszliwą; gdy naraz i ona zniknęła bez śladu i wieści.

„Po upływie pewnego czasu węglarze zamieszkujący w lesie nad Veresem znaleźli w jaskini, wyżłobionej w skale wodami Veresu, nietknięte ciało nadozobnej Elgi. Wierna mężowi swemu, śmierci jego nie przeżyła, i dusze ich połączyły się nierozzerwanym węzłem na wieki, u stóp tronu Przedwiecznego.

„Cyganie odnalezione ciało Elgi złożywszy w zimnym grobie wykutym w skale na miejscu gdzie Laszlo życie postradał i usypawszy nad jej grobem mogiłę, którą uwieńczyli kamiennym krzyżem, oddalili się z tych miejsc, dążąc na wschód ku brzegom Dunaju. Grób Elgi zapadł się, porósł cały krzakami, z pośród których widnieje tylko biały krzyż kamienny. Turcy zniszczyli klasztor, zakonników wymordowali bądź też zabrali w niewolę i dziś pusto i głucho tam;

szumi tylko Veres i kracze kruk czarnopióry, gniedzący się po skałach i urwiskach.

„Raz do roku, w dniu zgonu Laszla, widują węglarze nadobną Elgę, błakającą się nad brzegami Veresu i szukającą martwych zwłok swego męża; i słyszą ciche jój łkanie, przerywane nawoływaniem lubego. Milczenie głucho, ponure, złowieszcze, jedy-ną daje jój odpowiedź! Czasami kruk zakracze, lub puszczyk zahuczy, i znowu wszystko umilka, postać Elgi jak mgła wiosenna rozprasza się w powietrzu, i tylko zdala dolatuje dźwięk dzwonu z kościelnej wieży, żałośnie i przeciągle jęczący, z brzaskiem porannym wzywający mieszkańców z nad Veresu do modlitwy porannej!“

Zamilkł Kovacs Miska, głucho milczenie zapano-wało w kole biesiadników, gdy oto od Becse dole-ciał nas dźwięczny głos dzwonu kościelnego. Słoń-ce podnosiło się ze snu. Umilkły cymbały, umilkła wesola piosenka nucona przez dziarskie dziewoje, wszyscy odkryli głowy i padłszy na kolana powitali Królową Nieba hejnałem, zaintonowanym przez Ko-vacsa! I tony tego hymnu popłynęły w dal po rosie, a echo poniosło je nad grób Elgi i Laszlo.

XVIII.

W jesieni r. 1860 z Komorna batalion w którym służyłem przeznaczony został do związkowej twierdzy Rastadt w W. ks. Badenskim nad Renem. Podróż nasza prowadziła przez Wiedeń, Salzburg, gdzie zachwycałem się prześliczną katedrą i obok niej starożytnym cmentarzem, położonym wśród murów rzymskiej areny, Monachium i Ulm, gdzie dzień cały odpoczywaliśmy.

W Ulm przepyszna katedra: „*Ulmer-Dom*“, zbudowana w staro-gotyckim stylu, zajęła nas niemało; pół dnia blisko spędziliśmy na jej obejrzeniu. Świątynia ta, niegdyś rzymsko-katolicka, obecnie jest w posiadaniu ewangelików. Pomimo to wszystkie ołtarze, kaplice i ozdoby katolickie pozostały i są z nadzwyczajną starannością utrzymywane. Stalle w presbiterium rzeźbione z drzewa są istnemi arcydziełami sztuki. Całe wnętrze miasta Ulm nosi na sobie zupełnie odrębny charakter od miast, które dotychczas zwiędziłem.

Gmachy tu wznoszące się i zdobiące główną ulicę miasta, zbudowane są w stylu staroniemieckim, z szpiczastymi dachami i szczytami zdobnemi w rzeźbione belkowania, z wyskokami narożnikowemi (*erker*), i one to nadają odrębną fizygnomią temu pięknemu, choć niewielkiemu miastu, położonemu nad Dunajem i stanowiącemu jedną z większych niemieckich twierdz.

Wieczór przed udaniem się w dalszą podróż komendant twierdzy księżę würtemberski, generał bawarski, odbył przegląd naszego batalionu na placu katedralnym, oświetlonym kagańcami i bengalskimi ogniami. Przegląd ten nadzwyczaj był malowniczy. Z Ulmu przez Stuttgart zdążyliśmy nad wieczorem do miejsca naszego przeznaczenia, to jest do twierdzy nadreńskiej Rastadt, gdzie z wojskami pruskimi i badenskiemi wspólnie mieliśmy odbywać służbę garnizonową.

Zaznajomiwszy się cośkolwiek z niewielkiem miastem, położonem w samym środku twierdzy, zamieszkałem przy głównym placu w kamienicy pod znakiem „*Zum Rindsfuss*“, będącej własnością wdowy, która miała dwie wcale nieszeptne córeczki. Bliskość słynnego kąpielowego miejsca Baden-Baden pocieszała nas cokolwiek w nudach jakich byliśmy tu ofiarami.

Baden-Baden, prześliczna miejscowość, prawie codziennie wieczorem tłumnie nas pociągała; lecz nie zbieraliśmy się przy stoliku gry, bo pod karą dymisyi grać nam było zabroniono. Robiliśmy więc wycieczki w góry, do Ebersteinu, do starego zamku, Je-

suitschloesschen i t. d. Z nadejściem zaś zimy, poznajomwszy się z mieszkańcami Badenu, bardzo miłe wieczorki spędzaliśmy w ich towarzystwie, zapraszani na zabawy i wieczory.

Tu poznałem doktora M., Francuza, u którego co srodę zgromadzało się liczne towarzystwo, na pogawędkę i bardzo ożywione tańce.

W tym czasie przebywał w Baden-Baden słynny nasz pianista i kompozytor Aleksander Zarzycki, który niejednokrotnie odwiedzał mnie w Rastadt, gdzie w kółku kolegów zachwycaliśmy się jego grą.

W czasie karnawału w Rastadt obywatele miasta, należący bez wyjątku do „*towarzystwa zabaw*“ pod nazwą: „*Die Narrhalle*“, wydawali bale bardzo świetne w sali gmachu *Getreidehalle* to jest giełdy zbożowej. Naturalnie, że i my do tego towarzystwa należeliśmy jako członkowie.

W ostatnią niedzielę karnawałową towarzystwo pomienione urządziło trzydniową zabawę, przypominającą karnawał włoski. Zabawa ta, do której wszyscy należeli, rozpoczęła się uroczystym przyjęciem u bram miasta księcia-karnawału „*Prinz Karnewall*“. Do uroczystości téj wezwane było także i wojsko, które w pełnej paradzie, wzdłuż ulic aż do pałacu wielko-książęcego, gdzie książę-karnawał miał mieszkać, było rozstawione. Książę Karnewall, otoczony liczną świtą w kostiumach średniowiecznych, rycerstwem okutym w zbroje i t. d. konno wjechał do miasta, a powitany przez burmistrza pana Scheibele i radnych, przyrzekł łaskawie, że w Rastadtt zabawi dni

parę. Dnia tego w wielkiej sali pałacu w.-książęcego odbył się bal wspaniały.

W pałacu pomienionym, dziś rzadko kiedy przez panującego w. ks. badeńskiego zamieszkiwanym, znajdują się apartamenta zapełnione różnemi pamiątkami, cennemi obrazami, i tu znajduje się gabinet, w którym generał Bonaparte, późniejszy cesarz Napoleon I. podpisał słynny traktat rastadzki, pozostawiając po sobie ślady rzuceniem kałamarza o ścianę, na której dotąd widnieje struga atramentu.

Następnych dni Prinz Karnevall kilkakrotnie pokazywał się na mieście, na tak zwanym jarmarku. Były tu różne hece, tłumy masek snuły się po placu i ulicach, do czego prześliczna pogoda sprzyjała. We wtorek nastąpił drugi bal u Prinza, który o północy nagle padł na tronie! Wtedy muzyka zaintonowała marsz pogrzebowy, przyniesiono olbrzymi kontrabas, i mniemanego księcia włożono wąż jako do trumny; poczem rozpoczął się pochód żałobny, poprzedzony przez żałobników, z których jeden na długim kiju niósł olbrzymiego śledzia.

Tak szaléc i bawić się może tylko naród żyjący bez troski i cieszący się dobrobytem.

W czasie pobytu mego w Rastadt, już z wiosną r. 1861, nadeszła wiadomość o śmierci króla Fryderyka Wilhelma. W skutek tego natychmiast wojsko pruskie tu garnizonujące złożyło przysięgę nowemu królowi, a w dni parę na cześć nowego króla oficerowie pruscy wydali wspaniały bankiet.

Zwiedziwszy Strassburg, Karlsruhe oraz całą

okolice Rastadtu, na początku maja przeniesiony zostałem do Komorna, z kąd niebawem przeniesiono mię do 1-go batalionu, znajdującego się z pułkiem w Wolfsberg, w Styryi. Otóż przez Wiedeń, Hradec i Köfflach podążyłem do nowego miejsca mego przeznaczenia.

Tu zamieszkałem w pobliskiej wiosce, a raczej w folwarku pana Tiefenbach.

Nad Wolfsberg, pięknym i schludnym miasteczkiem, wznosi się wspaniały pałac hr. Henkla von Donnersmark, otoczony rozległym parkiem, w którym tuż nad miastem, wysoko na skale, stoi prześliczne mauzoleum zmarłej żony hrabiego. We wnętrzu tego mauzoleum jest znakomita rzeźba jednego z włoskich mistrzów, przedstawiająca Chrystusa błogosławiącego dzieci.

W pobliżu Wolfsbergu znajdują się fryszerki i gisernie w St. Gertrand, należące do hrabiego, które, dzięki ówczesnemu dyrektorowi zakładu p. Fischerowi, zwiędziłem jak najdokładniej. Zakłady te przynoszą hrabiemu ogromne dochody i należą do pierwszorzędnych w Styryi.

Korzystając z pięknej pogody czerwcowej w towarzystwie kilku kolegów, pp. Tiefenbachów i Fischerów, zrobiliśmy wycieczkę w góry a mianowicie na tak zwaną Chorer-Alpe.

Ciemny mrok pokrywał jeszcze całą dolinę, w której leży Wolfsberg, gdy wyruszyliśmy w pochód

i drapiąc się dzień cały, pod wieczór zdążyliśmy do ostatniej wioski, położonej pod szczytami Alp, gdzie w wiejskiej karczynie pokrzepiliśmy swoje nadwątłone siły i skąd wraz z miejscowym proboszczem, gościnnie przezeń zaproszeni, udaliśmy się na probostwo.

Proboszcz wprowadził nas do mieszkania swego, zupełnie nieoświetlonego. Na razie nie wiedzieliśmy co to ma znaczyć, lecz niebawem zagadka została rozwiązana. Oto stanąwszy w oknach ujrzeliśmy przed sobą rozwijający się czarujący widok na Alpe-chórową, oświetloną pełnym blaskiem księżyca. Podnóże tej Alpy ginęło w pomroce cieniów przepaści, nad którą szczyty błyszczały tysiącami brylantów, migocących w blasku niebieskawego światła księżycowego. Niemy zachwyt ogarnął nas, i chwil parę zaległo między nami głucho milczenie, po którym nagle wybuchł jednogłośnie okrzyk podziwu. Wniesiono światło i przy lampeczce wybornego wina przesiadzieliśmy do północy.

O tej porze z przewodnikami na czele, pozostawiając kobiety pod opieką proboszcza, ruszyliśmy ku Alpie chórowej, na szczyt której mieliśmy wdrapać się przed wschodem słońca, co też szczęśliwie uskutecznione zostało. Szczyt Alpy pokryty był lodem i grubą warstwą śniegu, tworząc niewielką płaszczyznę, na której dziesięć osób dosyć wygodnie pomieścić się mogło.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca ozło-

ciły otaczające szczyty, z pośród których w głębi jak olbrzym wznosił się Ortel; przed nami zaś ku północy widniała „Schneekoppe“, promieniejąca złotym blaskiem promieni słonecznych; w siniej mgławej oddali widać było na horyzoncie ciemną smugę z szczytem jakiejś wieżycy; był to Wiedeń, po za którym, jak blade rysujące się widmo, łańcuch gór karpackich. Nasyćwszy się widokiem przewspaniałym i spisawszy odpowiedni protokół, który uwięziony w butelce szczelnie zamkniętej złożyliśmy w umyślnie na ten cel w lodzie wyrąbanéj jaskińce, rozpoczęliśmy odwrót, który o wiele więcej przedstawiał trudności niż samo wdrapanie się na szczyt Alpy.

Okolo 10-éj byliśmy już z powrotem na probostwie a odpocząwszy i spożywszy obiad, ruszyliśmy do St. Gertrand, dokąd późno w noc, bo po północy, przybyliśmy.

XIX.

W dziesięć lat później, już mieszkając w Królestwie Polskiem, dnia 2 maja r. 1871 w samo południe istną arką Noego, tak nazwaną pocztową karetką, puściłem się z Lublina w podróż do Wenecyi. Naza jutrz rano stanąłem w Warszawie; a załatwiwszy niektóre interesa, odnoszące się do méj podróży, dnia 4 maja pośpiesznym pociągiem warszawsko-wiedeńskieji drogi, na skrzydłach pary, w towarzystwie trzech kaszlących i drzemiących pań, oraz ich trzech warczących i szczekających piesków, nadzwyczaj lubych stworzonek, pogoniłem ku granicom kraju.

Poleciwszy się w przejeździe przez Częstochowę opiece Cudownej Maryi Panny i pożegnawszy zdala widniejący przybytek Przeczystej Dziewicy, -który, jak latarnia morska w przystani, na straży u granic kraju się wznosi, około 3-ój po południu stanąłem w Szczakowie, zkąd po chwilowym przystanku na

Trzebinie i Oświęcim, widownię zaciętej walki 1866 r., ruszyliśmy dalej do Wiednia.

Dnia 5 maja śród deszczu rześistego o godzinie pół do siódmej rano przybyłem do Wiednia i umieściwszy się w hotelu pod złotą gwiazdą na „*Brandstüdtle*“, tuż obok placu św. Szczepana, wybiegłem na miasto celem obejrzenia zmian, jakie w ciągu 12-letniej mej niebytności tutaj zaszły.

Wędrówkę moją rozpocząłem od zwiędzenia kościoła św. Szczepana, którego wnętrze właśnie było restaurowane. Po wysłuchaniu Mszy świętej i pięknych śpiewów chóralnych, puściłem się przez plac *Stock am Eisen*, znacznie rozszerzony i wspaniałym gmachem bazaru przyozdobiony, przez Graben i Kohlmarkt, dalej zamek cesarski, do Volks-Gartenu, który od czasu mego ostatniego pobytu w Wiedniu ogromnym uległ zmianom. Z tamąd podążyłem ku bramie karynckiej, podziwiając przepyszne pomniki: arcyksięcia Karola, księcia Eugeniusza Sabaudzkiego i ks. Schwarzenberga. Od bramy karynckiej skręciwszy na prawo ujrzałem olbrzymi gmach wielkiej opery, obok której wznosi się przesliczny wodotrysk, zdobny w rzeźby z białego marmuru, przedstawiające rzeki monarchii austro-węgierskiej. Naprzeciw opery wznosi się pałac, istny olbrzym, cały pokryty mozaiką na tle złotém. Wzniesienie tego pałacu kosztowało pana Heinricha, fabrykanta cegieł, tylko 3,000,000 guldenów! Idąc dalej ulicą, zwaną Ringstrasse, ze zdumieniem przyglądałem się gmachom, wznoszącym się w przeróżnych stylach, a będących pałacami arcyksią-

żąt, magnatów, bankierów i t. d. Tak wałęsałem się po mieście aż nadszedł wieczór, a nie mając nic do roboty poszedłem do wielkiej opery.

Wspaniałością samego już przedsiönka byłem olśniony! Nazajutrz o 7-jej rano pośpiesznym pociągiem kurierskim kolei żelaznej południowej opuściłem Wiedeń, dążąc do Tryestu.

Poza Wiedniem przejeżdżamy wśród samych prawie ogrodów i miasteczek położonych malowniczo. Na przestrzeni tej między Wiedniem a Gloggnitz, widać w dali letnią rezydencyą cesarską Schönbrunn, olbrzymią fabrykę cegieł i wyrobów z terracotty w Inzersdorf, zajmującą przestrzeń 200-morgową (1,600 sążni kwadratowych) i posiadającą 52 piece, które w ciągu dni dziesięciu dostarczają 4,500,000 sztuk cegieł. Dalej widać z mineralnemi wodami Mödling i pyszny kościół, wzniesiony tam r. 1454. Dalej kąpielowy zakład w Baden, Vöslau, Wiener-Neustadt, St. Aegydén, zkaąd widać już olbrzymią śniegiem pokrytą górę Schneeberg (6566 st. p. m.), dalej Pottschach, zkaąd oczu naszym przedstawia się w całym splendorze początek Alp, które niebawem siłą pary z szumem i hukiem przebywać mamy. Na lewo widać na skale zawieszony zamek Wartenstein, w XII wieku zbudowany, i r. 1720, jako ruina już, należący do hr. Stella Caraccioli. Na prawo góra Silberberg, na stokach której znajdują się ostatnie winnice arcyksięztwa austriackiego. Przed nami zaś w mgławiej oddali, u podnóża trójgraniastego Göstritz, Semeringu i Raxalpy,

śród uroczej zieleni świeżo co rozwijających się drzew widać zamek Glognitz, dawniej *Cella monacorum*.

Ztąd zaczyna się właściwa przestrzeń kolei Semeryngskiej, którą r. 1848 zaczęto budować pod kierunkiem inżyniera Karola von Ghega wedle jego własnego planu i pomysłu. Najwyższy punkt, jakiego pociągi na tej kolei dosięgają, jest 2,788 stóp nad powierzchnią morza położony. Przebywszy Semering i Hradec przebiega tór kolei żelaznej wśród niebotycznych skał, uwieńczonych malowniczymi ruinami zamków, ciemnej zieleni flory alpejskiej i bielejących kościołów.

Minąwszy Lublanę, puste i dzikie okolice Karstu, dalej: Nabreżynę, i przesunąwszy się przez wiadukt *Barcola*, zawieszony ponad głębiną Adryatyku, przeleciawszy z błyskawiczną szybkością przez *Grignano*, zkaąd widać sławnie piękny zamek nieszczęśliwego Maksymiliana cesarza Meksyku „*Mira Mare*“, już o godzinie 9-jej wieczór zatrzymaliśmy się w olbrzymim gmachu tryesteńskiego dworca.

Dworzec ten położony jest nad samem morzem i to w miejscu, gdzie do niedawna jeszcze były niedostępne skały, kąpiące swe stopy w falach morskich. Przestrzeń, jaką ten dworzec zajmuje, wynosi 50 morgów, a z ilości tej uzyskano większą połowę zasypaniem morza i przesklepieniem dwu górskich strumieni *Torrente Klutsch* i *Morstein*.

Nie zatrzymując się chwili w Tryeście, szalenie pędzącym carricolo (dorożka) pogoniłem na Molo San-Carlo, gdzie stał na kotwicy statek parowy, o 10¹/₂ go-

dzinie wieczór odpłynąć mający do Wenecyi. Nabywszy bilet podróżny w kancelaryi paropływu i ulokowawszy swoje manatki w salonie z myślą wygodnego na kanapie użycia wczasu, wyszedłem na pokład, by przypatrzeć się miastu rzęsiście oświetlonemu i całej armii statków, kołyszących się majestatycznie w przystani, którą za chwil parę opuścić mieliśmy. Niebawem też kapitan statku, nadzwyczaj uprzejmy człowiek, Włoch rodem, dał sygnał, i kotwica zaczęła się podnosić.

W tej chwili usłyszałem rodzinną mowę. Z niewysłowioną więc radością zbliżyłem się do rodaków i niebawem przekonałem się, że na całym statku tylko my jedni byliśmy Polacy.

Rodacy, których poznałem, byli to pan Mieczysław Horbowski, znany dziś śpiewak, ze swą młodą małżonką, i panna Mieszkowska, udająca się do Florencyi.

Noc była pogodna; księżyc, zrazu ukryty po za chmurami, niebawem swém magiczném światłem oświetlił głębiny morskie, posrébrzając promieniami swemi szczyty fal cokolwiek wzburzonego morza. Statek nasz, noszący nazwę „*Milano*“, szparko posuwał się naprzód. Wiatr południowy szumiał pomiędzy linami i masztami, a koła warczały, rozbijając z impetem groźnie piętrzące się bałwany.

Ponieważ w kajucie było duszno i poczęły się tam objawiać symptomata morskiej choroby, przeto postanowiliśmy noc całą spędzić na pokładzie, i przy herbacie rozkoszowaliśmy się widokiem miotanego

wichrem morza, oświetlonego promieniami księżyca, który, kryjąc się za czarne i gromonośne chmury, pogrążał nas w cieniu.

Morze było wzburzone, a podmuchy wiatru południowego były dosyć silne; niedziw więc, że statek nasz, prując bałwany, potężnie był wstrząsany; pomimo tego jednak, dzięki świeżemu i orzeźwiającemu powietrzu, z towarzystwa naszego nikt nie uległ zwykłym cierpieniom.

Nad ranem, około godziny 3-jej, spotkaliśmy kilkanaście łodzi rybackich z rozpuszczonemi żaglami, które, pogrążone w cieniu nocnym i we mgle wydobywającej się z powierzchni wód morskich, jak widma jakie grobowe i milczące, z zadziwiającą szybkością nie opodał od naszego statku przesunęły się. Niebawem na wschodzie krańce sklepienia niebieskiego poczęły się rumienić, zamieniając morze w krwawą płomienną płaszczyznę, po której jak gołębie przemykały białe żagle okrętów, dążących do Tryestu.

Naraz z górnego pomostu kapitan donośnym głosem oznajmił nam, iż szczyty wież kościołów oblubienicy Adryatyku, precudownej Wenecyi, z głębiny morskiej wychylać się poczynają. Niebawem też ujrzelśmy Wenecyą, kąpiącą się w pełnym blasku wschodzącego słońca i w nurtach lagun o zwierciadlanej powierzchni.

Wieżycy św. Marka, pałac Dożów, Dogana i kościół Giorgio maggiore, majestatycznie nas witały, i jak wstydliva dziewica, kryjąca swe uroczę wdzięki, od czasu do czasu osłaniały się przezroczystą gazą

mgły, unoszącej się ponad lagunami, a słońce promieniami swemi połączając szczyty tych gmachów, zwolna usuwało z przed oczu naszych mgłę, która coraz niżej opadając i gęstniejąc, tuż nad powierzchnią wody zdawała się tworzyć bezmierną przestrzeń śnieżystej płaszczyzny. Pogrążeni w zachwycie widokiem, jaki oczu naszym się przedstawił, o godzinie piątej zatrzymaliśmy się naprzeciw Piazzetty i w chwil kilka później zajęliśmy wygodne mieszkanie w hotelu Luna.

Odpočząłem cokolwiek po bezsennie spędzonej nocy po pod bramą nowej Prokuratoryi, poczem ruszyłem na plac św. Marka, a ztamtąd i do kościoła tegoż świętego. Fasada bazyliki jest najpyszniejszą ozdobą tego prześlicznego placu, o którym Petrarca powiedział; „*Platea illa, cui ne scio an terrarum orbis parem habeat*“.

Nad pięciu bronzowymi bramami wznosi się ty-leż łuków zdobnych w przepyszne rzeźby i mozaikę na złotém tle. Fasadę i jej arkady podtrzymuje 292 kolumn w dwu kondygnacjach.

Nad drzwiami głównymi pomieszczone są cztery olbrzymie konie, ulane z brązu i pochodzące z bramy tryumfalnej Nerona i Trajana. Ponad koźmi zaś wyżej jeszcze znajduje się wspaniały połączany *lew* św. Marka. Pięć kopuł uwieńcza całość tej arcypięknj budowli.

W chwili gdym wszedł do bazyliki, przed jednym z bocznych ołtarzy spełniała się bezkrwawa oliara. a po wysłuchaniu mszy świętej, po latach 12-tu

puściłem się po bazylice, aby przypomnieć sobie to com dawniej widział. Właśnie bazylikę w zupełności odnawiano. W przedsionku od strony „*Merceria*“ wznosi się prześliczny swą skromnością pomnik dyktatora Manina, powszechnie „ostatnim Dożą Wenecyi“ zwanego. Tłumy szarych gołębi siedziały na nim, gruchając żałośnie. Wdzięczne ptaszki, one wiedzą kto tu spoczął wiecznym snem ujęty!

Opisywać szczegółowo placu św. Marka nie będę, uważając to za rzecz zbyt cenną, témbardziej, że opisu tego dokonał po mistrzowsku niepospolity estetyk i rzeczoznawca Kremer; nadmienię więc tylko, że Palazzo reale, Prokuratorye stare, wieża zegarowa, bazylika, dzwonnica (il campanile) z loggettą (strażnica) tworzą niezrównaną i nadzwyczaj oryginalną całość.

Wróciwszy do hotelu około południa, już z nami towarzyszymi podróży, którzy dotąd po bezsennej spędzonej nocy odpoczywali, puściliśmy się na wędrówkę po placu, Piazzecie, Riva Schiavoni i pobliskich ulicach, oglądając wystawy sklepowe, przy czém panna M. szczególną uwagę zwracała na pyszne wyroby złotnicze, prawdziwie zachwycać mogące. Wieczorem zasiedliśmy u *Floryana*, pod kolumnami starej Prokuratoryi i przysłuchiwaliśmy się dźwiękom wyborniej włoskiej wojskowej orkiestry, która grała na placu oświetlonym przeszło 300 gazowemi płomieniami.

Nazajutrz dnia 8 maja po wysłuchaniu mszy św., jako w uroczysty dla nas dzień św. Stanisława, z ci-

ceronem p. Bulgari, ruszyliśmy do pałacu Dożów, wchodząc do wnętrza jego bramą, zwaną Porta della carta, wzniesioną r. 1440 przez Bartolomea i Giovanna braci Buono. Arcydzieło to sztuki i przepychu! Po schodach olbrzymów, ozdobionych przez Sansovina, weszliśmy na krużganki, okalające wnętrze pałacu a zdobne popiersiami sławnych ludzi. Ztąd wchodzi się do sal i mieszkań dożów. Nagromadzone są tu rzeźby i arcydzieła pędzla, jako też i cała biblioteka św. Marka. Sala wielkiej rady (dell gran consiglio), gdzie obecnie pomieszczono część biblioteki wspomnionej, ściany ma pokryte obrazami olbrzymiej wielkości; a są to dzieła Tintoretta, Pawła Veronese, Bassana i Palmy. Nad tronem dożów rozwiesza się na całej ścianie słynny obraz Tycyana „Sąd ostateczny“; u góry zaś wzdłuż fryzu pomieszczone są portrety Dożów, między którymi brak jednego. Próżne miejsce osłania czarna opona z czerwonym napisem: „*Marino Falieri decapito*“. Oboczna sala *dell scrutinio*, gdzie reszta biblioteki się mieści, szczególną uwagę zwraca na siebie *Sądem ostatecznym*, malowanym przez Palmę młodszego. Na obrazie tym mieści się 5,000 figur; z tych kilkaset będących na pierwszym, planie jest naturalnej wielkości. Tu są także obrazy przedstawiające bitwę pod Lepanto, przymierze z cesarzem Barbarossą, oraz reszta portretów Dożów weneckich. *Salla della Bussola*, słynna boazeryami, *sala Rady Dziesięciu*, mieszcząca same oryginały Veronesa, a słynna w dziejach z powodu sądu, jaki tu na Marina Falieri odbywano, *sala czterech drzwi*, z arcydziełami

Tycyana i Tintoretta, oraz rzeźbami Sansovina, Scarlattiego, Donatella i Congranda, wzbudzają na przyszłych podziw niewysłowiony. W kaplicy, oprócz pysznej statuy Matki Boskiej, rzeźbionej przez Sansovina, wśród wielu innych arcydzieł szczególną uwagę zwraca na siebie Matka Boska Bolesna Albrechta Dürera. W *sali dell scudo* znajduje się mappa świata całego z roku 1487, na której zamieszczony jest przyładek Dobrej Nadziei; z tego wnosić należy, że mnich, który tę mapę wykonał, musiał już wiedzieć o istnieniu tej części Afryki, pomimo że dopiero o wiele później odkrytą była. Obejrawszy wszystkie sale, puściliśmy się do sławnych ołowianek (*Piombi*), gdzie pokazują nibyto prawdziwe więzienie Silvia Pellica! Ztamtąd przez most Westchnień spuściliśmy się do podziemnych więzień, i te są w istocie przerażające. Zakończywszy na tém odwiedziny w pałacu Dożów i po spożyciu śniadania á la fourchette, ruszyliśmy do San Giorgio Maggiore, wznoszącego się naprzeciw Piazzetty po za kanałem Wielkim.

Kościół ten wznosił r. 1575 słynny Palladio, i cały jest zbudowany z szarego granitu i białego marmuru. Oprócz arcydzieł Tycyana i Palmy, najbardziej zachwyca tu rzeźba, przedstawiająca Chrystusa pana na krzyżu, wykonana z białego marmuru przez Donattella.

Opuściwszy ten kościół, ruszyliśmy gondolą ku wyspie Sau Lazaro. Minawszy Giudecçe, San-Servolo, klasztor widniejący naprawo, i Lazzaretto vecchio na lewo, wspaniałe gmachy mieszczące się na dwu

wyspach rozdzielonych kanałem Orfano, po półgodzinnej żegludze stanęliśmy w przystani wyspy San-Lazaro, u stóp schodów prowadzących do klasztoru Mechitarzystów (Ormianie obrządku rzymsk. katol.). Brama wchodowa rozwarła się na nasze przyjęcie i prowadzeni przez cicerona weszliśmy do wirydarza, zwanego tu atrium. Róże, buldenez, bzy i oleandry w pełnym były rozkwicie, zapelniając powietrze przedudowną wonią. Jeden z członków zgromadzenia, *padre Abrahamo*, wyszedłszy na nasze powitanie, ofiarował uprzejmie towarzyszącym nam paniom po wiązance świeżo uszczkniętych kwiatów i poprowadził do kościoła.

Mały ten lecz piękny kościółek, zdobny kilku pomnikami, kopią Madonny Sassoferrata, wykonaną przez nawróconego Turka Jana Emira oraz innemi dziełami sztuki, bardzo miłe robi wrażenie na zwiedzających, zwłaszcza gdy tak jak my nadejdą w czasie modlitwy popołudniowej. Zmarły już od r. 1875 arcybiskup Siny Monsignor Grzegorz Hurmuz, starzec w bardzo podeszłym wieku i jakiś inny jeszcze prałat, przybyły, ze Wschodu, obecnymi byli modlitwie, którą jeden z ojców zgromadzenia w języku ormiańskim intonował. Zaprzeczyć nie mogę, że modlitwa ta głębokie na mnie wywarła wrażenie. Zdawało mi się, że nagle przeniesiony zostałem w odległą przeszłość i że słyszę starożytnych bardów z Koghten, wygłaszających święte ballady. Do spotęgowania tego uczucia niewątpliwie przyczyniło się to, że kościół cały zalegał półcieni, jakoteż urocza cisza, prze-

rywana monotonnym a jednak pełnym harmonii głosem czytającego modlitwy. (*)

Po zwiedzeniu refektarza przeszliśmy do biblioteki i muzeum. Tu z przedsiönka przybytku nauki rozwija się rozległy widok na Lido i morze, dotykające krańcami swemi przepysznego sklepienia błękitnego nieba. W obocznych salach mieszczą się skarby literatury ormiańskiej; 30,000 tomów dzieł drukowanych składa tę bibliotekę. Tu także są piękne rzeźby Fabris'a, mumia, papyrus birmański i inne cenne rzeczy.

W archiwum zaś spoczywa 2,000 tomów drogocennych manuskryptów, samych oryginałów; archiwum to stanowi olbrzymie bogactwo zakonu. Jest to najbogatszy zbiór manuskryptów ormiańskich, nie tylko w całej Europie, lecz nawet jest on bogatszym od zbiorów w Eczmiadzynie (w wielkiej Armenii).

Opuściwszy ten przybytek nauki, udaliśmy się do ogrodu położonego za kościołem i na folwark, gdzie w prześlicznie urządzonej oborze mieści się dwadzieścia kilka krów. Ztąd ojciec Abrahamo zaprowadził nas do drukarni zakonu i księgarni, gdzie znalazłem książkę z modlitwą św. Nereusza, drukowaną w drukarni klasztoru w trzydziestu dwu językach.

W księgarni znajduje się księga pamiętnicza w której zwiedzający wyspę św. Łazarza zwykli się

(*) *Patrz: Wyspa św. Łazarza w Wenecyi, z francuzkiego przekład Wł. K. Zielińskiego. Wenecya 1876. w drukarni OO. Mechitarzystów.*

zapisywać. Ciekawy to zbiór autografów; są tam podpisy monarchów, najślawniejszych ludzi świata całego, uczonych i poetów. Pożegnawszy ojca Abrahama wsiedliśmy do gondoli i okrążając wyspę św. Łazarza, po półgodzinnój żegludze, obok ogrodów publicznych i wyspy św. Heleny, stanęliśmy w przystani Lido, u celu naszej podróży. Lido jestto rozległa wyspa, zasłaniająca laguny jednym bokiem od morza pełnego, które z szumem na mieliznach téj wyspy piętrzy swoje bałwany.

Tu są liczne ogrody, winnice, restauracye (tak zwane: „albergo“) i zakład kąpieli morskich.

Tam téż podążyliśmy. Z wysokiego pomostu, zwieszającego się ponad głębiną morską, rozwija się widok, który słowem trudno opisać. Bałwany piętrzą się i miotają jak olbrzymy jakie, zdala widać było na powierzchni morza jak zbliżały się i następnie z rykiem podobnym do huku tysięcy dział rozbijały o wiązania pomostu, na którym staliśmy. O! cóż to za rozkosz podziwiać i wsłuchiwać się w tę przepyszna symfonią natury!? Bałwany morskie swoim szumem mruczą, grają i śpiewają istny hymn pochwalny, głoszący potęgę i wielkość Stwórcy. Jakże błogo wsłuchiwać się w tę nieporównaną harmonią, tę muzykę świata, jak rozkosznie bujać wzrokiem po téj bezmiernój przestrzeni głębin Adryatyku, którego wody zielone jak najcudowniejszy szmaragd, pokryte jasną jakby perłami oświetlającami blaskiem i białością! Jak daleko oko sięgnąć może, nie widać nic, nad morze i morze! iskrzące, migocące, ruchliwe, pię-

trzące się bałwanami, podrzucającemi leciuchną łódką rybacką. O jak miło i swobodnie odetchnąć tu piersiami całemi; powietrze tak lekkie, orzeźwiające, tak pełne pokrzepiającej siły a tak przejrzyste, że zdaje się iż dojrzećby można co się na drugim końcu świata dzieje!

Po dwugodzinnym pobycie na Lido, pokrzepieni szklanką wysmienitego wina d'Asti (spumante), ruszyliśmy ku Wenecyi, dokąd po półtorogodzinnéj żegludze przybyliśmy.

Po obiedzie, przeszedłszy popod wieżę zegarową, podążyliśmy uliczką zwaną *Mercaria* ku sławnemu Ponte Rialto.

Torre dell'orologio wzniesiono 1496 r. wedle planów i pod kierownictwem architektów Gian Paolo i Gian Carlo Rinaldi da Reggio. Naprzeciw wieży zegarowej, tuż obok nowych Prokuratoryj, wznosi się 304 stóp wysoka wieża, Campanile di San Marco, budowę której rozpoczęto na początku X wieku, a wykończono takową we 240 lat później pod kierunkiem Bartolomea Buono. Do wieży téj przypiera tak zwana Loggetta, istne cacko, klejnot architektury i rzeźby; strażnicę pomienioną wznosił r. 1540 w stylu Odrodzenia Sansovino.

Następnego dnia zwiędziliśmy kościół Maryi di Salute, cały z białego marmuru i spoczywający na milionie podwodnych palów. W wielkim ołtarzu znajduje się przepyszna rzeźba Justusa le Court. Świecznik bronzowy, arcydzieło A. Cresciana, zwiészający się od stropu, zachwyca zwiędzających. W skarbcu

znajdują się trzy antepeda szczerozłote, pokryte najcenniejszymi kamieniami!

Naprzeciw kościoła wznosi się pałac Desdemony, słynnej żony Otella. Wązki to domek, kąpiący się w wodach kanału. Struktura pałacyku tego jest maurytańska.

Puściwszy się kanałem Wielkim, podziwialiśmy pałace Contarinich, Foscarich, Katarzyny Cornaro królowej Cypru, Mucenigów i innych, poczem zdążyliśmy do akademii sztuk pięknych. Opisywać skarbów tu nagromadzonych nie będę, i poprzestanę tylko na wzmiance o *Wniebowzięciu Tycyana* i *Chrystusie w domu Lewi Pawła Veronese*. Kto tych dwu obrazów nie widział, pojęcia mieć nie może o piękności malarstwa! Nic piękniejszego, nic wznioślejszego w życiu mojem nie widziałem, i zachwyt jaki mnie ogarniał na widok ich za pierwszego mego pobytu w Wenecyi 1853 r. oraz w czasie późniejszym r. 1858, i teraz bynajmniej się nie zmniejszył, owszem jeszcze się spotęgował.

Ze szkoły sztuk pięknych podążyliśmy do kościoła *dei Frari*, pysznego gmachu w stylu gotyckim, we wnętrzu którego znajdują się pomniki wszystkich prawie Dożów i sławnych wodzów weneckich. Na lewo i prawo od głównej nawy wnoszą się pomniki z białego marmuru Canovy i Tycyana. Do niedawna jeszcze przy kościele tym znajdowała się arcypiękna kaplica, Santa Maria dell Rosario, cała z marmuru białego, pokryta płaskorzeźbami, niemającemi nic równego sobie na całej kuli ziemskiej. Roku 1853 zwié-

działem ją, gdy jeszcze była w całym blasku swój świetności; teraz po pożarze który ją r. 1868 zniszczył, leżała w gruzach.

Ztąd pośpieszyliśmy do muzeum zwanego *Scuola di San Rocco*. Nazwa tego muzeum pochodzi od imienia fundatora, i niegdyś gmach ten mieścił w sobie szkoły duchowne, pozostające pod nadzorem dominikanów. Schody prowadzące na pierwsze piętro są z marmuru, a ściany ozdabiają piękne obrazy. Sala zajmująca całe piętro, z ołtarzem i rzezbami ją okalającymi, zasługuje na podziw. Rzeźby wykonał Brustolone, na ścianach są szafy biblioteczne a raczej ich naśladownictwo. Jedna z takich szaf jest odsłonięta, i tu widzimy stare księgi, w pysznej odwiecznej oprawie, zniszczone cokolwiek ciągłym używaniem, kałamarz z piórem, zapomniane okulary, a wszystko to jest z drzewa, do złudzenia naśladowujące naturę! Wykonawcą tego był Giovanni Marchiori.

W obocznej salce na ścianie przeciwległej wejściu, zawieszono najznakomitsze arcydzieło Tintoretta: *Chrystus na krzyżu*. Do obrazu tego przywiązaną jest tradycja. Senat Rzplitej weneckiej polecił Tintoretowi wykonać obraz przedstawiający Chrystusa na krzyżu. Tintoretto, chcąc ten obraz jak najwierniej wykonać, niewolnika swego przywiązał do krzyża, aby mu służył za model, i w chwili w której nieszczęśnik był ubezwładniony, pchnięciem sztyletu w prawy bok zabił go, i w chwili konania, rysy agonii śmierci pokarczonej twarzy z przerażającą dokładnością naszkicował, wlewając w oblicze

Chrystusa niewysłowioną potęgę wyrazu boskości i spokoju! Senat, dowiedziawszy się o tak nieludzkim czynie Tintoretta, skazał go na śmierć, lecz uwzględniając że był jedynym mistrzem, chlubą Rzplitej, wyrok śmierci złagodził, zamieniając go na dziesięcioletnie więzienie i osadzenie w gmachu San Rocco, poleciwszy, aby Tintoretto gmach ten za karę ozdobił dziełami swego pędzla. Dlatego też ściany muzeum są pokryte samymi prawie arcydziełami Tintoretta. Patrząc na Ukrzyżowanego Chrystusa, zdaje się, iż słyszymy jęk konającego Chrystusa Pana, a tyle tam rozpaczy, boleści, przerażenia, w połączeniu z niezmierną słodyczą i boskością, jak gdybyśmy patrzyli na śmierć Boskiego męczennika, Zbawiciela świata, który z miłości dla rodu ludzkiego poniósł karę ze słowami przebaczenia na ustach!

Zwiędziwszy kościół św. Jana i Pawła i słynny kościół jezuitów, r. 1715 — 1730 wzniesiony z marmuru białego, a mający ściany pokryte inkrustacją w pyszną arabeskę z cennego kamienia *Verde antico*, tabernakulum całe z *lapis lazuli*, dywan przed wielkim ołtarzem z mozaiki i inne arcydzieła sztuki, ruszyliśmy do pałacu *Pezaro*, gdzie są nagromadzone przeróżne starożytności. Przedtém jeszcze zwiędziliśmy fabrykę mozaiki, znajdującą się obok kościoła św. Jana i Pawła. W fabryce téj, oprócz różnych mozaiek, wyrabiają także śliczne biżuterje z awanturynu (naśladownictwo kamienia przejrzystego ze złotymi płatkami).

W fabryce pomienionej spotkaliśmy jako nadzorcę Karyntczyka, mówiącego wcale nieźle po polsku.

Tego dnia jeszcze wieczorem z Rzymu przybyła siostra moja, z którą w dalszą podróż udać się miałem. Nazajutrz dnia 10 maja pp. Mieczysławowie Horbowscy z panną Cecylią Mieszkowską rannym pociągiem kolei żelaznej odjechali do Florencyi; ja zaś z siostrą ruszyliśmy do klasztoru ormiańskiego na wyspę św. Łazarza, a po zwiędzeniu tego prześlicznego ustronia popłynęliśmy na *Lido*, gdzie po trzygodzinnym pobycie, popod wyspę św. Heleny, ogrody publiczne, kanałem arsenału, zdążyliśmy do wyspy Murano, i wpłynęliśmy z kanału Il Ré na kanał Wielki.

Około godziny 6-jej wieczorem, zwiędzając w dalszym ciągu miasto i około Dogany żeglując kanałem Giudecca, gdzie zatrzymują się statki z węglem kamiennym, drzewem i wodą do picia, przywożoną z rzeki Brentano, dostaliśmy się poza obręb miasta, popod nową groblę kolei żelaznej, mającą połączyć Giudeccę z główną stacją. Obok ogrodu willi Papadopoli wydostaliśmy się na kanał Wielki, którym już późno wieczór przy blasku gdzieś zamieszczonych latarni gazowych zdążyliśmy na Piazzettę.

Na placu św. Marka wrzało życie w całej pełni. Tłumy ludu, przysłuchując się dźwiękom muzyki, przechadzały się popod arkadami Prokuratorij i po placu rześście oświetlonym, a pośród przechadzających się, roznosiciele gazet się uwijali. Jeden piskliwym głosem wołał „*Gazeta di Venezia di oggi, cinque centesimi!*“ Inny znów, popychając roznosiciela gazety

weneckiej, tubalnym głosem oznajmiał: „*Il Fanfullo, Fanfullo, fullo! di oggi, di oggi, due centesimi la stampa*“! Tymczasem z drugiego końca placu dolatuje innego rodzaju wrzask: „*Ohe, Gazzetta di Firenze, gazetta Ufficiale, aieci centesimi!*“⁴, mieszający się ze śpiewnym nawoływaniem roznosiciela kandyzowanych owoców; „*Caramelli, caramelli, carra, carra, carra, carrrrramellllli!*“ Tu znowu z pośród tłumu wysuwa się roznosiciel owoców, i ten krzyczy także: „*Signori! Ohe! i piccoli mandarini tre centesimi, limoni due centesimi*“.

Taki tu panuje chaos, taka wrzawa, że trudno zrozumieć co obok siedzący sąsiad mówi.

Rano ze świtem panuje na mieście podobna wrzawa, z tą tylko różnicą, że nie gazety i owoce, lecz inne przedmioty przez przekupniów są ogłaszane. I tak jedni wołają: *Late!* inni: *Pulastre, carne, salate!* I wtedy otwierają się okna i spuszczaają z wyższych pięter koszyki, w które przekupnie składają swój towar w zamian za będące tam pieniądze.

Dnia następnego puściliśmy się znowu popod Doganę, San Servolo, San Lazaro ku Malomacco, dokąd po dwugodzinnej żegludze przybyliśmy. Piękna i niebardzo obszerna to wysepka, zabudowana cała piętrowemi domami, zamieszkałemi przez rybaków i ogrodników. W pośrodku wysepki wznosi się piękny kościół w stylu gotyckim, poświęcony Matce Boskiej. Ulice miasteczka Malomacco są bardzo czyste i wyłożone płytami marmuru i granitu. W jednej tu istniejącej restauracyi *alla Stella* spożyliśmy śniadanie *al*

Italiano, mianowicie: fritturę z rybek morskich, różnych raków zwanych tu pajęczkami, jaj smażonych (*ovi fritte*), pysznej sałaty z endywii i sera bardzo ostrego i bardzo pachnącego. A zakropiwszy to śniadanie niezłym czerwonym winem „*Nostrano*”, około godziny drugiej z południa ruszyliśmy ku pełnemu morzu, mijając liczne barki, statki żaglowe i maszyny parowe pracujące nad oczyszczeniem kanałów.

Po godzinnęj żegludze gondola nasza zatrzymała się u pierwszēj latarni morskiej, wznoszącēj się u wejścia na tak zwane: *Murazzi*.

Jestto mur olbrzymi, wychodzący od wyspy w tē miejscu będącēj, a ciągnący się prawie na półtoręj godziny marszu wgląb morza. Zadaniem tego muru jest osłanianie portu od gwałtowności bałwanów morskich i od przypliwów, które szczególnie są tu wielkie.

Mur pomieniony wzniesiony jest z olbrzymich bloków granitowych, spojonych z sobą żelaznemi ankrami i cementem. Szerokość jego u wierzchu wynosi dwa sążnie a nad powierzchnię morza wystaje na dwa do trzech sążni. Na ostatnim krańcu tego muru wznosi się druga latarnia morska. Wsiadłszy z gondoli, mimo palących promieni słońca, ruszyliśmy ku ostatniēj latarni, mając po lewēj stronie muru wzburzoną powierzchnię Adryatyku.

Na prawo i na lewo, jako tēż przed nami nic nie widać jak tylko morze i morze, zajmujące cały widnokrąg, — morze szmaragdowēj barwy, po powierzchni

którego, jak nimfy czarodziejki, toczą się bałwany, pokryte pianą śnieżystą białości.

Ponad tym wód przestworem rozparło się cudowne niebios sklepienie, szafirowe jak nasz bławatek, zalane potokami promieni złocistego słońca, które pianę morską w miliardy pereł i brylantów zamienia.

Daleko na ruchliwym widno kręgu widać groźnie z niesłyszczaną szybkością ku Murazzom zbliżający się bałwan. Już słychać ryk tego morskiego potwora, który, cały pokryty pianą migocącą w odbłaskach słońca, z przerażającym hukiem uderza o niewzruszone granitowe ściany Murazzów i rozbity, poszarpany w kawały, zamieniony w mglistą rosę, mieniającą się tęczowemi barwy, spada bezsilny i złamany, jak rzymski gladiator, na gładką powierzchnię chodnika i jeszcze gładszą powierzchnię lagun.

Na prawo od Murazzów, u wejścia do lagun, wznosi się twierdza przystaniowa, na wałach której powiewa sztandar Włoch. Dalej w głębi widać kilka wysepek odleglejszych, zamieszkałych przez rybaków. Wtyle po za nami, na tle ciemnego nieba, jakby w przezroczu, wyspy: św. Heleny, San Servolo, Malomacco; na lewo San Lazaro, Giardini - publici, Lido przystanią i trzecią latarnią morską.

Wiatr silny dął od morza; to też w trzy godziny później, szybko mknąc po lagunach, stanęliśmy na placu Piazzetty.

Po obiedzie puściliśmy się znowu gondolą, kanałem wielkim, il Ré, aż do mostu kolei żelaznej, zbu-

dowanego na lagunach a ciągnącego się 4 mile i łączącego Wenecją ze stałym lądem.

Most ten, bardzo szeroki, mieści na powierzchni swój dwa tory kolejowe, przejazd dla wozów zwykłych i chodniki dla pieszych. Zbudowany z granitu na 280 arkadach, zaliczony być może do najpiękniejszych i najsztuczniejszych utworów architektonicznych.

Przy świetle latarni kanałem il Ré popod most „*di Sospiri*“ (westchnień) wróciliśmy do wnętrza miasta i wysiadłszy przy moście *della Paglia*, ruszyliśmy na plac św. Marka przez *Riva Schiavoni*.

Dnia następnego t. j. 12 maja pośpiesznym rannym pociągiem kolei żelaznej opuściliśmy Wenecją, i mijając Weronę, gdzie w r. 1859 miłe spędzał chwile, przez *Ala* (włosko-austriacką pograniczną stacją), Roveretto, Mori, Silberstein, Reichenstein, Sterzing i Bolzano, pod wieczór już zbliżyliśmy się do sławnej kolei Brenneru.

Kolój ta nietylko że jest piękną lecz i śmiało budowaną; mimo to jednak, pod względem sztuki nie wyrównywa semmeringskiej.

Późno w noc, minawszy Innsbruck, stanęliśmy na stacji pogranicznej między Austryą a Bawaryą w Kufsteinie. Tu zmieniono wagony, i po odbyciu rewizji pogranicznej, prawdziwie tylko dla formy, ruszyliśmy po pierwszej w nocy przez Monachium, Augsburg, Ulm, Stuttgart, Karlsruhe, Rastadt i Os do Baden-Baden, gdzie w dniu 13 maja około godziny piątej popołudniu stanęliśmy.

W Monachium do naszego przedziału wsiadł niemłody człowiek, który z nami podązał aż poza Stuttgart do miejsca kąpielowego w pobliżu. Był to hrabia Luxburg, szambelan króla bawarskiego, nadzwyczaj miły gawędziarz, pełen ukształcenia a któremu żadna gałąź nauki obcą nie była. Mówiliśmy też o archeologii, sztukach pięknych, muzyce, literaturze, rolnictwie i t. d., słowem dzień cały spędziliśmy bardzo a bardzo mile, żałując że znajomość nasza, tak przelotnie zawarta a tak miłe po sobie zostawiająca wspomnienia, Bóg wie kiedy się odnowi, a może i nigdy nie będzie mogła być wznowioną!

Rozgościwszy się w hotelu angielskim, tuż nad rzeką Os, ruszyliśmy na plac, przed tak zwany: *Konversationshaus*, z kądem poszliśmy do rozkosznego ogrodu, dopiero co zielenić się poczynających drzew i krzewów (gdy tymczasem przed niespełna 30 godzinami w okolicy Werony widzieliśmy spory łan pszenicy na dojrzeniu będący) ku dolinie Lichtenthal. Około godziny dziewiątej wieczór wróciwszy do *Konversationshauzu* weszliśmy na salę, gdzie właśnie orkiestra Koenemanna odbywała wieczorny koncertowy popis. W obocznych dwu salach znajdowały się jeszcze podówczas znane stoły gry: ruleta i czterdzięci jeden.

Baden-Baden, miasto liczące 9000 ludności stałej, po największej części wyznania rzymsko-katolickiego, rozsiadło się na pochyłości pagórków, nad brzegami strumienia Osbach, tuż u wejścia do najpiękniejszej doliny Czarnego lasu (Schwarzwald).

Góry otaczające dolinę zasłaniają Baden-Baden

od mroźnych wiatrów północy, wschodu i zachodu, wskutek czego klimat jest tu bardzo łagodny, a powietrze przepełnione aromatem żywicznym wyziewanym przez okalające iglaste lasy. Kościół katolicki i zamek wielko-książęcy panują nad zwartą masą domów, pałaców, will i ogrodów. W głębi, prawie na szczycie wyniosłej góry, pośród czerniejących się lasów, widać ruiny starego zamku, ponad którym, wyżej na szczycie wielkiego Staufenbergu, wznosi się wieża czy też świątynia Merkurego. Na przeciwniej stronie to jest na lewym brzegu Osbachu wznosi się Fremersberg, Friesenberg i Beutingen. A wszystko to pokryte zielenią i kwieciami, ponad czem zwiésza się blade-błękitne niebo. Pomimo jednak okalającej natury, pomimo całej estetyki, całego komfortu, elegancyi a nawet i przepychu, z jakim ten zakład jest urządzony, wszystko, wszystko jest tu zimne, niezdolne wywołać tego zachwyty, jaki we Włoszech wszystko wywołuje!

XX.

Baden-Baden, wedle podania dziejowego, założyli Celtowie, przybyli z Galii na 600 lat przed erą chrześcijańską. Za czasów Augusta to miasto dostało się pod panowanie Rzymian i zostało nazwane *Civitas Aquensis*. Trajan, Adryan, Antoniusz, zwiędzali to miejsce. Zupełnie zniszczone przez Allemanów, dopiero później za Dagoberta I występować zaczyna w dziejach. I odtąd kolejno przechodziło w posiadanie Franków, zakonników z Weissenburga, księstwa szwabskiego, rodziny Zaehringen, Henryka Lwa, Fryderyka Rudobrodego, a ostatecznie margrabiego Hermana III, któremu Barbarossa Civitas Aquensis dał w lenne posiadanie. Potomkowie Hermana założyli tu swą siedzibę, przyjmując tytuł markgrafów badeńskich. Za ich to rządów miasto, podnosząc się, otoczone silnymi murami i fortyfikacyami, stawiało czoło oblegającym nieprzyjaciolom, jak r. 1330 biskupowi ze Strasburga Bertoldowi a r. 1687 Francuzom.

którzy pod wodzą generała Duras po długim oporze miasto zdobyli, zamieniając je w kupę popiołów. W tym też czasie markgrafowie badeńscy stolicę swą przenieśli do Rastadt, gdzie bardzo ładny wznieśli zamek. Roku 1771 August, ostatni z linii markgrafów Baden-Baden, umarł, i margrafstwo przeszło w posiadanie rodziny Baden-Durlach.

Rewolucya francuzka i następne wojny ściągnęły do opustoszałego miasta znaczną liczbę cudzoziemców, i to sprawiło, że Baden-Baden poczęło kwitnąć i dziś jest jedném z najliczniej uczęszczanych miejsc kąpielowych Europy.

Nazajutrz po naszym przybyciu do Baden-Baden, zaraz od rana ruszyliśmy na miasto, i puściwszy się obok willi w. ks. Stefanii popod wspaniały hotel Victoria, udaliśmy się do kolegiaty, pochodzącej z VII wieku, r. 1680 przez Francuzów zniszczonej, r. 1753 odrestaurowanej poraz pierwszy, a r. 1861 poraz wtóry. Styl téj świątyni jest gotycki, i tu spoczywają katoliccy markgrafowie Badenu. Tuż obok tego kościoła wznosi się gmach, gdzie jest główne źródło, zwane: *Ursprung*. Źródło to wytryska ze skały, wrąc i sycząc, i ma 63° R. temperatury a dostarcza w ciągu 24 godzin 2334 metr. kub. wody.

Starożytne kąpiele czyli rzymskie termy pokrywały niegdyś cały plac targowy, lecz na nieszczęście zburzono je w zupełności, i tylko dom pod Nr 477 zachowany został, przedstawiając w części rzymską budowę. Oprócz źródła „Ursprung“ są tu jeszcze trzy inne: Żydowskie (60°), Brühlquelle (60°) i Fettquelle

(63°), znajdujące się przy ulicy „*Piekielnej*“, z której po schodach dostać się można do aowego zamku wielko-książęcego.

Zamek ten, pomimo że nazwany jest nowym, takim jednak nie jest; wznosił go bowiem markgraf Krzysztof r. 1479 na szczątkach jakiejś rzymskiej budowli, i był r. 1686 przez Francuzów spalony. Dziś istniejący zamek pochodzi z końca XVII wieku, a w ostatnich czasach przez w. ks. Leopolda wspaniale został przyozdobiony. Nadzwyczaj zajmujące są podziemia zamku, pochodzące z czasów rzymskich, które służyły bądź za łaźnię, bądź też za schronienie w czasie napadów barbarzyńskich. Tuż za zamkiem rozciąga się śliczny ogród, ocieniony odwiecznymi lipami. Na tarasie zamkowym piękna wieża, zwana: *Dagoberta*, jedyna pamiątka zamku markgraфа Krzysztofa.

Ztąd przesliczną cienistą drożyną wśród rosochatych sosen i świerków, podążyliśmy na szczyt Batteru, do ruin starego zamku. Tu na tarasie przed zamkiem przez chwilę napawaliśmy się uroczym widokiem. Na lewo widać przeciwległy Fremersberg i tak zwany Jesuitenschloessen, tuż pod nami w głębi doliny Baden-Baden i Lichtenthal, na prawo Os, Rastadt i jak wążuchną wstążeczkę, w licznych zakrętach rozwijający się Ren, nad brzegiem którego, między Fremersbergiem a wioską Stohlhofen, widać Kehl i szczyt wieży strasburskiej. Pomędzy temi głównemi punktami widoku, bliżej Baden, na tle zielonych pól i łąk, widnieją liczne wsie i miasteczka: Iffizheim,

Kuppenheim, Wintersdorf, Ottersdorf, Hügelsheim, Sandweier (słynne ze znakomitych szparagów) a na lewym brzegu Renu do niedawna jeszcze francuzkie włości: Selz, Fort St. Louis, Roschwoog, Neuhaensel, Roppenheim i inne, które już tylko jako małe punkciki na horyzoncie występują.

Stary zamek, czas fundacyi którego jest niewiadomy, wedle tradycyi wzniesiony został na początku XII wieku przez markgrafa Hermana II, księcia na Zaehringen, w miejscu gdzie wznosiła się starożytna strażnica rzymska. Zamek ten, w ciągu lat wielu ciągle powiększany, był siedzibą markgrafów badeńskich aż po koniec XVI wieku.

Markgraf Krzysztof, r. 1479 opuściwszy ten zamek, przeniósł się do nowego zamku. Roku 1689 w dniu 24 kwietnia w czasie wojny Palatynatu zniszczony przez Francuzów, zamienił się w kupę gruzów, i dopiero r. 1833 w. ks. Leopold powziął szczęśliwą myśl podźwignięcia ruiny i uczynienia jęj przystępną.

Wnętrze tych ruin jest prześliczne, mianowicie tak zwany dziedziniec honorowy, z kąd po dosyć wygodnych schodach dostać się można na wyższe piętra, gdzie są szczątki dawnych sal i komnat, z których tylko zewnętrzne ściany i okna pozostały.

Z tarasu wieży czworobocznej widać znaczną część Schwarzwaldu i niebieskawo zamglone Wogezy. Kilka harf eolskich, zamieszczonych w oknach ruin zamku, przy silnych podmuchach wiatru napelnia powietrze przepyszną harmonią, która zaiste silne wywołuje wrażenie. Restauracya bardzo wykwintnie

urządzona mieści się w części dawnego zamku, w skrzydle gdzie była kaplica. I w tej to kaplicy jest główna sala restauracyjna. W niewielkiej odległości od tych przepysznych ruin, znajdują się sławne ze swej piękności tak zwane „*Felsen*“ (skały). Odpocząwszy chwil kilka na platformie tych skał, i wracając przez stary zamek, w ciągu pół godziny przybyliśmy z powrotem do Baden-Baden.

Po obiedzie przed *Konversationshaus*em, przysłuchując się kąpielowej orkiestrze, przyglądaliśmy się tłumom cudzoziemców, przybyłych na kuracją a może i w celu popróbowania szczęścia w ruletę. Wedle „*Badeliste*“ z dnia tego w Baden-Baden znajdowało się 3,478 cudzoziemców. Tłum to różnorodny, pośród którego licznym zastępem przechadzali się ranni żołnierze pruscy, bawarscy, badeńscy, wirtemberscy i sascy. Widok tych nieszczęśliwców pozbawionych rąk i nóg, posuwających się z trudem na kulach lub też nieruchomie siedzących na wózkach, czynił przykre wrażenie, zwłaszcza w otoczeniu ruchliwém, pełném życia, swobody, wesołości!

Tuż obok kiosku orkiestry, pod cieniem lip i kasztanów, z obu stron alei prowadzącej do miasta, mieszczą się bardzo elegancko urządzone kramy, z towarami najrozmaitszej treści, zaczawszy od cygara a skończywszy na brylantach. Obejrząwszy te kramy, zwiędziwszy księgarnię i czytelnię *Marxa*, gdzie parę polskich książek znalazł, udaliśmy się ze zmierzchem do *sal Konversationshausu*.

Gmach ten, wznoszący się u stóp *Friesenbergu*,

pośród prześlicznie urządzonego ogrodu, wystawiony r. 1824 w stylu korynckim przez budowniczego Weinbrennera, r. 1854 znacznie powiększony został. W gmachu głównym mieści się sala 48 metrów długa a 16 metrów szeroka, a w tej sali odbywają się reuniony i codzienne koncerty. Tuż obok znajduje się druga sala, bardzo elegancko i wspaniale urządzona, i tu odbywają się koncerty przybywających artystów solowych. Oprócz tych dwu salonów są tu jeszcze inne tak zwane: „*les petits appartements*“, składające się z pięciu salonów, bogato przez Cicéri i Séchana przyozdobionych. Oba skrzydła gmachu zajmują restauracja i nowe salony, ozdobione przez Séchana, obok których w lewém skrzydle znajduje się księgarnia Marxa i czytelnia. Tak zwane wielkie czyli nowe apartamenta są przepyszne. Pierwszy salon, do którego wchodzimy z głównej sali, ozdobiony jest w stylu XVII wieku, na kopule malaturami i grubo złotocemni boazeryami, wedle rysunków Jana Bérain'a. Obicia ścian i mebli są z lionńskiej materji jedwabnej, wyrobionej umyślnie w stylu XVII wieku. Ogromny kominek z białego marmuru z wielkiem lustrem weneckiem i mnóstwem drobiazgów uzupełnia ozdobę tej sali nazwanej: salą „Ludwika XIV“. Obok znajdują się dwa ogromne salony w zupełnie odrębnym guście: pierwszy na lewo, *salon kwiatów*, wygląda na siedzibę jakiejś czarodziejki. Ściany są tu z białego stiuku, pokryte cieniuchną złotą siatką; wzdłuż ścian ciągnie się dosyć obszerny wodozbiór z białego marmuru, w którym rosną najpyszniejsze podzwrotnikowe rośliny.

ny, okryte kwieciem i napełniające powietrze balsamiczną wonią. Pośród tych roślin, z łona ich liści i kwiecica wytryskują srebrzyste promienie wody, spadającej na otaczające rośliny w kształcie najdelikatniejszej mgły. Tu i owdzie zaś, pośród olbrzymich: *Calladii*, *Calli*, *Carica papaya*, storczyków, widać przepyszne rzeźby z białego marmuru. W pośrodku sali wznosi się gustownie ustawiona żardynierka, okoloną wygodnym siedzeniem w rodzaju niskiej otomanki. Obszerne okna sięgające aż do posadzki i kopuła oszklona dostatecznie oświetlają ten salon, który przy rześkim oświetleniu gazowym, wieczorem, czarodziejsko wygląda.

Na prawo od salonu *Ludwika XIV* widzimy znów inny salonik, znacznie mniejszy od poprzedniego, urządzone w stylu *Pompadour*, a zachwycający swoim przepychem i elegancją. Tak z tej jako też i z sali kwiatów, obszerne drzwi prowadzą do sali balowej, przerobionej z dawnego teatru. Sala ta największa w całym gmachu i ozdobiona jest białem ze złotem; sufit pokrywają piękne freski.

Opuściwszy te więcj niż monarsze apartamenty, udaliśmy się do czytelnicy, gdzie zauważyłem zupełny brak pism polskich.

Tuż obok *Konversationshauzu*, u wstępu do alei *lichtenthalskiej*, wznosi się ładny gmach teatralny, zbudowany r. 1862 a więc po mojej bytności w garnizonie twierdzy *Rastadt*. Teatr ten przyozdobili swemi dziełami *Durand*, *Dantan* i *Perrault*.

Z drugiej strony *Konversationshauzu* ku ko-

iei-żelaznej, w pobliżu strumienia Os, wznosi się tak zwana *Trinkhalle*, miejsce gdzie zgromadzają się pijący wody mineralne. Gmach ten w ciągu lat 1839 — 1843 wzniesiono wedle planów architekta Huibscha; kosztował 229,000 guldenów.

Kolumnada liczy 90 metrów długości a 12 metrów szerokości. Ściany pod kolumnadą zdobią freski Goetzenbergera i przedstawiają legendy i podania ludowe z Baden-Baden i okolicy.

Idąc ku Lichtenthal wzdłuż alei prowadzącej po nad brzegiem Osy, widzimy na prawo i lewo wznoszące się piękne wille, hotele, restauracye a w cieniu pięknej grupy drzew i krzewów pomnik Schillera, bez którego najmniejsza nawet miescina obyć się nie może. Po całogodzinym pochodzie zdążyliśmy nakoniec do Lichtenthal, wioski położonej u stóp góry zwanej Klosterberg i u zbiegu rzeczki Os z Grobachem.

Tu wznosi się klasztor cysterek, fundowany r. 1245 przez Irmengardę, wdowę po markgrafie Hermanie V. Kościół klasztorny w stylu gotyckim przechowuje w murach swoich ciała męczenników św. Piusa i Benedykta, a pod kościołem są groby dawnych markgratów Baden-Durlach. Obok kościoła w dziedzińcu klasztornym wznosi się dom sierót, r. 1835 przez Grzegorza Stulz z Kuppenheim krawca założony i wielkimi funduszami obdarzony. Fundator tego zakładu za czyn ten otrzymał tytuł szlachecki z przydomkiem „von Ortenberg“. Podczas méj bytności w tym zakładzie mieściło się tam 280 sierót płci obojga. Urządzenie zakładu było więcéj niż wzorowe, a

kapitał, jaki ten zakład r. 1871 posiadał, wynosił 315,099 guldenów badeńskich.

Uzupełniając podaną wiadomość o kościele klasztornym w Lichtenthal, niepodobna mi przemilczeć o przeslicznej rzeźbie, zamieszczonej w jednym z ołtarzy kościelnych a przedstawiającej cudowną postać Boga Rodzicy. Do rzeźby téj przywiązana jest legenda, treść której jeden z fresków zdobiących Trinkhallę w Baden-Baden przedstawia.

W czasie kiedy zwycięzka armia Ludwika XIV wkroczyła do Niemiec, piękne, żyzne okolice nadreńskie wystawione były na wszystkie plagi wojenne. Przerażenie opanowało mieszkańców; kto mógł uciekał z tych okolic nawiedzonych przez wroga, chciwego krwi i łupów.

Jeden z licznych oddziałów francuskich, zasłyszawszy o skarbach nagromadzonych w klasztorze lichtenthalskim, ruszył ku temu miejscu. Z różnych okolic donoszono ksieni o nieprzyjacielu niebawem nadejść mającym, zachęcając ją zarazem, ażeby czempredzją z zakonnicami i nagromadzonemi skarbami zagrożony klasztor opuściła, chroniąc się w górach Czarneho lasu. Jakoż po odbytej naradzie z zakonnicami postanowiono klasztor opuścić, a zebrawszy wszystkie skarby, złożono je w podziemiach klasztornych.

Na chwil parę przed opuszczeniem klasztoru, ksieni wraz z zakonnicami weszła do kościoła, ażeby ostatnią modlitwą pożegnać te miejsca, tak drogie dla nich, a wtedy powiadomiona przez jednego z wysłań-

ców, że nieprzyjaciel zbliża się do Lichtenthal i dyszy pragnieniem rabunku w klasztorze, postąpiła naprzód i zbliżywszy się do ołtarza, na którym stała statua Boga Rodzicy, wyjęła z za pasa klucze kościelne i takowe na ręce Matki Boskiej zawiesiła, mówiąc:

„— Najświętsza Panno, opiekunko nasza! Matko przeczysta Tego, który cierpiał i umarł za grzechy nasze, chroń i obraniaj ten dom Boży, ten przybytek poświęcony Twój chwale! Nie pozwól, ażeby miejsce to, w którym od wieków rozbrzmiewa chwała i cześć Twoja, było sprofanowane rękami grzeszników. Czuwaj nad tém schronieniem Twoich dzieci, oddal najeźdźców! Tobie téż, Najświętsza Panno, powierzam te klucze. Ty jedna możesz ich obronić i Ty jedna pozwolisz, ażebyśmy i dalej chwałę Twoją w przybytku Tym głosili! Amen“.

Krzyki i wrzaski zwycięstwami upojonego żołdactwa dolatywały już do uszu przerażonych zakonnic, które tajemnym przejściem opuściwszy klasztor ścieżką ku Leisbergowi dążyły. W chwil kilka rozległ się łoskot wyważanych drzwi klasztornych, które jednak pod naciskiem nie ustępowały, i dopiero po długich usiłowaniach, wyważone z zawiasów, z łoskotem daleko słyszonym runęły na ziemię.

Z krzykiem radosnym żołdactwo wdarło się pomiędzy mury klasztoru, dążąc ku wrotom kościelnym, gdy oto naraz wrota te rozwarły się na ścieżaj i na progu kościelnym ukazała się statua Najświętszej Panny, otoczona nadziejską jasnością, z okiem żarzącem, pełnem oburzenia na gwałt popełniony przez najeźdź-

ców. Na widok zjawiska tego żołnierze przerażeni zatrzymali się w pochodzie.

Cudowne zjawisko wskazało klucze dzierżone w ręce, i groźnym ruchem ręki ukazało wrogowi wyważoną bramę klasztoru.

Najeźdźcy, owładnięci niewysłowionym przestraszaniem, cofać się zaczęli, i w chwil parę, pędząc jak szaleni, gnani niewysłowionym uczuciem bojaźni, klasztor i okolicę opuścili.

Dzięką łasce cudownej Maryi Panny klasztor został od rabunku ochroniony, a zakonnice, wróciwszy, zastały wszystko w tym stanie w jakim było, gdy miejsca te opuszczały.

Od tej też pory statua Najświętszej Panny, pomieszczona w chórze zakonnym, doznaje, jako cudami słynąca, nieograniczonej czci bliskich i dalekich mieszkańców okolicy.

Obejrawszy szczegółowo tak kościół jako też i wyżej wspomniany zakład, przez Friesberg i wille Dupressoir ruszyliśmy z powrotem do Baden-Baden.

Nazajutrz rano przedsięwzięliśmy dalszą wycieczkę i minawszy Lichtenthal, na drodze prowadzącej do Gernsbach, zwiedziliśmy stary cmentarz, na którym znajdują się pomniki z r. 1462. Idąc poza Mühlenbach coraz wyżej i wyżej dotarliśmy nareszcie do Ebersteinschloss, gdzie w zamku wielko-książęcym ładne są meble starożytne, szkła, porcelany, freski Fohra i piękna biblioteka. Ze szczytu wieżycy zamkowej roztacza się obszerny widok na dolinę Murgu. Na prawo widać Obertsroth, Hilpertsau, Laugenbrand; na

przeciw wodospad Lautenbach, na lewo Gernsbach, Ottenau i Gaggenau, a w dali Wogezy.

Jak twierdzi miejscowe podanie, za czasów Ottona I syna Henryka Ptasznika, między wielu niechętnymi wazalami cesarza znajdował się także i hrabia Eberstein z synami swymi, którzy czynnie przeciw Ottonowi I wystąpili, stając po stronie króla francuzkiego. Cesarz tém rozgniewany postanowił buntujących się wazalów upokorzyć i obległ zamek Eberstein; lecz wszelkie usiłowania dążące do zdobycia tego obronnego miejsca spełzły na niczém tak że ostatecznie Otton I odstąpić musiał od powziętego zamiaru; lecz jeden z zaufanych dworzan cesarza zapewnił go, że zamek zdobędzie z całą łatwością podstępem, byle tylko w Spirze urządził turnieje i wszystkich wazalów, a więc i Ebersteina, na takowe zaprosił, udzielając im glejtu bezpieczeństwa; wtedy zaś gdy przybędą do Spiry i bawić się będą, łatwo zamek wziętym być może.

Cesarzowi podany projekt podobał się, i wedle udzielonej rady postąpił. Na turnieje do Spiry wszyscy wazale zjechali się, a między nimi i Eberstein. Igrzyska rycerskie trwały dzień cały, i jako zwycięzca wyszedł z nich Otton, najmłodszy syn Ebersteina, który z rąk nadobnej siostry cesarza otrzymał wieniec laurowy. Po igrzyskach wieczorem nastąpił bankiet i tańce, wśród których Hildegunda, siostra cesarza, młodemu Ottonowi powiedziéć zdołała, aby się mieli na

baczności, bo nocy téj zamek ich zagrożony jest niebezpieczeństwem.

Otton, niezwłocznie zakomunikował to ojcu i bratu, którzy obecnych rycerzy wyzwali, ażeby nazajutrz stanęli z nimi do szczególnej walki na kopie i miecze, przyrzekając zwycięzcy 100 florenów złotem nagrody. W chwil parę później, Ebersteinowie bez zwrócenia na siebie uwagi, wymknęli się ze Spiry i podążyli do zamku swego, gdzie przed przybyciem cesarskiej drużyny stanęli.

Rozpoczęła się walka krwawa, lecz zamek dzielnie stawiał opór napadającym, którzy, znużeni bezowocną walką, od szturmów odstąpić musieli. Cesarz, który polubił hrabiów, wysłał do nich trzech rycerzy z żądaniem, ażeby zamek mu oddali, w zamian czego zapewnił im łaskę cesarską. Lecz Otton Eberstein wysłańcom wskazał beczki pełne wina i ogromne kupy zboża, mówiąc, że mają dosyć żywności i napitku a więc i najdłuższe oblężenie wytrzymają.

Wysłańnicy cesarza wrócili do Spiry i nie wiedząc że w beczkach nie wino lecz woda, a pod cienką warstwą zboża próżne paki i beczki się znajdowały, oświadczyli cesarzowi, że dalsza walka z Ebersteinami do niczego nie doprowadzi, i że lepiej z nimi na innej drodze zawrzeć przymierze.

Cesarz słusność téj uwagi przyznał, i w dni parę później z Hildegundą i z licznym orszakiem rycerstwa, ruszył do Ebersteinu. W pobliżu bramy zamku nastąpiła zgoda i zawarcie przymierza, a chcąc dziel-

nych wassali bardziej przywiązać do siebie, Ottonowi oddał za małżonkę siostrę swoją Hildegundę.

Otton w czasie uroczystości weselnych w obec całego dworu, nowozaślubionę małżonkę swą, za zezwoleniem sędziwego ojca oddał klucze Ebersteinu, przyczem rzekł do niej.

„Teraz gdy jesteś już moją, składam w twe ręce klucze Ebersteinu, które są kluczami szczęścia i honoru mego!“

Po wysłuchaniu téj legendy, opowiedzianej przez miejscowego murgrabiego, dążąc z powrotem do Baden-Baden, w *Ober Beuren* odpoczęliśmy w słynnej restauracyi „à la cor de chasse“, którą młody Dantan ozdobił pysznie w karykaturze modelowaną głową właściciela zakładu *Willibalda Ihle*.

Dnia następnego pociągiem rannym na Ulm, Mnichów, Salzburg, podążyliśmy do Wiednia, z kądem po dwudniowym pobycie, wśród uléwnego dészczu, ruszyliśmy rannym pociągiem do Krakowa, a następnie i do Warszawy.

W ciągu téj 17-dniowej podróży wytknąłem sobie jako cel główny poznanie zbiorów naukowych, porobienie odpowiednich zamiarom moim wyciągów, poznanie różnych zakładów dobroczynnych jakoteż poznanie ducha ożywiającego te narody, pośród których przed dwunastu laty przebywałem.

Co do poznania zbiorów naukowych, to najobszerniejsze pole miałem w Wenecyi, w bibliotece św. Marka, przystęp do której, jak i do tajnego archiwum, z wielką łatwością uzyskałem i potrzebne sobie wycią-

gi porobiłem o tyle o ile mi na to czas pozwolił. Przy tej sposobności poznałem tam najrzadsze i najcenniejsze dzieła i manuskrypta oraz cenne dokumenta, dotyczące naszych dziejów, a to dzięki niewysłowionej uprzejmości dyrektora biblioteki i urzędników.

Co do zakładów dobroczynnych, jak domy pracy dla włóczęgów, przytułku i t. d., to takowe znalazłem wysoko rozwinięte w Niemczech; we Włoszech zaś, a mianowicie w Wenecyi, bardzo wiele do życzenia pozostawiają i nie mogą iść w porównanie z zakładami tego rodzaju w Wiedniu, Krakowie, Lwowie, Warszawie a nawet w Lublinie. Zakłady weneckie starców i kalék, sale sierót, ochrony i t. d. wzbudzają tylko liłość, z powodu nieudolnego kierunku.

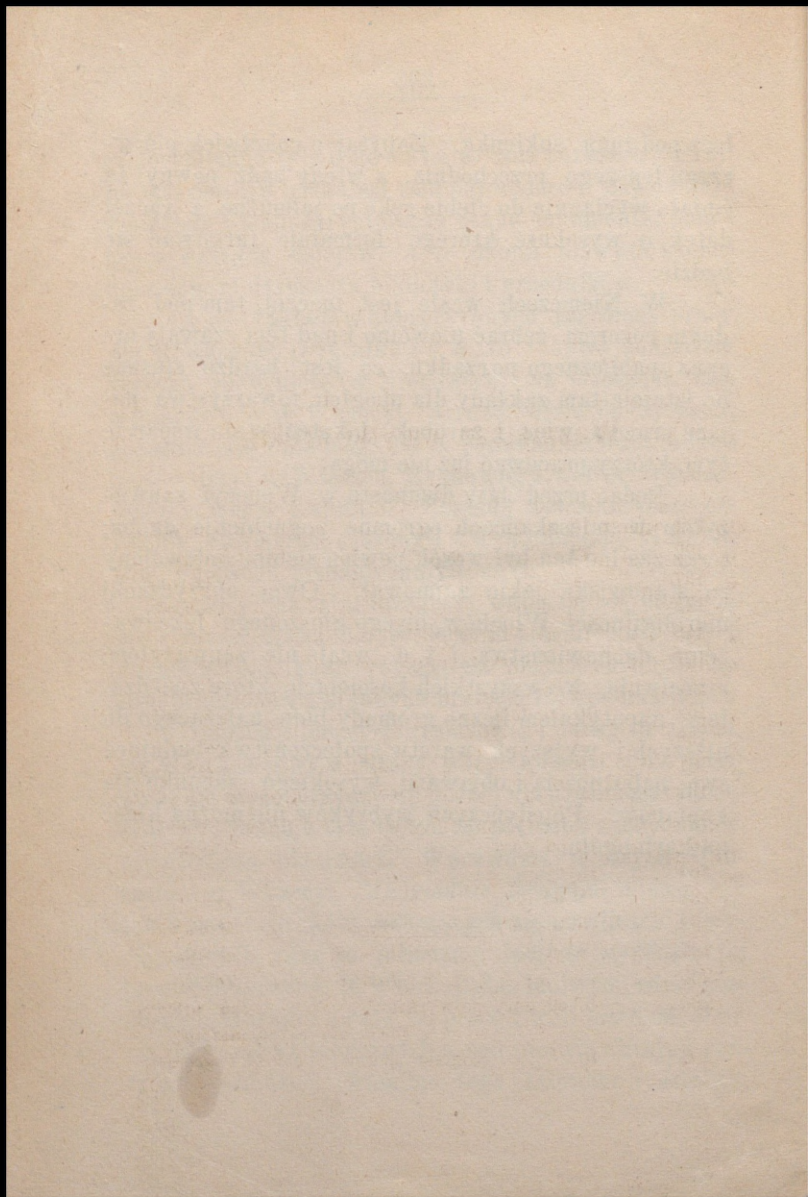
Starcy, jak istni lazzaroni, wałęsają się beczynnie żebrząc; dzieci sieroty, brudne i obdarte, po całych dniach zbijają bąki, rokując na przyszłość liczny zastęp lazzaronów i słynnych brawów (*bravo*-bandyta).

O domach pracy przymusowej i mowy tu niema, bo Włoch, leniwy z natury, wszystkiem co tylko pracą zwać się może brzydzi się gorzej niż grzechem śmiertelnym, i pracuje tyle tylko, ile potrzeba ażeby śmiercią głodową nie umarł. Wprawdzie w całych Włoszech, w Wenecyi, Medyolanie, Neapolu, niema tak jak u nas żebraków włóczęących się po ulicach i wyciągających rękę po jałmużnę, lecz to wynika z tej prostej przyczyny, że Włoch, będąc leniwym, samo chodzenie i żebranie uważa za pracę i woli leżeć na słońcu, czekając aż przechodzień nad nim się ulituje i rzuci mu jałmużnę. Pomimo tego żebractwo istnieje,

lecz pod inną sukienką. Zapytaj o cokolwiek pierwszego lepszego przechodnia, a wtedy bądź pewny, że śmiało wyciągnie do ciebie rękę po jałmużnę, a raczej datek, o wysokość którego formalnie targować się będzie.

W Niemczech wcale jest inaczej, tam pod żadnym pozorem zebrać niewolno i nad tém czuwają organa publicznego porządku, co jest bardzo słuszne bo istnieją tam zakłady dla ubogich, towarzystwa dające pracę a więc i zarobek, jakotóż stałe wsparcie tym, którzy pracować już nie mogą.

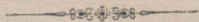
Będąc przed laty dwunastu w Wenecyi, zauważyłem w mieszkańcach ogromne pogńębienie ducha; teraz zaś lud ten był wesół, pewien siebie, zadowolony ze stanowiska jakie zajmował. Owój okrzyczanej niereligijności Włochów, owego głoszonego lekceważenia duchowieństwa i t. d. wcale nie zauważyłem; przeciwnie, we wszystkich kościołach, które zwiędzałem, napotykałem liczne gromady ludu, należącego do niższych i wyższych warstw społeczeństwa, budujące swą nabożnością i objawami wysokiego szacunku dla kapłanów. Pojedynczych wybryków nie można kłaść na karb ogółu.



Ważniejsze omyłki druku.

Str. 122	wiersz 12	od dołu	po: się	dodać: i	a po: już	opuścić: i.
" 122	" 12	"	zamiast: znała		czytaj: znając.	
" 131	" 4	"	"	Vigerano	"	Vigevano.
" 132	" 7	od góry	"	Vigerano	"	Vigevano
" 145	" 10	od dołu	opuścić	wyraz: nas.		
" 157	" 2	od góry	zamiast: Bolone		"	Bolene.
" 157	" 3	"	"	Bondene	"	Bondone.
" 157	" 10	od dołu	"	Fiumello	"	Giumello.
" 158	" 3	"	"	nz	"	na.
" 161	" 8	"	"	węziuchnej	"	węziuchnej.
" 164	" 9	"	"	Contrada, Incanale	"	Con- [trada-Incanale
" 168	" 4	od góry	"	strzelec	"	starzec.
" 181	" 15	"	"	Nego	"	Niego.
" 181	" 9	od dołu	"	erdo	"	erdö.
" 182	" 8	od góry	"	Mindemitt	"	Mindenütt.
" 195	" 8	od dołu	"	bliskiego	"	bliskim.
" 205	" 11	"	"	Jakobii	"	Jakobij.
" 206	" 10	od góry	po wyrazie: wozgórzach	dodać: ustawio- [ne działa zaczęły niszczyć.		
" 206	" 10	"	zamiast: opasali		czytaj: opasujące.	

„ 207	„ 11	„ „	<i>łzami</i>	„	<i>łzami.</i>
„ 203	„ 11	od dołu	po wyrazie: <i>swemu</i>	dodać: <i>i.</i>	
„ 210	„ 5	„	zamiast: <i>Szöllös Hyörök</i>	czytaj: <i>Szöllös-</i> <i>[Györök.</i>	
„ 211	„ 9	„	„	<i>pieśni</i>	„ <i>myśli.</i>
„ 212	„ 4	„	„	<i>Kiranok</i>	„ <i>Kivanok.</i>
„ 214	„ 13	od góry	na początku wiersza	dodaj: <i>i.</i>	
„ 217	„ 14	od dołu	zamiast: <i>Nu</i>	czytaj: <i>Na.</i>	
„ 219	„ 5	od góry	„	<i>młodny</i>	„ <i>młody.</i>
„ 220	„ 12	od dołu	„	<i>Kyło</i>	„ <i>było.</i>
„ 241	„ 4	od góry	„	<i>i</i>	„ <i>a.</i>
„ 242	„ 11	„	„	<i>cię</i>	„ <i>się.</i>
„ 243	„ 6	„	po: <i>czarno-pióry</i>	dodaj: <i>i.</i>	
„ 251	„ 11	od dołu	„	<i>Gentrand</i>	„ <i>Gertraud.</i>
„ 253	„ 2	„	„	„	„
„ 256	„ 14	„	po: <i>widać</i>	dodaj: <i>Mödling.</i>	
„ „	„ „	„	po: <i>wodami</i>	opuszcz: <i>Mödling.</i>	
„ „	„ 10	„	po: <i>st.</i>	dodaj: <i>n.</i>	



30



12367

1